PRAWDA

Krótka historia wciskania kitu

Autor bestsellera LUDZIE

TOM PHILLIPS

ALBATROS

TOM PHILLIPS

PRAWDA

Krótka historia wciskania kitu

Z angielskiego przełożyła
Maria Gębicka-Frąc

IMPONUJĄCE KŁAMSTWA I KŁAMCY, KTÓRYCH AŻ CHCE SIĘ SZANOWAĆ!

NOWA KSIĄŻKA AUTORA BESTSELLERA ***LUDZIE***

KRÓTKA HISTORIA O TYM, JAK SPIEPRZYLIŚMY WSZYSTKO

Tym razem przeczytacie o PRAWDZIE – a raczej o genialnych sposobach wciskania kitu, jakie wymyślano przez wieki…

Ściema to stała towarzyszka naszego codziennego życia. Nieustannie zmyślamy, wypowiadamy półprawdy albo kupujemy kłamstwa, które sprzedaje nam ktoś inny. Za sprawą internetu nasze życie zamieniło się w dezinformacyjne pole bitwy.

Może nawet tego nie wiecie, ale dosłownie pływacie w morzu wymysłów, półprawd i wierutnych łgarstw. Pora się wreszcie czegoś o nich dowiedzieć!

Tom Phillips, redaktor serwisu fullfact.org zajmującego się sprawdzaniem faktów, każdego dnia zmaga się z zalewem bredni. I z właściwym sobie humorem udowadnia, że kłamstwo nie pojawiło się wczoraj.

Ta książka zabierze was na wycieczkę objazdową po najbardziej niesłychanych kłamstwach i horrendalnych ściemach w dziejach ludzkości. Wiele z tego, co tu przeczytacie, wyda się wam niewiarygodne, a przecież nie brakowało ludzi, którzy w to wszystko wierzyli.

Ciekawe, co o nas napiszą nasze wnuki?

TOM PHILLIPS

Dziennikarz i komik mieszkający w Londynie. Był dyrektorem wydawniczym brytyjskiej wersji serwisu BuzzFeed, gdzie dzielił swój czas między bardzo poważne relacjonowanie poważnych spraw… i robienie zupełnie niepoważnych żartów. Należał do grupy komediowej, pracował w telewizji i w Parlamencie, a nawet założył gazetę (fatalna porażka!). Studiował archeologię i antropologię, a także historię i filozofię nauki w Cambridge – i jest miło zaskoczony, że przy pisaniu swoich książek może korzystać z wiedzy zdobytej na wszystkich tych kierunkach.

Tego autora

LUDZIE
Krótka historia o tym, jak s*ieprzyliśmy wszystko

PRAWDA
Krótka historia wciskania kitu

Tytuł oryginału:
TRUTH. A BRIEF HISTORY OF TOTAL BULLSH*T

Copyright © Tom Phillips 2019
All rights reserved
First published in 2019 by Wildfire, an imprint of Headline Publishing Group
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021
Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frąc 2020

Redakcja: Marta Gral
Zdjęcie na okładce: Dado Photos/Shutterstock
Projekt graficzny okładki oryginalnej: Headline Publishing Group
Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8215-811-3

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo

dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink.com

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Spis treści:
Od Autora
Wstęp. Chwila prawdy
Rozdział 1. Pochodzenie fałszu
Rozdział 2. Stare fake newsy
Rozdział 3. Epoka dezinformacji
Rozdział 4. Kłamstwo o Ziemi
Rozdział 5. Manifest szachrajstwa
Rozdział 6. Kłamstwo w państwie
Rozdział 7. Kombinatorzy
Rozdział 8. Zwykłe złudzenia
Rozdział Zakończenie. Ku prawdziwszej przyszłości
Podziękowania
Do dalszej lektury
Ilustracje

Dla moich rodziców, którzy zawsze uczyli mnie cenić prawdę.

Chociaż, do Waszej informacji, ustaliłem, że to Wy byliście wróżką zębuszką.

Święty Mikołaj będzie zły, kiedy się dowie, że kłamaliście.

Najbardziej uderzającą sprzecznością naszej cywilizacji jest głoszony przez nas fundamentalny szacunek do prawdy i głębokie lekceważenie, z jakim ją praktykujemy.

Vilhjalmur Stefansson, *Adventures in Error*, 1936

Od Autora

Niniejsza książka jest poświęcona rzeczom, które nie są prawdziwe. Z dość oczywistych powodów oznacza to, że ubiegły rok spędziłem w stanie prawie bezustannego zdenerwowania.

Zajmuję się tu historią, a historia nawet w najlepszym wypadku jest skomplikowana, pełna tymczasowych prawd, półprawd i całkowitych mitów. W poprzedniej książce, która dotyczyła porażek, napisałem: „Szanse, że książka o wpadkach nie zawiera żadnej wpadki, są, szczerze mówiąc, minimalne” (i owszem, po jej ukazaniu się znaleźliśmy ich kilka, na szczęście żadna nie była szczególnie straszna). Jeśli pisanie na temat porażki wydawało się kuszeniem bogów losu, to wybieranie kłamstwa na temat kontynuacji jest właściwie równoznaczne z zapewnianiem bogom pewnego gola. I bądźmy szczerzy, jest mało prawdopodobne, żeby bogowie losu spudłowali, strzelając do pustej bramki z dwóch metrów. Nie z taką kondycją, w jakiej są obecnie.

Więc tak, w tej książce na pewno trafią się jakieś błędy. Dołożyłem wszelkich starań, żeby ich uniknąć: podwójne i potrójne sprawdzanie, wracanie do oryginalnych dokumentów, ilekroć było to możliwe, próbowanie unikania pułapek nadinterpretacji. Przypisy powinny wam pomóc w samodzielnym sprawdzeniu faktów (i zachęcam, żeby to zrobić). Mimo to na pewno coś się zakradło. Błędy są nieuniknione – jedyne, co możemy zrobić, to próbować minimalizować je, przyznawać się do nich

i łagodzić skutki. Taki jest główny cel tej książki. Dlatego, jeśli ktoś zauważy błąd rzeczowy – nawet drobny – proszę o przysłanie maila na adres truth@tom-phillips.com. Będę prowadził aktualizowaną publiczną listę poprawek na tom-phillips.com/mistakes-and-regrets.

Wstęp

Chwila prawdy

Ściemniasz.

Chwila! Stop! To koszmarny sposób na rozpoczynanie książki. Przepraszam.

Nie czepiam się akurat ciebie, zwłaszcza jeśli przeglądasz tę książkę w księgarni i zastanawiasz się, czy ją kupić. Powinieneś! Jesteś bardzo mądry! Poza tym dowcipny i masz klasę. Dla jasności, nie jesteś osobą wyjątkowo niegodną zaufania czy też obdarzoną skłonnościami do notorycznego mówienia nieprawdy (no, chyba że rzeczywiście jesteś zawodowym naciągaczem; w takim wypadku zapraszam – może spodoba ci się rozdział czwarty).

A jednak kłamiesz, zmyślasz i prawie na pewno na setki sposobów, w istotnych i nieistotnych sprawach, mylisz się co do świata, w którym żyjesz. Nie powinieneś w związku z tym czuć się źle, ponieważ – tu ważna uwaga – tacy sami są wszyscy wokół ciebie. W duchu całkowitej szczerości dodam, że łącznie ze mną.

Chodzi mi po prostu o to, że spędzamy codzienne życie na pływaniu w morzu wymysłów, półprawd i wierutnych kłamstw. Kłamiemy i jesteśmy okłamywani. Nasze życie towarzyskie polega na taplaniu się w stałym strumieniu drobnych białych kłamstw. Wciąż jesteśmy wprowadzani w błąd przez polityków, media, sprzedawców i tak dalej, i prawdziwy problem polega na tym, że to działa – wszyscy jesteśmy frajerami podatnymi na wierzenie w zręcznie podane bujdy. Chyba najbardziej wszechobecne są kłamstwa, które mówimy sami sobie.

W dzisiejszych czasach, gdziekolwiek spojrzeć, można zobaczyć złowieszcze ostrzeżenia, że żyjemy w epoce postprawdy. W 2016 roku

redakcja Oxford Dictionaries ogłosiła postprawdę słowem roku; w 2017 tego samego dnia ukazały się aż trzy książki zatytułowane *Postprawda*. Wygląda na to, że politycy przekręcają, zniekształcają i kłamią z coraz większą bezkarnością. Społeczeństwo – jak wmawia się nam z przekonaniem – „miało dość ekspertów”. Internet przemienił nasze życie towarzyskie w dezinformacyjne pole bitwy, na którym jesteśmy coraz bardziej niepewni, czy nasz wujek Jeff jest prawdziwym człowiekiem, czy może rosyjskim robotem.

I nietrudno zrozumieć, dlaczego ludzie myślą, że żyjemy w czasach wyjątkowo odpornych na fakty. Wystarczy podać jeden dość oczywisty przykład: w tej chwili Stany Zjednoczone mają prezydenta, który notorycznie kłamie… chociaż może nawet nie są to kłamstwa. Może on po prostu nie wie, co jest prawdą, i wcale mu nie zależy na tym, żeby się dowiedzieć. Skutki są mniej więcej takie same. Według sprawdzającego fakty zespołu „Washington Post” – kiedy ja pisałem tę książkę – prezydent Trump w ciągu ośmiuset sześćdziesięciu dziewięciu dni sprawowania urzędu, obejmujących okres nazywany „rokiem bezprecedensowego oszustwa”[1], wygłosił 10 796 „fałszywych albo wprowadzających w błąd oświadczeń”[2].

To daje średnio ponad 10 nieprawdziwych informacji dziennie i co więcej, w miarę upływu czasu wskaźnik nieuczciwości Trumpa wydaje się wzrastać. Granicę 5000 kłamstw prezydent USA przekroczył siódmego września 2018 roku dzięki szczególnie intensywnej nawałnicy bredni, kiedy to według „Post” w ciągu zaledwie 120 minut wygłosił co najmniej 125 fałszywych albo wprowadzających w błąd oświadczeń, czyli więcej niż jedno na minutę[3]. A nie był to jego najbardziej nieuczciwy dzień – ten wątpliwy rekord został pobity piątego listopada 2018 roku, w przeddzień połowy kadencji, gdy w trakcie wystąpień podczas trzech wieców

wyborczych „Post” odnotował 139 informacji niekoniecznie zgodnych z prawdą.

Można powiedzieć, że nie jest to bardzo moralne. Ale czy oznacza, że żyjemy w epoce postprawdy? Powiem krótko: nie.

Nie zrozumcie mnie źle, nie zamierzam was przekonywać, że nasze czasy nie pękają w szwach od kitu w stu tysiącach odcieni – bo pękają, bez dwóch zdań. Z koncepcją, że żyjemy w epoce postprawdy, jest tylko jeden problem: skoro teraz mamy czasy postprawdy, to znaczy, że w jakimś okresie musiała być epoka prawdy.

Niestety, dowody na istnienie epoki prawdy są… hm… delikatnie mówiąc, wątłe. Pomysł, że niedawno zostawiliśmy za sobą złoty wiek nieposzlakowanej uczciwości i żarliwego oddania precyzji słowa i dowodom, jest, mówiąc bez ogródek, stekiem starych bzdur.

Nie da się jednak ukryć, w dzisiejszych czasach mamy do czynienia z wciskaniem kitu na potęgę. Wszyscy w jakiś sposób, mniej lub bardziej, się do tego przyczyniamy; wszyscy przekazujemy dalej niesprawdzone pogłoski i klikamy, dzieląc się nimi w sieci albo udostępniając je bez sprawdzania podstaw, ponieważ niezależnie od tego, czego dotyczyły, trafiły nam do przekonania.

Ale wbrew temu, co być może słyszałeś, zachowujemy się w ten sposób już od bardzo dawna.

Właśnie o tym jest ta książka: o prawdzie i o wszystkich pomysłowych sposobach, jakie na przestrzeni dziejów podejmowali ludzie, żeby się z nią rozmijać. Bo rozmijanie się z prawdą nie jest niczym nowym. Donalda Trumpa dzielą długie lata od pierwszego polityka, który rozsiewał kłamstwa na prawo i lewo jak pokręcony spryskiwacz ogrodowy. Kiedyś nie potrzebowaliśmy Facebooka, żeby rozpowszechniać niezweryfikowane i zmyślone pogłoski. Jeśli bowiem tylko nadarzała się okazja szybkiego

zarobku, nigdy nie brakowało takich, którzy kreatywnie manipulowali faktami, żeby naciąć frajerów na kasę.

Oczywiście dokładne zdefiniowanie, czym jest – i czym nie jest – prawda, nigdy nie było takie proste, jak niektórym może się wydawać. Są pytania, na które niełatwo odpowiedzieć, na przykład… skąd się bierze kłamstwo? Czy nieuczciwość jest wbudowana w człowieka i społeczeństwo? Czy ludzie są jedynymi stworzeniami, które kłamią? Spróbujemy się temu przyjrzeć w rozdziale pierwszym, „Pochodzenie fałszu”, w którym zbadamy subtelne różnice pomiędzy „kłamstwem” i „kitem”, odkryjemy niespodziewany fakt, że kłamstwo poza bielą może mieć inne kolory, i zmierzymy się z dość przerażającym faktem, a mianowicie takim, że mylić można się na znacznie więcej sposobów, niż mieć rację.

Przez kilka stuleci jednym z naszych głównych źródeł informacji o świecie była prasa. Dziennikarstwo, jak mówią, tworzy pierwszą wersję historii – ale jak zobaczymy, często była to koszmarna pierwsza wersja, nad którą redaktorzy wyrywali sobie włosy z głowy. W rozdziale drugim, „Stare fake newsy”, przyjrzymy się pochodzeniu naszego nienasyconego głodu nowin, poznamy martwego człowieka, który wcale nie był martwy, i odkryjemy, że nasze współczesne obawy związane z niemiarodajnymi źródłami informacji i przeciążeniem informacyjnym są może niezupełnie takie nowe, jak nam się wydaje.

Może i biznes informacyjny miał skromne początki, ale nie trwało to długo – szybko rozwinął się w przemysł, który wywarł ogromny wpływ na kształtowanie się społeczeństwa i nasze postrzeganie świata. To jednak wcale nie oznacza, że stał się o wiele bardziej wiarygodny. Od Wielkiej Mistyfikacji Księżycowej w 1835 roku (kiedy nowojorska gazeta „Sun” wzbudziła sensację w całym kraju, drukując cykl całkowicie wyssanych

z palca artykułów o sławnym astronomie sir Johnie Herschelu, który odkrył na Księżycu zaawansowaną cywilizację), przez humbug o wannach po dzienniki Hitlera i grasującego w Croydon owianego złą sławą seryjnego zabójcę kotów, mnóstwo tego, co czytaliśmy o wydarzeniach dziejących się na świecie, było totalną bzdurą. Temu przyjrzymy się w rozdziale trzecim, „Epoka dezinformacji”.

Nie dość, że myliliśmy się odnośnie do tego, co się dzieje na świecie, to jeszcze spartoliliśmy robotę, jeśli chodzi o właściwe postrzeganie świata. W rozdziale czwartym, „Kłamstwo o Ziemi”, odbędziemy podróż przez kilka stuleci czegoś, co można nazwać tylko… hm… „kreatywną geografią”. Biorąc pod lupę nigdy nieistniejące wielkie pasma górskie, nieprawdopodobne historie o mitycznych krainach i badaczach niekoniecznie będących w miejscach, które, jak twierdzili, badali, zobaczymy, jak świadomość, że raczej nikt nie pójdzie sprawdzić, co jest na drugim końcu świata, wpływała na kształt map.

Ta niechęć do sprawdzania została wykorzystana do maksimum przez prawdopodobnie największego blagiera wszech czasów – człowieka, który nabrał pewien kraj, wciskając mu kit o istnieniu innego kraju. Jest on tylko jednym z drobnych oszustów i wielkich zmyślaczy, których poznamy w kolejnym rozdziale, „Manifest szachrajstwa”, zgłębiającym naszą wieczną fascynację hochsztaplerami. Od naciągacza Williama Thompsona i jego zaskakująco prostego numeru, przez radzieckiego kanciarza bawiącego się w ciuciubabkę z biurokracją, po Francuzkę, która przez dziesiątki lat wiodła światowe życie dzięki nieznanej zawartości tajemniczego sejfu, przyjrzymy się najbardziej niesamowitym oszustom w dziejach i zadamy pytanie: Na ile ci ludzie oszukiwali, a na ile po prostu wierzyli w siebie?

Jeśli cokolwiek wiemy o politykach, to na pewno to, że kłamią. Przywódcy naszych wspaniałych narodów nie zawsze są wobec nas uczciwi. Oddając sprawiedliwość politykom (niektórym), muszę przyznać, że takie stwierdzenie może być trochę krzywdzące, ale kłamstwa ludzi odpowiedzialnych za rządzenie krajem mimo wszystko zasługują na osobny rozdział – „Kłamstwo w państwie” – w którym zbadamy niecną sztukę politycznej ściemy: od manipulacji, przez teorie spiskowe i nieudane próby tuszowania różnych rzeczy, po propagandę czasów wojny.

Wszędzie tam, gdzie można zarobić, zawsze znajdzie się ktoś chętny przekręcić prawdę, żeby wypchać sobie kabzę. W „Kombinatorach” przyjrzymy się dwóm największym kanciarzom: światowemu handlowi i medycynie. Biznes od zarania dziejów opierał się na małych i dużych oszustwach, począwszy od Ea-nasira, starożytnego mezopotamskiego handlarza miedzią, który brał pieniądze, ale nie dawał towaru (stąd pierwsze znane w historii listy z zażaleniami klienta), po Whitakera Wrighta, który w dziewiętnastym wieku dorobił się fortuny na szeregu oszustw. Poznamy też cały wachlarz szarlatanów, od Doktora Koźle Jaja – pioniera nowych mediów z ambicjami politycznymi, zbijającego majątek na chirurgicznym wszczepianiu koźlich jąder impotentom – po człowieka, który unieśmiertelnił swoje nazwisko dzięki przypadkowemu odkryciu hipnozy, gdy próbował osiągnąć coś zupełnie innego.

Na tym etapie będziemy już znać wielu z najbardziej imponujących kłamców w historii. Ale jeśli myślimy, że kłamcy są naszym jedynym problemem, to czeka nas poważny szok. Okazuje się, że w gromadzie jesteśmy bardzo dobrzy w tworzeniu mitów z niczego. W „Zwykłych złudzeniach” zobaczymy, jak manie, panika moralna i zbiorowa histeria prowadzą do wiary w rzeczy absurdalne. W tym rozdziale pokrótce omówimy fenomen widmowych statków powietrznych, które nawiedzały

Wielką Brytanię, niezwykle powszechne przekonanie, że ktoś próbuje kraść mężczyznom penisy, polowanie na potwory w amerykańskich lasach i… no cóż, dosłownie rozumiane polowanie na czarownice. Okazuje się, że jeśli chodzi o życie w prawdzie, to sami jesteśmy naszym największym wrogiem.

W ostatnim rozdziale, „Ku prawdziwszej przyszłości”, zapytamy: Co możemy z tym wszystkim zrobić? Jeśli kłamstwa i wciskanie kitu zawsze były obecne w historii, co to oznacza dla dyscyplin naukowych, takich jak nauki ścisłe, historia i inne dziedziny pozwalające ustalać fakty o świecie? Czy jesteśmy skazani na życie we mgle dezinformacji, czy też możemy podjąć jakieś kroki, żeby odrobinę przesunąć wskazówkę z powrotem w kierunku uczciwości?

Ta książka zabierze was na wycieczkę objazdową po kilku najbardziej niesłychanych kłamstwach, najbardziej horrendalnych bzdurach i najbardziej utrwalonych nieprawdach w dziejach ludzkości. Wiele z tego, co tu znajdziecie, wyda się wam niewiarygodne, chociaż nie brakowało takich, którzy w to wszystko wierzyli. Na koniec zrozumiecie, dlaczego nigdy nie istniała „epoka prawdy”, i zaczniecie na nowo doceniać cudowną rozmaitość absurdów wymyślanych przez nasz gatunek. Mówiąc wprost, dzięki tej książce staniecie się lepsi, mądrzejsi i bardziej atrakcyjni.

Mówię szczerze. Dlaczego miałbym was okłamywać?

---

[1] Kessler Glenn, Rizzo Salvador i Kelly Meg, *President Trump has made 10,796 false or misleading claims over 869 days*, „Washington Post”, 10 czerwca 2019, dostępne na https://www.washingtonpost.com/politics/2019/06/10/president-trump-has-made-falseor-misleading-claims-over-days/.

[2] Kessler Glenn, *A year of unprecedented deception: Trump averaged 15 false claims a day in 2018*, „Washington Post”, 30 grudnia 2018, dostępne na https://www.washingtonpost.com/politics/2018/12/30/year-unprecedented-deception-trump-averaged-false-claims-day/.

[3] Kessler Glenn, Rizzo Salvador i Kelly Meg, *President Trump has made more than 5,000 false or misleading claims*, „Washington Post”, 13 września 2018, dostępne na https://www.washingtonpost.com/politics/2018/09/13/president-trump-has-made-more-than-falseor-misleading-claims/.

1

Pochodzenie fałszu

To książka o prawdzie – albo, ściślej mówiąc, o tym, co nie jest prawdą.

Niestety, to oznacza, że zanim przejdziemy dalej, musimy trochę pomyśleć, czym w rzeczywistości jest prawda. I, co ważniejsze, czym nie jest.

Sprawa niezwykle się komplikuje z powodu niesamowitej różnorodności sposobów, w jakie można się mylić. To może być dla niektórych sporą niespodzianką. Wielu z nas zakłada, że istnieją po prostu prawda i fałsz i że łatwo jest je rozróżnić. Nie jest to jednak takie proste. Na przestrzeni wieków ci, którzy zastanawiali się nad naturą prawdy i jej przeciwieństwa, uświadamiali sobie jedną kluczową zasadę: Rację można mieć na niewiele sposobów, natomiast mylić się można na niezliczone sposoby.

„Prawda zawsze ma jednego ojca, kłamstwa zaś są bękartami tysiąca mężczyzn i są płodzone wszędzie”[1], lamentował w 1606 roku elżbietański dramaturg Thomas Dekker. Albo, jak szesnastowieczny filozof Michel de Montaigne ujął to w swoim eseju *O kłamcach*: „Gdyby kłamstwo podobnie jak prawda miało tylko jedną twarz, łatwiej dalibyśmy sobie z nim radę; przyjęlibyśmy po prostu za pewnik przeciwieństwo tego, co mówi kłamca; ale odwrotna strona prawdy ma sto tysięcy postaci i nieograniczone pole”.

Ta książka jest próbą skatalogowania tylko kilku z tych stu tysięcy postaci.

Nasze czasy pod żadnym względem nie są pierwszym w historii okresem obsesji na punkcie prawdy i jej braku. Co więcej, całe dwa stulecia w Europie są czasami nazywane „epoką dysymulacji” z powodu

powszechności kłamania – od szesnastego wieku kontynent był rozdarty konfliktami religijnymi i ludzie musieli nosić maski fałszu po prostu po to, żeby przeżyć.

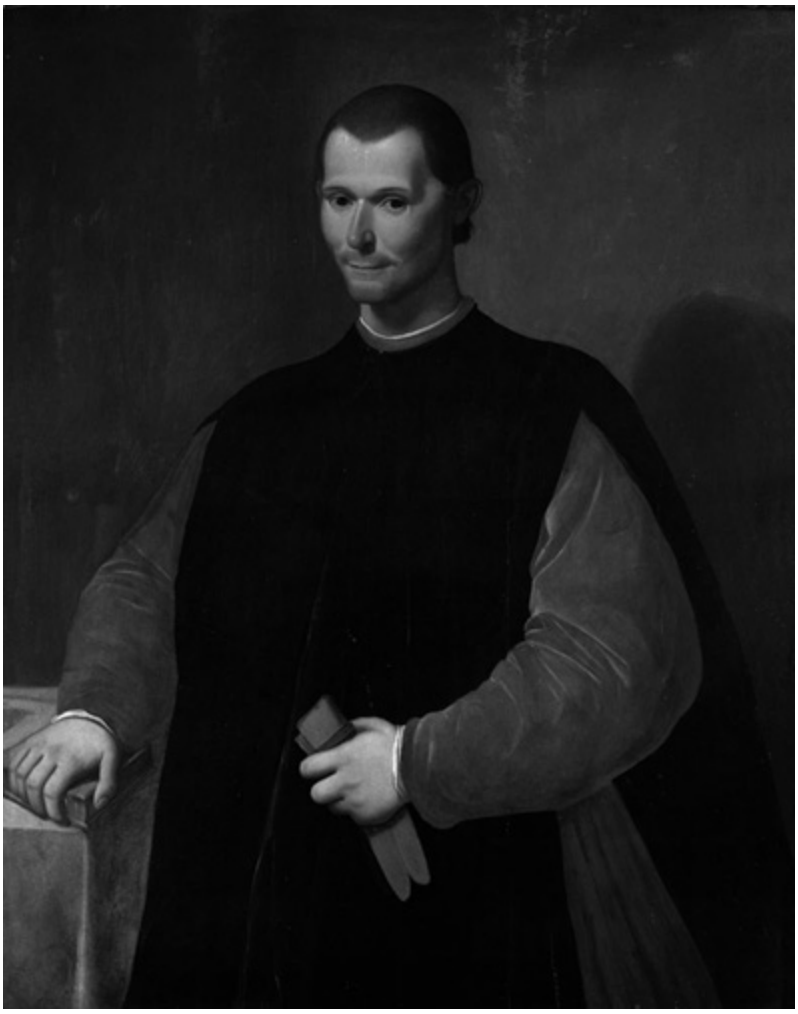

Niccolò Machiavelli: on wiedział.

Machiavelli, człowiek tak bardzo kojarzony ze sztuką obłudy politycznej, że gdy o niej mówimy, wciąż sięgamy (raczej niesprawiedliwie) po jego nazwisko, w 1521 roku napisał: „Od dawna już bowiem i dzisiaj także (…) nie mówię nigdy tego, co myślę, ani nie myślę tego, co mówię, a jeśli nawet zdarzy mi się czasem powiedzieć prawdę,

ukrywam ją za tyloma kłamstwami, że trudna jest do odkrycia”[2]. Bądźmy szczerzy – wszyscy mieliśmy w pracy takie dni.

Na przestrzeni dziejów ludzie byli zainteresowani kłamstwem do tego stopnia, że wymyślali niezwykle różnorodne sposoby na identyfikowanie kłamców. Wedy starożytnych Indii proponowały metodę opartą na języku ciała i głosiły na przykład, że kłamca „nie odpowiada na pytania albo udziela wymijających odpowiedzi; plecie trzy po trzy, grzebiąc w ziemi paluchem, i drży; jego twarz traci kolor, pociera palcami cebulki włosów; próbuje każdym sposobem opuścić dom…”[3] Również w Indiach, kilka stuleci później, istniała metoda oparta na ważeniu: osobę oskarżoną o kłamstwo umieszczano na wadze z idealnie dobraną przeciwwagą. Następnie zdejmowano delikwenta, wygłaszano krótką mowę do wagi, zaklinając ją, żeby ujawniła prawdę, po czym przystępowano do ponownego ważenia. Jeśli człowiek był lżejszy niż wcześniej, uznawano go za niewinnego; taki sam albo większy ciężar jednoznacznie wskazywał na winę[4].

(Co ciekawe, w wielu europejskich procesach o czary związek między ciężarem i prawdą był zupełnie inny: podczas gdy w Indiach lekkość kojarzono z niewinnością, to w Europie unoszenie się na powierzchni wody mogło wystarczyć do skazania oskarżonej osoby. Tak oto hinduskie podejście stanowi rzadki argument przemawiający za odchudzaniem się w sądzie).

Inne kultury preferowały prostsze, bardziej bezpośrednie metody identyfikowania kłamców, takie jak rozgrzane do czerwoności pogrzebacze albo wrząca woda. Nie jest do końca jasne, czy były skuteczniejsze.

Przez długi czas ludzie poświęcali mnóstwo wysiłku próbom sklasyfikowania rodzajów fałszu. Był to swego rodzaju teologiczny odpowiednik pisania listy BuzzFeed. Już roku Pańskiego 395 święty

Augustyn ogłosił zidentyfikowanie ośmiu rodzajów kłamstwa i podał je w kolejności od najgorszych po te bardziej niewinne: kłamstwa w nauczaniu religijnym; kłamstwa, które krzywdzą innych i nikomu nie pomagają; kłamstwa, które krzywdzą innych i komuś pomagają; kłamstwa mówione dla przyjemności kłamania; kłamstwa mówione po to, żeby „zadowolić innych w gładkiej rozmowie”; kłamstwa, które nikogo nie krzywdzą i pomagają komuś materialnie; kłamstwa, które nikogo nie krzywdzą i pomagają komuś duchowo; kłamstwa, które nikogo nie krzywdzą i chronią kogoś przed „cielesnym splugawieniem” (sądzę, że przy tym ostatnim miał na myśli uniemożliwienie bzykanka, ale nie mam stuprocentowej pewności).

W dzisiejszych czasach oczywiście inaczej klasyfikujemy kłamstwa, ale są subtelności, których być może nie jesteś świadom. Wszyscy słyszeli o białych kłamstwach – nieszkodliwych towarzyskich wykrętach umożliwiających dogadanie się bez wzajemnego skakania sobie do gardeł – ale czy wiesz, że są inne kolory kłamstwa? Żółte kłamstwa są mówione ze wstydu, z zakłopotania albo tchórzostwa, żeby zamaskować porażkę: „Laptop mi padł i skasował raport, który obiecałem na dzisiaj skończyć”. Błękitne kłamstwa stanowią przeciwieństwo żółtych, bagatelizują nasze osiągnięcia i wynikają ze skromności („Och, ten raport to nic nadzwyczajnego, tak naprawdę większą część napisała Cathy”). Czerwone kłamstwa mogą być najbardziej interesujące ze wszystkich – to kłamstwa mówione bez zamiaru oszukania. Mówiący wie, że kłamie, słuchacz wie, że jest okłamywany, i kłamiący wie, że słuchacz o tym wie. W tym wypadku celem nie jest wprowadzenie kogoś w błąd – cel polega na zasygnalizowaniu rozmówcy, że czegoś nie można powiedzieć głośno (ani „Pieprzę cię”, ani nawet łagodniejszego „Po prostu będziemy udawać, że to się nie stało”). Wyobraź sobie dwoje ludzi, którzy w rozmowie z sąsiadem

zaprzeczają, że wczoraj wieczorem była u nich potężna awantura, chociaż wiedzą, że wszyscy ją słyszeli – to właśnie jest czerwone kłamstwo.

Mówi się, że kłamstwo zdąży obiec pół świata, zanim prawda włoży buty. (Pytanie, kto pierwszy to powiedział, jest kwestią sporną. Słowa te są często przypisywane Markowi Twainowi albo Winstonowi Churchillowi, albo Thomasowi Jeffersonowi, albo komuś innemu ze zwykłej listy podejrzanych, gdy chodzi o cytaty – co niekoniecznie musi być prawdą. Być może autorem tych słów jest ikoniczny irlandzki satyryk, Jonathan Swift, który w 1710 roku napisał, że „kłamstwo frunie, a prawda za nim kuśtyka”).

Jonathan Swift wymyślający jakąś ściemę.

Niezależnie od tego, kto wymyślił to powiedzenie, niewątpliwie jest prawdą, że bujdy mogą się rozprzestrzeniać z wyjątkową i przerażającą szybkością, o czym się przekonacie, jeśli kiedyś spróbujecie demaskować internetowe plotki – robię to dla pieniędzy, więc możecie mi wierzyć, wiem coś o tym.

W rzeczywistości powód tak częstej przewagi nieprawdy nad prawdą ma mniej wspólnego z różnicą między tempem rozchodzenia się faktów i fikcji, a nawet z tym, że czasami decydowanie się na zaakceptowanie prawdy nie jest wygodne, a więcej ze skalą i różnorodnością kłamstw. Na każde kłamstwo, które przebywa pół świata, mogą przypadać tysiące takich, które nigdy nie wychodzą na światło dzienne. Ale już sama liczba możliwych kłamstw – nieograniczanych przez potrzebę dopasowania do rzeczywistości – zapewnia wielki darwinistyczny poligon do poszukiwania tych najbardziej przykuwających uwagę i najdłużej utrzymujących się przy życiu, tych, które jak zombie nie umierają i wciąż będą powracać. Przypominają one te gatunki ryb, które składają dwa miliony jaj, żeby mogła przeżyć dwójka potomstwa.

Prawda, w przeciwieństwie do kłamstwa, jest… no cóż, trochę nudna. Można powiedzieć, że po prostu istnieje – szara grudka nieokreślonej wielkości, znajoma, a jednak nieodgadniona. Poza tym, że nieco nudna, jest również wyjątkowo frustrująca; jak zaświadczy każdy, kto para się ustalaniem małych cząstek prawdy, ma ona paskudny zwyczaj wyślizgiwania się z zasięgu człowieka akurat wtedy, gdy ten myśli, że już ją dopadł.

Oczywiście pewne prawdy są proste i niezaprzeczalne: ogień jest gorętszy od lodu, prędkość światła w próżni jest stała, najlepszą piosenką wszech czasów jest *Dancing On My Own* w wykonaniu Robyn. Ale gdy się wyjdzie poza te niezmienne prawa natury, wszystko zatrważająco szybko

staje się mętne. Nagle stwierdzamy, że często mówimy takie rzeczy jak „Najlepsze dostępne dowody sugerują, że…” i „Tak, ale co z szerszym kontekstem?”. Każdy, kto spędza czas na szukaniu precyzji i dowodów, rozumie, że jakikolwiek nowy fragment wiedzy ma zwyczaj budzenia dziesięciu kolejnych pytań; za każdym razem, gdy myślisz, że zbliżasz się do oświecenia, rzeczywistość odsuwa się coraz dalej w kierunku horyzontu, podczas gdy ty toniesz w morzu zastrzeżeń. Prawda wedle tej miary jest nie tyle konkretem, ile długą, irytującą podróżą ku miejscu przeznaczenia, do którego nigdy się nie dociera.

Tymczasem niezliczone półprawdy, które oferuje nam świat, są kuszące, łatwe do przyjęcia i – jeśli mamy być szczerzy – często mogą być ogromnie zabawne.

W tej książce przyjrzymy się czystej różnorodności nieprawdy, ponieważ kłamstwa są w rzeczywistości tylko jedną ze „stu tysięcy postaci”, jakie może przyjąć przeciwieństwo prawdy.

Jest na przykład spin, czyli sztuka oszustwa politycznego. Sprytne w spinie jest to, że niekoniecznie trzeba kłamać, żeby być nieuczciwym. Podczas gdy wielu polityków kłamie (szokująca wiadomość, wiem), prawdziwym szczytem umiejętności „spin doktora” jest sugerowanie czegoś zupełnie nieprawdziwego przez mówienie tylko tego, co jest prawdą – budowanie domu nonsensu z uczciwych cegieł. Są też złudzenia, wrodzona zdolność ludzi do mylenia się przy jednoczesnym wmawianiu sobie, że mają rację, od wyolbrzymiania własnych cech po uleganie zbiorowej histerii i owczemu pędowi. I dalej – może najbardziej rozpowszechnione i przynoszące największe szkody ze wszystkich – jest wciskanie kitu.

Powinniśmy tutaj podziękować filozofowi Harry’emu G. Frankfurtowi za nasze rozumienie tego zjawiska – on pierwszy poświęcił dużo czasu na

przeanalizowanie tego skomplikowanego zagadnienia, pisząc swój doniosły traktat *O wciskaniu kitu* (tak, Harry Frankfurt najwyraźniej świetnie się bawi, będąc filozofem).

Główne spostrzeżenie Frankfurta jest takie, że – wbrew temu, co możesz myśleć – kłamanie i wciskanie kitu nie jest jednym i tym samym. Pisze: „Kłamać może tylko człowiek, który sądzi, że zna prawdę. Wciskanie kitu nie nakłada żadnych tego rodzaju ograniczeń". Innymi słowy, dla kłamcy prawda nie jest obojętna z tego samego powodu, z jakiego żeglarz interesuje się górami lodowymi. Kłamcy, aby mogli podjąć precyzyjne i rozmyślne działania, żeby uniknąć mówienia prawdy, muszą wiedzieć, gdzie ona dokładnie leży. Natomiast dla osoby wciskającej kit prawda nie ma znaczenia; z zadowoleniem przyjmuje ją albo odrzuca. Przy wciskaniu kitu drobna przypadkowa zbieżność z prawdą może być uważana za opcjonalny dodatek; jeśli tworzony przez ciebie świat kitu czasami nakłada się na ten prawdziwy, to ci nie zaszkodzi, a może nawet będzie pomocną premią. Dla kłamcy natomiast nieostrożne przyznanie się do jakiegoś niewygodnego faktu może okazać się fatalne.

Kit opiera się na logice snów i radośnie tratuje niekonsekwencje, ponieważ, cóż, w danym momencie to ma sens. Frankfurt notuje, że ta „obojętność na to, jak się sprawy mają faktycznie, jest (…) podstawową cechą konstytutywną wciskania kitu".

W konsekwencji wpływ kitu na świat jest zupełnie inny. Kłamanie jest jak praca skalpelem; wciskanie kitu to buldożer. Jeśli w dzisiejszych czasach rozglądasz się po świecie i zachodzisz w głowę, jak to jest, że tym kłamliwym kłamcom uchodzą na sucho bezczelne kłamstwa i dlaczego ludzie nie piętnują ich za to, że kłamią, cóż… oto odpowiedź: Oskarżasz ich o niewłaściwą rzecz. Kłamanie – trudne, skupione na szczegółach

i analityczne działanie – niekoniecznie jest naszym głównym problemem. Naszym głównym problemem jest wciskanie kitu.

I za wszystkimi odmianami nieprawdy leży po prostu stare dobre bycie w błędzie.

Jak wspomniałem, zarabiam na życie, pracując w organizacji sprawdzającej fakty, gdzie często mamy do czynienia z całą gamą sposobów, w jakie ludzie mogą się mylić. W ubiegłym roku opracowaliśmy swego rodzaju eksperyment myślowy, żeby skłonić ich do zastanowienia się nad różnymi rodzajami błędów, jakie można znaleźć w środowisku naturalnym. Koncepcja polega na zdarciu całej mylącej gmatwaniny otaczającej większość rzeczy na świecie i sprowadzeniu każdej historii do jednego opartego na faktach prostego stwierdzenia z jednego źródła – takiego, w którym nie można liczyć na żadne inne dowody poza tym jednym, popierającym albo obalającym daną historię. Nazywamy to „zabawą z zegarem”, a wygląda ona następująco:

Zbudził cię uporczywie dzwoniący telefon. Otwierasz oczy. Jesteś w nieznanym ci pokoju, słabo oświetlonym przez nikły blask sączący się przez szpary wokół tego, co, jak zakładasz, jest drzwiami łazienki. Na podstawie uniwersalnych wskazówek, które sygnalizują, że jest „podobnie, ale niezupełnie jak w domu”, dochodzisz do wniosku, że przebywasz w pokoju hotelowym. Nie wiesz, gdzie jesteś ani jak się tu znalazłeś – ale czujesz się zmęczony i skołowany, więc dochodzisz do wniosku, że odbyłeś długą podróż samolotem.

Nie masz pojęcia, jak długo spałeś.

Rozglądasz się po pokoju, szukając jakichś wskazówek. Nie ma zegara, a czarne zasłony w oknach uniemożliwiają określenie, czy

na zewnątrz jest dzień, czy noc. Telefon przy łóżku wciąż dzwoni denerwująco głośno. Niezdarnie podnosisz słuchawkę.

– Cześć, udało ci się! – wita cię nieco zbyt radosny głos z akcentem, którego nie umiesz zidentyfikować.

– Halo? – mamroczesz. – Kto mówi?

– Barry! Cieszę się, że końcu odebrałeś!

Nie jesteś pewien, czy znasz jakiegoś Barry'ego, ale przechodzisz nad tym do porządku.

– Ja, e… – zaczynasz, po czym uświadamiasz sobie, że w zasadzie nie wiesz, co powiedzieć. – Hm… która godzina? – kończysz kulawo.

– Zaczekaj chwilkę – mówi osoba, która twierdzi, że jest Barrym. – Pójdę spojrzeć na zegar.

Słyszysz stuknięcie odkładanej słuchawki i kroki cichnące w dali. Mija jakiś czas, kilka sekund albo minut, nie jesteś pewien. Znowu słyszysz kroki, tym razem zbliżające się.

– Piąta, stary – oznajmia samozwańczy Barry.

– Aha – mruczysz.

Cel zabawy jest następujący: Czy możesz wymienić wszystkie sposoby, na które da się podważyć twoją wiarę w prawdziwość odpowiedzi Barry'ego? Uwaga, spoiler: prawdopodobnie jest ich więcej, niż myślisz! Już mamy ich ponad dwadzieścia, a prawie na pewno kilka przeoczyliśmy.

Śmiało, poświęć chwilę i zobacz, ile zdołasz wymyślić. W tym momencie wyobraź sobie miłą dla ucha muzykę.

[LECI *TAKE FIVE* DAVE'A BRUBECKA, A TY GŁĘBOKO MYŚLISZ O ZEGARACH I BYĆ MOŻE RÓWNIEŻ ZASTANAWIASZ SIĘ, CZY AUTOR TEJ KSIĄŻKI NIE ZWARIOWAŁ].

OK, jesteś z powrotem? Dobrze! Najpierw zajmijmy się oczywistymi możliwościami. Może zegar Barry’ego źle chodzi: śpieszy się albo spóźnia, albo w ogóle stanął; może chodzi idealnie dobrze, tylko od początku był niewłaściwie nastawiony. A na tym zegarze naprawdę trudno odczytać czas, bo to jeden z tych przekombinowanych projektów z drewna wyrzuconego na brzeg i szklanych kulek, ładnie wyglądający na ścianie, ale niezbyt przydatny do określenia godziny. Może zresztą to wcale nie jest zegar. Może to tylko rysunek zegara. Może Barry w ogóle nie ma zegara i wcześniej tego dnia kazał komuś napisać godzinę na kartce.

Może ty i Barry znajdujecie się w innych strefach czasowych – więc chociaż podał czas z idealną dokładnością, dla ciebie nie jest to prawdą. Może dla wygody zaokrąglił minuty do najbliższej godziny, co tak naprawdę niewiele ci daje, ponieważ chciałeś wiedzieć, czy było bliżej wpół do. Może była piata, kiedy spojrzał na zegar, ale zanim wrócił, upłynął jakiś czas.

Może Barry celowo cię okłamał, z wielu nikczemnych powodów, jakie mają ludzie o takim imieniu. Może nie skłamał, tylko wcisnął ci kit, ponieważ nie zna się na zegarku, a nie chciał się do tego przyznać. Może myśli, że umie odczytać godzinę, ale myli wskazówki. Może zamierzał powiedzieć „dziewiąta”, lecz się przejęzyczył.

A może powiedział „dziewiąta”, a ty po prostu źle usłyszałeś. Może w gruncie rzeczy to ty się nie znasz na zegarze i w tej chwili myślisz: Aha, piąta, więc niedługo północ. Może założyłeś, że Barry nie uwzględnił czasu, jaki zajmie mu powrót do telefonu, więc sądzisz, że jest pięć po piątej, ale w rzeczywistości Barry to wkalkulował, więc niepotrzebnie zrobiłeś poprawkę.

Może w swoim lekko paranoidalnym stanie uznałeś, że Barry cię okłamie, więc teraz myślisz, że zdecydowanie nie jest piąta. Ale się mylisz.

Barry jest przyzwoitym człowiekiem, i twoim przyjacielem, i nigdy by cię nie okłamał. Naprawdę jest piąta i twój brak zaufania wprowadził cię w błąd.

Może nawet ty i Barry posługujecie się innym czasem. Może Barry jest inżynierem NASA pracującym nad pozaziemskim projektem i jego zegar jest nastawiony na dzień marsjański, który trwa trzydzieści siedem minut dłużej niż ziemski.

Może nawet „Piąta, stary” nie jest próbą podania ci godziny, ale hasłem tajnej agencji, dla której obaj pracujecie, o czym zapomniałeś wskutek traumatycznej amnezji.

Może ludzie w ogóle nie mogą mierzyć czasu, tej tajemniczej rzeki, która nas wszystkich niesie, i nasze wysiłki podejmowane w tym celu są nieudolnymi przybliżeniami.

A może… może po prostu Barry’emu chodziło o piątą rano, podczas gdy ty założyłeś, że mówił o piątej po południu.

Oczywiście, możesz to wszystko uznać za nonsens – ale w rzeczywistości każdy jeden z tych sposobów mylenia się jest wziętym z życia przykładem wychodzenia w świat nierzetelnych informacji. Tak, nawet ten głupi przykład, gdy Barry podaje godzinę według czasu marsjańskiego albo przekazuje supertajne hasło.

Te bardziej prozaiczne wyjaśnienia wydają się całkiem oczywiste – zbyt duże zaokrąglanie, nieuwzględnianie błędów (jak czas przejścia od zegara do telefonu) albo niezdawanie sobie sprawy, że źródło informacji (na przykład spóźniający się zegar) jest po prostu niegodne zaufania. To są powszechne problemy, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z faktami opartymi na danych. Próba odczytywania godziny na zatrzymanym zegarze albo z kartki pasuje do ludzkiego nawyku, jakim jest nabieranie absolutnej pewności w różnych sprawach, podczas gdy powinno być dla nas jasne, że

tak naprawdę nie możemy się oprzeć na żadnych pożytecznych informacjach. Marsjański zegar Barry'ego jest zaskakująco pospolitym błędem – ludzie zwyczajnie nie zdają sobie sprawy, że używają zupełnie różnych definicji tego samego pojęcia. (Pamiętaj, że Krzysztof Kolumb „odkrył" Amerykę tylko dlatego, że źle określił odległość do Azji, ponieważ obliczając obwód Ziemi, korzystał ze źródła, które, jak założył, podawało go w milach rzymskich, chociaż w rzeczywistości chodziło o mile arabskie, mające zupełnie inną długość).

Niesamowite, podczas zbierania materiałów do tej książki odkryłem, że nie my pierwsi wpadliśmy na pomysł takiego eksperymentu myślowego. W roku 1936 Vilhjalmur Stefansson, człowiek o nieco burzliwej karierze nieustraszonego badacza Arktyki, zszedł z obranej ścieżki i napisał książkę zatytułowaną *Adventures in Error* (Przygody z błędem) – to z niej pochodzi cytat zamieszczony na początku tej książki. Stefansson podaje bardzo podobny przykład, tylko że zamiast zegara używa krowy.

Scenariusz wygląda następująco: „Do domu wchodzi człowiek i mówi, że na podwórzu stoi czerwona krowa"[5]. Z początku myślicie, że nie ma w tym żadnej wieloznaczności. Czerwona krowa na waszym podwórku to sytuacja typu: jest albo nie jest. Ale Stefansson zauważa, że w rzeczywistości można się mylić na liczne sposoby. Krowa wcale nie musi być krową – może to być wół albo byk. Dodaje, że człowiek, który ją widział, „może był ślepy na kolory i krowa (całkowicie niezależnie od aspektu filozoficznego) nie musi być czerwona". Albo dopuszcza możliwość, że w momencie, gdy ten człowiek mówi o krowie, pies mógł ją już przepędzić.

Mam nadzieję, że całe to lanie wody o krowach i zegarach przekonało cię, że jeśli czasami wydaje ci się, że toniesz w morzu fałszu, jest ku temu bardzo dobry powód: po prostu fałsz ma naturalną przewagę nad prawdą,

ponieważ może go być znacznie więcej. Ale to nie jedyna jego przewaga. W naszych mózgach i naszych społeczeństwach jest mnóstwo czynników, które pozwalają kwitnąć nieprawdzie.

Przez wiele stuleci wierzyliśmy, że kłamanie jest wyłącznie ludzką cechą, naszym grzechem pierworodnym. Jak się okazuje, ludzie nie są jedynymi istotami, które kłamią. Na początek: życie wielu zwierząt i roślin opiera się na oszustwie – pomyśl o oposie udającym martwego albo o kukułce pasożytującej w gnieździe innego ptaka, albo o storczyku, który wygląda jak seksowna pszczoła, aby nabierać głupich napalonych samców, żeby go zapylały. Oczywiście możesz rozsądnie zauważyć, że to niezupełnie kłamanie – to tylko mimowolny produkt końcowy wielu pokoleń ewolucyjnego wyścigu zbrojeń. W porządku, jest jednak mnóstwo dowodów, że niektóre z bystrzejszych zwierząt są doskonale zdolne do zamierzonego i celowego oszukiwania.

Weźmy jeden szczególnie zapadający w pamięć przykład. W swojej pracy *Can Animals Lie?* (Czy zwierzęta potrafią kłamać?) językoznawca Thomas A. Seboek wspomina o „przystojnym tygrysie", który żył w zuryskim zoo i nauczył się zwabiać gości ku kratom swojej klatki za pomocą „szeregu wzbudzających zainteresowanie zachowań"[6]. Kiedy oczarowany turysta podchodził do klatki, tygrys – i nie ma możliwości ująć tego delikatnie – zlewał go potężną strugą moczu. Tygrysowi ta sztuczka sprawiała taką frajdę, że w końcu kierownictwo zoo postawiło tablicę ostrzegającą gości, że nie wolno mu ufać.

Sikający tygrys nie jest wyjątkiem. Delfin w placówce badawczej w Missisipi, wyszkolony do sprzątania basenu i nagradzany za to rybami, nauczył się ukrywać śmieci pod skałą i wynosił je na powierzchnię w wybranym przez siebie czasie, żeby dostać rybę[7]. Szympansy, jak zaobserwowano, dopuszczają się całego wachlarza oszustw. Kiedy są

zdenerwowane, mimowolnie szczerzą zęby – jeden, zagrożony przez znajdującego się za nim drugiego szympansa, zmusił się do schowania zębów i dopiero wtedy się odwrócił, udając, że wcale się nie przestraszył. Inny młody samiec, najmniej dominujący w grupie, próbował ukradkiem uwieść szympansicę, do której dominujące samce nie pozwalały mu się zbliżać. Gdy jeden z nich interweniował, młody zasłonił rękami erekcję, jak bohater w brytyjskiej komedii erotycznej z lat siedemdziesiątych[8].

Oszukiwanie jest elementem znacznej części świata przyrody, więc może nie powinniśmy być dla siebie zbyt surowi za to, że od czasu do czasu ściemniamy.

Zdolność do oszukiwania raczej nie jest wrodzona – wydaje się, że ewoluowała. Badania naukowe wykazały, że u wszystkich naczelnych istnieją bliskie korelacje między wielkością kory nowej (części mózgu odpowiadającej za skomplikowane zadania, takie jak mowa) i częstością występowania oszustw. Innymi słowy, im większy mózg, tym więcej kłamstw[9]. Wyzwania stawiane przez życie w złożonych grupach społecznych – łącznie z potrzebą okazjonalnego oszukiwania – mogły spowodować zwiększenie złożoności i wielkości naszych mózgów.

Związek pomiędzy zdolnościami poznawczymi i oszukiwaniem komplikuje się w czasie, gdy dorastamy. Dzieci na ogół zaczynają kłamać, gdy mają dwa i pół roku, niedługo po tym, jak zaczynają mówić. Pierwsze kłamstwa służą „zaspokajaniu pragnień”: „Nie chciałbym być tym, kto zjadł ciastka”[10]. W miarę rozwijania się zdolności umysłowych, kiedy dzieci zaczynają rozumieć skomplikowaną naturę interakcji z innymi, talent do kłamania dotrzymuje kroku tym odkryciom.

Jak głęboko tkwi fałsz w naszym codziennym życiu? Prawdopodobnie głębiej, niż myślicie. Badania psychologiczne sugerują, że w ciągu pierwszych dziesięciu minut rozmowy z nieznajomą osobą przeciętnie

wypowiada się trzy kłamstwa[11]. Inne badania wykazały, że każdy z nas kłamie średnio co najmniej raz dziennie – chociaż te badania są oparte na pytaniu, jak często kłamiesz, więc istnieje ryzyko, że odpowiadający… kłamie.

Nie jest to jedyny potencjalny problem związany z zadawaniem pytań o to, jak często kłamiesz. Gdy przystąpiłem do pracy nad tą książką, jeden z moich pierwotnych planów polegał na prowadzeniu „dziennika kłamcy" – chciałem przez kilka tygodni skrupulatnie notować wszystkie wypowiedziane przeze mnie nieprawdy. Miała to być próba uzyskania wglądu właśnie w to, jak bardzo fałsz przenika nasze życie, nawet (albo zwłaszcza) życie tych z nas, którzy uważają się za całkowicie uczciwych. Ekscytowała mnie ta perspektywa, chociaż również się denerwowałem. Ile przyjaźni nieodwracalnie zniszczy publikacja tej książki? – zastanawiałem się.

Niepotrzebnie się przejmowałem. Nie dlatego, że nagle się okazało, że jestem wzorem cnót w dziedzinie mówienia prawdy (chociaż oczywiście jestem), ale ponieważ każda podjęta przeze mnie próba notowania kłamstw kończyła się z hukiem mniej więcej po jednym dniu.

Po prostu nie byłem w stanie zauważyć, kiedy ściemniałem.

Jasne, wiem, że w tym czasie kłamałem. Ani jedno z tych kłamstw nie było wyjątkowo potworne; podczas pisania książki nie popełniałem masowych zbrodni. Zasadniczo kłamstwa należały do trzech kategorii: kłamstwa o tym, co już zrobiłem, kłamstwa o tym, co mogę zrobić w najbliższej przyszłości, i kłamstwa związane z moim życiem towarzyskim.

Pierwsza kategoria dotyczyła głównie SMS-ów i e-maili do mojego wydawcy i agenta z zapewnieniami, że książka idzie mi naprawdę dobrze i że mnóstwo już napisałem (przepraszam). Druga odnosiła się przede

wszystkim do kolegów z pracy, którym z przekonaniem przyrzekałem, że zaraz zabiorę się do tego, co im obiecałem, i że jutro na pewno coś będę dla nich miał (ponownie przepraszam). Trzecia kategoria obejmowała szeroki wachlarz drobnych kłamstw, które powstrzymują ludzi od wpadnięcia w morderczą spiralę wzajemnych oskarżeń: zmyślone usprawiedliwienia nieobecności na imprezie, przejrzyście fałszywe twierdzenia, że dopiero przed chwilą przeczytałem SMS-a, gołosłowne zapewnienia, że tak, w tym sporze niewątpliwie ty masz rację, a ta druga osoba gada głupoty.

(Ostatnia kategoria prawdopodobnie byłaby znacznie obszerniejsza, gdyby nie to, że w owym czasie pisałem książkę i dlatego przez wiele miesięcy odrzucałem zaproszenia do pubu z absolutnie prawdziwych powodów – tłumaczyłem mianowicie, że muszę się skoncentrować na nadzwyczaj doniosłym zadaniu, jakim było tępe wpatrywanie się w ekran i niepisanie niczego. Mała rada, introwertycy: Zbliżający się termin oddania książki jest doskonałym i całkowicie uczciwym pretekstem do wykręcenia się od zobowiązań towarzyskich!).

W większości wypadków doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że mówiłem kłamstwa – z okazjonalnymi wyjątkami, gdy w dobrej wierze obiecywałem, że coś zrobię (obietnice bywały oparte na czystej i prostej iluzji, że mogę pracować bez przerwy bite trzydzieści sześć godzin, bo z tylu, jak mi się wydawało, składała się doba). A jednak podczas aktu kłamania w moim mózgu działo się coś więcej – przełączał się pstryczek i czasowo wymazywałem fakt serwowania małych porcji kitu. Zwróciłem uwagę na to zjawisko dopiero wtedy, gdy postawiłem sobie za cel notowanie wszystkich moich białych kłamstewek: po prostu w danej chwili nie byłem w stanie ich rozpoznać. Było tak, jakby mój umysł miał mechanizm samoobrony przed uświadamianiem sobie, że kłamię.

Nie mam pojęcia, czy inne mózgi też działają w ten sposób. Całkiem możliwe, że przypadkiem odkryłem, że jestem psychopatą. Są jednak całkiem spore szanse, że to samo dotyczy wielu ludzi – tak przypuszczam.

Kłamcy kłamią, ściemniacze ściemniają. Jak na razie to proste. Ale naprawdę interesujące jest nie to, dlaczego ludzie mówią nieprawdę, bo tak będzie zawsze. Naprawdę interesujące jest to, dlaczego niektóre kłamstwa nie tracą racji bytu – dlaczego mimo całego naszego zdeklarowanego szacunku dla prawdy i wszystkich struktur, które jako społeczeństwo tworzymy w celu zidentyfikowania i wykorzenienia kłamstwa, powszechnie wierzy się w pewne nieprawdy. Innymi słowy, jak ściemniaczom uchodzi to bezkarnie?

Otóż poza przewagą liczebną nad prawdą kłamstwo ma po swojej stronie pewne przyczyny strukturalne. W tej książce wciąż będziemy napotykać siedem głównych sposobów rozprzestrzeniania się i zakorzeniania nieprawdy.

Bariera wysiłku

Z barierą wysiłku mamy do czynienia wtedy, gdy względna trudność sprawdzenia jakiejś prawdy przeważa nad jej widocznym znaczeniem. Kluczowe jest to, że bariera działa na obu końcach skali: odnosi się do rzeczy, których sprawdzenie byłoby względnie łatwe, ale które są tak błahe, że nikt nie zawraca sobie tym głowy, i do rzeczy zdecydowanie ważnych, ale przy tym naprawdę trudnych do sprawdzenia. Szesnastowieczni odkrywcy mogli sobie pozwolić na twierdzenie, że w Patagonii żyje rasa czterometrowych olbrzymów, dokładnie z takiego samego powodu, z jakiego zwykle uchodzi ci na sucho zmiana oceny z matematyki na

wyższą w CV. Tak, ktoś mógłby to sprawdzić, ale czy zadałby sobie tyle trudu?

To coś, co zaprawieni w boju ściemniacze rozumieją instynktownie. Wymyślanie nieprawd skonstruowanych tak, by przeszły przez znacznie większą kontrolę niż ta, jakiej kiedykolwiek zostaną poddane, jest po prostu nieefektywne. Utalentowany kłamca po prostu przerzuca swoje łgarstwa, wielkie i małe, na drugą stronę bariery wysiłku.

Próżnia informacyjna

Często lubimy myśleć, że Prawda i Kłamstwo toczą swego rodzaju odwieczną wojnę. Ale efekt bariery wysiłku jest taki, że w większości przypadków Prawda nawet się nie pokazuje na polu bitwy. Na świecie jest mnóstwo rzeczy, o których tak naprawdę niczego nie wiemy. I z powodu braku informacji zazwyczaj przestajemy mieć się na baczności, ilekroć pojawia się coś, co uchodzi za informację – nawet gdy nie ma dobrego powodu, żeby w nią wierzyć.

Wszystko to wiąże się z błędem poznawczym znanym jako kotwiczenie: nasz mózg ma tendencję do opierania się na pierwszej informacji, jaką uzyskujemy na jakiś temat, i przywiązuje do niej znacznie większą wagę niż do tych późniejszych. Kiedy nie ma rzetelnych informacji na jakiś temat, zawsze napłyną te gówno warte, żeby zapełnić próżnię – i w większości wypadków nie chcą ustąpić, nawet gdy wreszcie pojawiają się te wartościowsze.

Sprzężenie zwrotne ściemniania

Nikt z nas nie może samodzielnie ogarnąć całego świata. Wszyscy musimy polegać na innych, którzy dostarczają nam informacji. To dobra strategia – razem możemy dowiedzieć się o świecie więcej niż każdy z osobna – chociaż są też pewne minusy. Największym z nich jest sprzężenie zwrotne ściemy. Mamy z nim do czynienia wówczas, gdy niepewna informacja jest powtarzana, a my, zamiast brać te powtórki za to, czym są (zakładać, że nikt nie dokonał weryfikacji), traktujemy je jako potwierdzenie jej rzetelności; w końcu staje się ona powszechnie uznawana do tego stopnia, że ludzie zaczynają dostosowywać do niej to, co mówią – każdy wie, że informacja jest prawdziwa, więc jeśli nawet widzisz dowód świadczący o jej fałszu, to prawdopodobnie dlatego, że masz coś nie w porządku z oczami.

Tak oto osoba A mówi coś nieprawdziwego osobie B, a następnie mówi to samo osobie C. Osoba C jest sceptyczna, ale gdy słyszy potwierdzenie od osoby B, uznaje ją za drugie źródło i zaczyna wierzyć w prawdziwość informacji. Przekazuje osobie D ekscytujące wiadomości, po czym ta dzieli się nimi z osobą A, a ta uznaje to za dowód, że od początku miała rację. Tymczasem osoby E, F, G, H i I również słyszały to samo od wielu innych i wiadomość zostaje powszechnie zaakceptowana jako prawdziwa. W tym momencie osoba J nieśmiało pyta: „Naprawdę jesteśmy tego pewni?” i natychmiast zostaje przez resztę alfabetu spalona na stosie jako heretyk.

Albo, biorąc znajomy przykład, gazeta kopiuje coś z Wikipedii, a później cytuje Wikipedię na dowód, że to niepodważalny fakt.

Pragnienie, żeby to była prawda

Nasz mózg robi mnóstwo rzeczy, abyśmy stali się wyjątkowo kiepscy w wyczuwaniu różnicy pomiędzy prawdą i nieprawdą. Istnieje wiele fachowych terminów, które prawdopodobnie znasz choćby ze słyszenia – takich jak „rozumowanie umotywowane" i „efekt potwierdzenia" – ale wszystkie zasadniczo sprowadzają się do tego, że gdy chcemy w coś wierzyć, wówczas sprawdzanie, czy jest to prawdą, czy nieprawdą, zajmuje dość niską pozycję na liście priorytetów naszego mózgu. I nie ma znaczenia, czy chodzi o coś, co wspiera nasze poglądy polityczne, pasuje do naszych uprzedzeń albo jest tylko zwyczajnym rojeniem typu „Może wygrałem na loterii w Hiszpanii, mimo że nigdy nie kupiłem losu" – zawsze radośnie wymyślamy oparte na błędnych przesłankach powody, żeby uwiarygodnić najbardziej niedorzeczne twierdzenia, i wybieramy jedynie takie dowody, które je popierają, a jednocześnie beztrosko ignorujemy całą górę tych, które świadczą, że to kit.

Pułapka ego

Nawet gdy fałsz zostaje zdemaskowany, jest coś, co często stoi na drodze prawdy i rozchodzi się z równą łatwością jak kłamstwa: nie lubimy przyznawać się do pomyłek. Nasz mózg nie cierpi tego robić i całe mnóstwo błędów poznawczych odpycha nas od przyjęcia do wiadomości tego, że zawaliliśmy. Gdy do nas dotrze, że daliśmy się nabrać na jakieś kłamstwo, wiele nacisków społecznych sprawia, że chcemy to zamaskować. Kiedy ściema raz nas chwyci w swoje szpony, bywamy dość niechętni, żeby się z nich uwolnić.

Po prostu mam to gdzieś

Nawet gdy nadarza się okazja do odrzucenia nieprawdy, nie zawsze z niej korzystamy. Możemy myśleć, że nie jest ważne, czy coś jest prawdą, czy fałszem (zwłaszcza gdy podoba nam się kłamstwo). Albo sądzimy, że odpieranie okaże się nieskuteczne, i dlatego nie zawracamy sobie tym głowy. Możemy wierzyć, że kłamstwo jest tak rozpowszechnione, że przytłacza nas jego skala, i po prostu się poddajemy. Co więcej, myślimy, że… cóż, skoro wszyscy inni umywają ręce, to my też powinniśmy to zrobić.

Każde takie podejście jest zrozumiałe, ale złe.

Brak wyobraźni

Być może jedną z najmocniejszych przewag nieprawdy jest to, że nie rozumiemy niezliczonych i zaskakujących sposobów, w jakie się może przejawiać. To ma sens – przecież musimy zakładać, że większość tego, co słyszymy, jest prawdą, bo inaczej wpadlibyśmy w spiralę paranoi. Ale takie podejście może prowadzić do radykalnego lekceważenia prawdopodobieństwa, że coś wcale nie musi być prawdą. Przyjmujemy, że jeśli przeczytaliśmy o czymś w gazecie, to najpewniej jest to prawda. Uważamy, że jeśli ktoś sprawia wrażenie godnego zaufania, to nie próbuje nas nabić w butelkę. Wierzymy, że jeśli wielu świadków mówi, że coś widziało, to rzeczywiście coś w tym musi być. Żadne z tych założeń nie jest tak solidne, jak ci się wydaje.

Po prostu nie poświęcamy dostatecznej uwagi kwestii kłamstwa. Nie badamy go i o nim nie mówimy, wskutek czego nie zawsze umiemy je rozpoznać, gdy się z nim spotykamy.

Miejmy nadzieję, że po przeczytaniu tej książki to już nie będzie problemem.

---

[1] Dekker Thomas, *The Seven Deadly Sins of London*, Edward Arber, 1879.

[2] Machiavelli Niccolò, *List nr 179*, do Francesa Guicciardiniego, 17 maja 1521, cytowany w: Denery II, Dallas G., *The Devil Wins: A History of Lying from the Garden of Eden to the Enlightenment*, Princeton University Press, 2015.

[3] Cytowane w: Trovillo Paul V., *History of Lie Detection*, „Journal of Criminal Law and Criminology", tom 29, nr 6 (1938–1939).

[4] Patrz: Trovillo, również Lea Henry Charles, *Superstition and Force*, wydanie trzecie poprawione (Henry C. Lea, 1878), i Khan Ali Ibrahim, *On The Trial By Ordeal, Among The Hindus*, w: Jones sir William, *Supplemental Volumes Containing the Whole of the Asiatick Researches*, G.G. and J. Robinson, 1801.

[5] Stefansson Vilhjalmur, *Adventures in Error,* R.M. McBride & company, 1936, dostępne na https://hdl.handle.net/2027/wu.89094310885.

[6] Sebeok Thomas A., *Can Animals Lie?* w: *I Think I Am a Verb*, Springer, 1986.

[7] Angier Natalie, *A Highly Evolved Propensity for Deceit*, „The New York Times", 22 grudnia 2008, dostępne na https://www.nytimes.com/2008/12/23/science/23angi.html.

[8] Waal F.B. de, *Intentional deception in primates*, „Evolutionary Anthropology Issues News and Reviews", tom 1, nr 3.

[9] Byrne Richard W. i Corp Nadia, *Neocortex Size Predicts Deception Rate in Primates* w „Proceedings: Biological Sciences", tom 271, nr 1549, 2004.

[10] Talwar Victoria, *Development of Lying and Cognitive Abilities* w: Meibauer Jörg (red.), *The Oxford Handbook of Lying*, Oxford University Press, 2018.

[11] Feldman Robert, *Liar: The Truth About Lying*, Ebury Publishing, 2009 (Kindle edition).

2

Stare fake newsy

Titan Leeds umarł. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

Pan Leeds, ciężko pracujący i uczciwy człowiek – przed smutnym końcem był odnoszącym sukcesy wydawcą w Burlingtonie w stanie New Jersey – zmarł w środę, siedemnastego października roku Pańskiego 1733 około wpół do czwartej po południu. Tragiczna wiadomość o śmierci Leedsa została ponuro odnotowana i wydrukowana czarno na białym, żeby wszyscy mogli przeczytać: „To bez wątpienia prawda, że rzeczywiście umarł i nie żyje[1]". Tak brzmi fragment wiadomości o jego śmierci. Informacja o zejściu Leedsa z tego świata w stosunkowo młodym wieku – był po trzydziestce – musiała być szokiem dla wielu mieszkańców leżącego nad rzeką Delaware prężnego miasta Burlington, które szybko się rozrosło od czasu założenia go przez grupę kwakrów jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej.

Prawdopodobnie najbardziej zszokowany był sam Titan Leeds, na sto procent pewny, że żyje.

Możemy się tylko domyślać jego reakcji, ale mamy powody wierzyć, że po przeczytaniu wiadomości o swojej śmierci pan Leeds – zdecydowanie nie martwy – musiał być, powiedzmy, mocno wkurzony. Chcę powiedzieć, że coś takiego każdym by wstrząsnęło, prawda? Każdemu z nas można by wybaczyć odrobinę świrowania. Ale taka sytuacja musiała być wyjątkowo kłopotliwa w latach trzydziestych osiemnastego wieku, ponieważ w owym czasie Leeds naprawdę nie miał wielu punktów odniesienia do tego, co go spotkało.

Na szczęście w dzisiejszych czasach dość rzadko przytrafia się tak niepokojące doświadczenie jak czytanie o własnej śmierci – ale

przynajmniej zdajemy sobie sprawę z istnienia takiej możliwości. Prawdopodobnie wszyscy słyszeliśmy o błędnie zidentyfikowanych zwłokach albo o zbyt wcześnie opublikowanych nekrologach. Słowa „Doniesienia o mojej śmierci są mocno przesadzone” są na tyle znane, że właściwie weszły do kanonu cytatów (nawet gdyby jakiś pedant wykazał, że w rzeczywistości Mark Twain niezupełnie tak to ujął)[2]. W 1980 roku „New York Times” zamieścił nekrolog znanego kawalarza Alana Abela[3] – była to problematyczna decyzja redakcyjna, co stało się jasne nazajutrz, gdy Abel zwołał konferencję prasową, na której powiedział, że zainscenizował własną śmierć, żeby „zrobić sobie reklamę”[4] (kiedy zmarł trzydzieści osiem lat później, „New York Times” ponownie zamieścił nekrolog, cierpko dodając, że „najwyraźniej faktycznie umarł”)[5].

Innymi słowy, w dzisiejszych czasach przedwczesne powiadomienia o czyjejś śmierci są czymś dobrze znanym. Nie tylko wiemy, że takie rzeczy czasami się zdarzają, ale wielu z nas prawdopodobnie w pewnym momencie wyobrażało sobie, co by było, gdyby coś takiego spotkało nas (przyznaj, że myśl „Ludzie omyłkowo uwierzyli, że nie żyję, więc się dowiem, co naprawdę o mnie sądzą” na pewno wpadała ci do głowy w mroczniejszych chwilach). W roku 2009 na skutek podmiany zawartości strony internetowej i błyskawicznego rozprzestrzeniania się plotek na Twitterze czasowo uśmiercono Jeffa Goldbluma. Aktor w odpowiedzi zamieścił w „The Colbert Report” pean na swoją cześć, co, jak chyba wszyscy się zgodzimy, jest pierwszorzędnym sposobem na poradzenie sobie z taką sytuacją[6].

Ale dla Titana Leedsa – żyjącego w erze znacznie bliższej czasów, gdy mass media były jeszcze w zarodku – coś takiego musiało być dziwne i nowe. Świadomość, że ludzie uważają cię za zmarłego, ponieważ coś przeczytali, musiała być w tamtych czasach znacznie dziwaczniejsza, niż

byłaby dla nas… znacznie bardziej doprowadzająca do szału. Choćby dlatego, że podejmowane przez pana Leedsa wysiłki zdementowania wiadomości były, powiedzmy, udane nie w stu procentach. Ze złością informował w druku, że jest zdecydowanie żywy, ale ukazujące się przez kilka lat doniesienia z przekonaniem zapewniały, że jest zdecydowanie martwy. Na domiar złego uparcie powtarzały, że pełne złości elaboraty Leedsa pisze podszywający się pod niego oszust, i nakłaniały go do natychmiastowego zaprzestania procederu, ponieważ kalają one pamięć umiłowanego nieboszczyka.

Wszystko to stało się dlatego, że informacja o śmierci Leedsa nie była niewinnym błędem – na przykład pomyłką urzędnika albo łatwowiernie powtarzaną bezpodstawną plotką. Był to bezpardonowy (i niezwykle celny) cios zadany przez rozpoczynającego działalność konkurenta na polu wydawniczym. Titana Leedsa prześladował wyjątkowy pech, ponieważ tak się złożyło, że jego rywal miał szelmowskie poczucie humoru. I jeśli ten numer podziałał panu Leedsowi na nerwy, to prawdopodobnie wpadł w absolutną wściekłość, gdy dowiedział się, że ten drobny cwaniak, który postanowił go uśmiercić w ramach taniego chwytu marketingowego, w późniejszych dziesięcioleciach został sławnym intelektualnym bohaterem powstających Stanów Zjednoczonych.

Krótko mówiąc, Titan Leeds miał całkiem brutalne wczesne spotkanie z tym, co można nazwać fake newsem.

Problem pana Leedsa, jakby żywcem wyjęty z epoki postprawdy, zaczął się z prostego powodu: kawałek dalej nad tą samą rzeką niespodziewanie pojawił się konkurencyjny wydawca almanachów. W Ameryce lat trzydziestych osiemnastego wieku wydawanie almanachów zaliczało się do wielce zyskownych przedsięwzięć i Titan Leeds był najlepszy w branży. Odziedziczył wydawnictwo Leeds Almanac po ojcu, Danielu, kiedy

staruszek był zmuszony przejść na emeryturę. Daniel Leeds urodził się w rodzinie kwakrów pochodzących z Leeds w Anglii (małego miasta w hrabstwie Kent, nie tego dużego w Yorkshire)[7]. W obliczu narastających prześladowań Leedsowie w 1677 roku wyemigrowali do Ameryki, uciekając przed religijnymi ograniczeniami Starego Świata – tylko po to, żeby Daniel zderzył się czołowo z religijnymi ograniczeniami Nowego Świata.

Pełen oryginalnych myśli samouk, w młodości często ulegający duchowym wizjom i od czasu do czasu atakom płaczu, Daniel Leeds miał bardzo szczególną, trochę nieortodoksyjną filozofię łączącą heterodoksalny mistycyzm chrześcijański z głębokim umiłowaniem nauki. Pragnął rozpowszechniać prawdę taką, jaką ją widział, co pchnęło go do publikowania – najpierw pionierskich almanachów, a później wielkiego filozoficznego i teologicznego traktatu, który stanowił ukoronowanie pracy jego życia. Był zdruzgotany, gdy kwakrzy ze społeczności Burlingtonu, rozgniewani jego nonkonformistycznymi koncepcjami i intensywnym wykorzystywaniem astrologii, odrzucili jego prace, zbojkotowali jego pierwszy almanach i zniszczyli prawie wszystkie egzemplarze książki Daniela Leedsa.

Ale on był nieugięty i zamiast zadowolić się spokojnym życiem, z nową energią wrócił do wydawania almanachów. Jednocześnie prowadził długotrwałą, niesłychanie zaciekłą wojnę na pamflety ze swoimi sąsiadami; toczone z nimi potyczki zakończyły się oskarżeniem go przez wrogów o to, że jest wcielonym diabłem. Nazwali go „zwiastunem szatana”. Osiemnastowieczne kwakierskie spory bywały brutalne.

Taka zła sława mogła pociągnąć za sobą kilka niezręcznych incydentów na ulicach Burlingtonu, ale niekoniecznie była szkodliwa dla interesów, więc „Leeds Almanac”, jeden z pierwszych prawdziwych almanachów

w angielskich koloniach, od początku swego istnienia miał licznych odbiorców. Gdy w 1714 roku Daniel przekazał ster nastoletniemu synowi, Titanowi, co było niefortunnym efektem ubocznym nierozważnego przymierza politycznego, „Leeds Almanac” już od dziesiątków lat cieszył się sławą wiodącego na tym obszarze.

Lider na rynku ma oczywiście pewien kłopot: jest tak, jakby nosił na plecach dużą tarczę strzelecką dla każdego, kto chce wejść na ten rynek. I właśnie Titana Leedsa wziął na cel młody, ambitny facet, niejaki Benjamin Franklin, który postanowił włączyć się do gry w almanachy.

Dzisiaj pamiętamy Franklina jako jednego z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, człowieka, który nade wszystko był wielkim intelektualnym zawodnikiem wagi ciężkiej amerykańskiego ruchu niepodległościowego. Był wielostronnie utalentowanym geniuszem, którego spuścizna obejmuje między innymi pionierskie eksperymenty z elektrycznością, założenie pierwszej publicznej biblioteki w Ameryce, stworzenie amerykańskiego systemu pocztowego i wynalezienie okularów dwuogniskowych. Zapewniam, że nie zamierzam stosować w tej książce metody „kopiuj-wklej”, ale żeby dać wam pojęcie, jak bardzo irytująco ponadprzeciętny był Benjamin Franklin, przytoczę pierwsze linijki poświęconej mu strony w Wikipedii: „Wybitny pisarz, drukarz, teoretyk polityczny, polityk, wolnomularz, naczelnik poczty, naukowiec, wynalazca, humorysta, działacz społeczny, mąż stanu i dyplomata”[8].

Szczerze mówiąc, od samego czytania kręci się w głowie. *Skup się na tym, co robisz najlepiej, Benjaminie*.

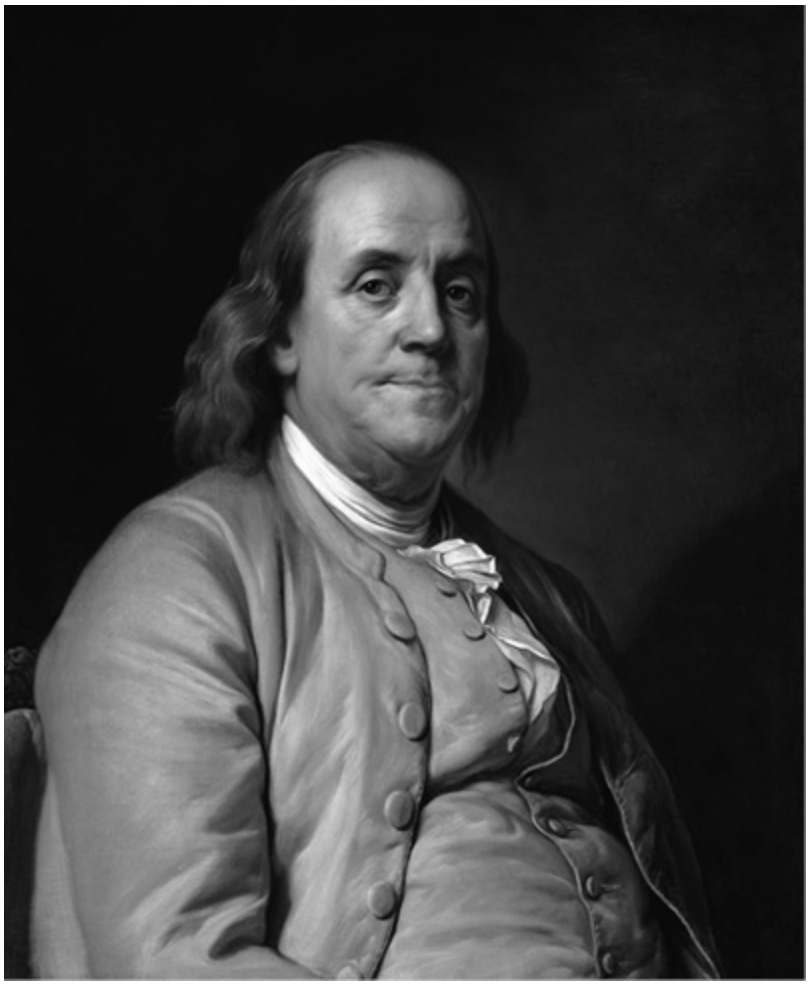

Benjamin Franklin. Irytująco ponadprzeciętny.

Ale w roku 1732 Franklin miał dwadzieścia kilka lat i jeszcze w niczym się nie wybijał. Jako siedemnastolatek prysnął z Bostonu, żeby wyrwać się z cienia starszego brata, i właśnie założył drukarnię w Filadelfii, szybko rozwijającym się mieście leżącym u ujścia rzeki Delaware (dzisiaj, po kilku stuleciach, Burlington jest przedmieściem Filadelfii). Franklin był dobry w swoim fachu i w rosnącej stajni wydawniczej miał już przynoszącą zyski „Pennsylvania Gazette”. Ale w tamtych czasach, jeśli człowiek chciał zbić kasę, musiał naprawdę zdywersyfikować portfel marek medialnych, żeby wejść w przestrzeń almanachów.

Almanachy, na wypadek gdyby ktoś nie wiedział, były, praktycznie rzecz biorąc, przewodnikiem po użytecznych informacjach, które być może przydadzą się w nadchodzącym roku. Podobnie jak w późniejszych stuleciach gazety zaczęły komasować wyniki sportowe, programy telewizyjne, małą dawkę opinii, prognozy pogody i szczyptę lekkiej astrologii w coś, co ludzie chcieli kupić, tak almanachy robiły to samo z… hm, małą dawką opinii, prognozami pogody i szczyptą lekkiej astrologii (w latach trzydziestych osiemnastego wieku programy telewizyjne były nieco mniej ważne). Dla środowisk, które wciąż miały w sercach uprawę roli, taka wiedza – kiedy wzejdzie i zajdzie słońce, kiedy przypływ będzie wysoki, kiedy zmienią się pory roku – była nieodzowna. Główny almanach tamtych czasów, publikowany przez Nathaniela Amesa w Massachusetts, osiągał nakład powyżej pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy rocznie – ogromna liczba jak na wciąż młody przemysł wydawniczy[9]. Można więc zrozumieć, dlaczego Franklin chciał się wkręcić w tę branżę.

I tak oto w roku 1732 zaczął wydawać „Almanach Biednego Richarda”, pisząc pod pseudonimem Richard Saunders, którego scharakteryzował jako zubożałego badacza gwiazd, zmuszonego do publikowania przez wymagającą żonę, która się uparła, że małżonek musi w jakiś sposób zarabiać na życie. (Franklin piekielnie uwielbiał pseudonimy. Uwaga, spoiler: nie tylko tutaj pseudonim Bena Franklina odegra znaczącą rolę w tej książce).

W tym momencie waśnie pomiędzy konkurującymi prognostami stały się już solidnie ugruntowanym aspektem wcześniej dość niewinnej amerykańskiej sceny almanachów z kilkoma wydawcami pomstującymi na rywali w corocznych dawkach inwektyw (w 1706 roku pewien bostoński autor almanachów, Samuel Clough, poinstruował rywala, Nathaniela Whittemore’a, żeby – tu wierny cytat – „spadał”[10]). Ale podczas gdy

większość waśni zasadniczo sprowadzała się do stwierdzeń w rodzaju „Jesteś beznadziejny w robieniu almanachów”, Franklin, chcąc dołożyć swojemu głównemu konkurentowi, wybrał sprytniejsze… i znacznie zabawniejsze podejście. Kazał „Saundersowi” napisać we wstępie, że naprawdę skorzystałby z okazji publikowania zyskownego almanachu wiele lat wcześniej, gdyby nie to, że z dobroci serca nie chciał rujnować interesu „drogiego przyjaciela i kolegi, pana Titana Leedsa”.

Jedynym powodem, który skłonił go do zmiany zdania, jak napisał, było to, że ta przeszkoda, niestety, przestanie być problemem – ponieważ Titan Leeds niebawem umrze. Albo, jak to ujął, „nieuchronna śmierć, która nigdy nie słynęła z szanowania cnót, już przygotowała zabójczą strzałę; zgubna siostra już wyciągnęła swoje niszczycielskie nożyce i ten zacny człowiek niebawem zostanie nam odebrany”[11]. Zatrzymajmy się tu na krótko, by zauważyć, że *Zgubna siostra wyciągnęła swoje niszczycielskie nożyce* to czekający na wzięcie absolutnie fantastyczny tytuł dla albumu zespołu heavymetalowego.

Franklin przepowiedział, że Titan Leeds umrze „wedle mojej rachuby uczynionej na jego prośbę, siedemnastego października roku 1773, o godzinie trzeciej dwadzieścia dziewięć po południu, w chwili koniunkcji Słońca i Merkurego”, po czym dodał wiadomości nieco koloru, pisząc, że był w niezgodzie z Leedsem co do dokładnej daty: „Wedle jego własnych obliczeń przeżyje do dnia dwudziestego szóstego tego samego miesiąca”.

To przedni żart, chociaż to nie Franklin go wymyślił – ściągnął go z Jonathana Swifta, który w 1708 roku wyciął dokładnie taki sam numer astrologowi i autorowi almanachów, niejakiemu Johnowi Partridge’owi, gdy w wydanym pod pseudonimem fałszywym almanachu przepowiedział, że wyżej wymieniony „niezawodnie umrze dwudziestego dziewiątego marca około jedenastej w nocy, z powodu wysokiej gorączki”[12]. Franklin,

żaden fan astrologii, z pewnością wiedział o kawale Swifta (i o tym, że Daniel Leeds był zwolennikiem Partridge'a) i w ten sposób puścił oko do każdego wtajemniczonego czytelnika.

Niestety, Titan Leeds nie poznał się na żarcie. Podczas gdy jego ojciec był obdarzony poczuciem humoru, on (według słów pewnego badacza) był „poważnym, zadufanym w sobie, łatwowiernym, praktycznym człowiekiem, który jak się zdaje, brał wszystko na poważnie"[13]. W rezultacie zrobił to, co – jak mógłby nam powiedzieć każdy łobuz z placu zabaw – było absolutnie najgorszą rzeczą: chwycił przynętę. Rok później, reagując w swoim almanachu na słowa Biednego Richarda (waśnie almanachowe toczyły się nieco wolniej niż te na Twitterze), zaatakował rywala za „karygodną nieprawdę", napiętnował go jako „głupca i kłamcę", a nadto dumnie się chełpił, że pomimo jego fałszywej przepowiedni „za sprawą łaski Bożej dożyłem, żeby napisać almanach na rok 1734 oraz rozgłosić głupotę i ignorancję tego bezczelnego autora"[14].

Był to dokładnie taki pretekst, jakiego Franklin potrzebował, żeby przenieść swój kawał na następny poziom. Najpierw w almanachu z 1734 roku wyraził oburzenie z powodu wypisywanych o nim strasznie niemiłych rzeczy i zasugerował, że skoro jego drogi stary przyjaciel Leeds prawie na pewno nie żyje, oznacza to, że jakiś nikczemnik podszywa się pod niego i pisze jego almanach. Rok później w nowym wydaniu napisał, że Leeds rzeczywiście zmarł przepowiedzianego dnia, po czym lamentował, że „spotkała go wielka krzywda ze strony ducha Titana Leedsa, który udaje, że wciąż żyje, i pisze almanachy na przekór mnie i moim przepowiedniom".

Niestety, nigdy się nie dowiemy, jak długo Franklin szydziłby z Leedsa w swoich almanachach i jak Leeds reagowałby na kolejne ogłoszenia o swojej śmierci. W 1738 roku, właśnie gdy cała sytuacja nabierała rumieńców, Titan Leeds ją uprościł, naprawdę schodząc z tego świata.

Sądzisz, że to powinno zamknąć sprawę choćby dlatego, że niemal każdy na wieść o nagłej rzeczywistej śmierci osoby, z której śmierci żartował, czułby się trochę winny i więcej nie wspomniał o tym słowem. Taka byłaby twoja reakcja, prawda?

Ale nie Franklina.

W 1739 roku opublikował list od ducha Titana Leedsa, potwierdzający, że Biedny Richard od początku miał rację, że Leeds naprawdę zmarł w 1733 roku i że almanach, który Titan Leeds wydawał przez lata, był dziełem oszustów.

Powiedzmy sobie jasno: Benjamin Franklin był potężnym pieprzonym trollem.

I to trollem, któremu się powiodło. „Almanach Biednego Richarda” stał się ogromnym hitem, podczas gdy „Almanach Leedsa” chylił się ku upadkowi i dziesięć lat później przestał się ukazywać. Franklin miał bardziej cięte i dowcipniejsze pióro niż jego konkurent, no i stosował bardziej bezlitosne praktyki biznesowe. Nie tylko bezpardonowo atakował astrologię, ale też przypominał czytelnikom o powiązaniach rodziny Leedsów z dziwnymi przekonaniami i o dawnych oszczerstwach, że są „zwiastunem szatana”. Fakt, że to, co pisał, nie było prawdą… nie miał większego znaczenia.

I właśnie między innymi o tym piszę w tej książce. Bo, jak zobaczymy, od zarania dziejów, ilekroć stoimy przed wyborem pomiędzy prawdą i dobrą opowieścią, z reguły wybieramy to drugie.

Ale cofnijmy się nieco: jakże dziwny i zagmatwany stawał się nowy świat mass mediów, ten świat, w którym żył Titan Leeds. Koncepcja „newsów” i głodu wiadomości oczywiście nie była nowa. Ludzie zawsze chcieli wiedzieć różne rzeczy, a zwłaszcza to, o czym nie wiedzieli inni: Co

się dzieje za horyzontem albo po drugiej stronie zamkniętych drzwi, albo za czyimiś plecami.

Było to szczególnie widoczne we wcześniejszych stuleciach, kiedy podróże były trudniejsze i rzadsze; wieści rozchodziły się z prędkością konia i przybywały nieczęsto, jeśli w ogóle – i dlatego były łakomie konsumowane. W Walii w jedenastym wieku mnisi w dwóch odległych o setki kilometrów klasztorach byli tak spragnieni świeżych informacji, że co trzy lata robili wymianę, każdy klasztor wysyłał mnicha w ryzykowną podróż przez Snowdonię, żeby tydzień pomieszkał w drugim klasztorze i podzielił się wszystkimi najnowszymi plotkami[15].

Od połowy piętnastego wieku sytuacja zaczęła się dramatycznie zmieniać. Rozstrzygnięcie, co było przyczyną czego w tym okresie europejskiej historii, jest dość trudne, ponieważ wiele się działo: prawie bezustanne wojny, mnóstwo schizm religijnych, odkrywanie nowych ziem, większy kontakt z innymi kulturami i odkrycie starożytnych pism z minionych wieków. Ale dla uproszczenia powiedzmy, że nastąpiły wówczas trzy główne zmiany, które przemieniły nasze podstawowe ludzkie pragnienie wiedzy w coś znacznie ważniejszego: eksplozję informacyjną, która głęboko ukształtowała świat na dziwne sposoby.

Jedną z tych zmian był stopniowy rozwój godnych zaufania i rozległych sieci usług pocztowych. Drugą – rozkwit warstwy kupieckiej związany z ekspansją handlową; ta nowa zamożna elita miała powiązania i prowadziła interesy, które mogły obejmować cały kontynent, a najnowsze wiadomości były dla niej nie tylko interesujące, lecz także niezmiernie cenne. Trzecią zmianą było oczywiście wynalezienie prasy drukarskiej.

Sieć placówek pocztowych sprawiła, że wiadomości już nie musiały być przekazywane osobiście: każdy mógł je wysyłać i otrzymywać wygodnie w domu, bez potrzeby odbywania niebezpiecznej podróży czy

korzystania z armii posłańców (albo samej armii, dla pewności, że posłańcy bezpiecznie dotrą do celu). Listy szybko stały się ulubionym środkiem przekazu dla ludzi uzależnionych od wiadomości – i w końcu również okazją biznesową.

Pod koniec szesnastego wieku wyłoniła się nowa profesja: nowiniarz. Poczynając od wielkich miast Włoch, ci *novellanti* gromadzili najświeższe i najbardziej wiarygodne informacje, spisywali je i rozsyłali pocztą do swoich subskrybentów na całym kontynencie: bogatych polityków i biznesmenów, którzy płacili grube pieniądze za taką usługę. Nowiniarze, zmyślni i mający doskonałe koneksje, byli „pierwszymi agencjami prasowymi" (jak Andrew Pettegree opisuje ich w swojej książce *The Invention of News*)[16].

Tymczasem w 1439 roku Jan Gutenberg wprowadził w Europie prasę drukarską z ruchomymi czcionkami i w ten sposób odpalił Niespodziewaną i Dezorientującą Bombę Zmian, która z dziką beztroską siała odłamkami po kontynencie przez wiele stuleci. Nagle możliwość kontaktu z odbiorcami przestała być krępowana przez to, na ilu skrybów cię stać, i zdolność elit do pełnienia funkcji stróżów informacji zaczęła słabnąć. Druk od początku był skrajnie kapitalistycznym przedsięwzięciem: większość drukarni należała do osób prywatnych, wykonujących pracę dla zysku, rywalizujących między sobą i generalnie niepodlegających władzom świeckim czy kościelnym (przynajmniej dopóki nie rozpracowano, że z ich pomocą zrodził się protestantyzm). Przez stulecia cena książki pozostawała względnie stabilna… i niebotyczna. Od czasów Gutenberga spadała w tempie około dwóch procent rocznie przez ponad sto lat. Może nie wydaje się to dużo w skali roku, dopóki człowiek nie uzmysłowi sobie, jak to działało przez wiele dziesięcioleci: w 1450 roku cena książki równała się

wielu miesięcznym zarobkom. W roku 1600 można ją było kupić za mniej niż dniówkę[17].

Te zmiany – rozwój biznesu, poczty i drukarstwa – dreptały wesoło ramię w ramię przez półtora stulecia, radośnie wzniecając zamęt, aż w 1605 roku w Strasburgu wreszcie się zderzyły dzięki młodemu człowiekowi, niejakiemu Johannowi Carolusowi.

Carolus był z zawodu introligatorem i księgarzem – ale, co ważne, angażował się również w działalność dodatkową: w wydawanie biuletynów. Strasburg, ośrodek handlu i sieci pocztowych, był doskonałym miejscem, żeby się tym zajmować. Ale oczywiście ręcznie pisane wiadomości miały naturalny pułap decydujący o rozwoju tego rzemiosła: mianowicie jak szybko umie się pisać. I tu oto Johann Carolus spojrzał na dwie strony swojego źródła dochodu. Z jednej – drukowane książki; z drugiej – żmudnie pisane listy. Drukowane książki, ręcznie pisane listy. Hm…

Johann Carolus dodał dwa do dwóch i stworzył GAZETĘ.

Można powiedzieć, że zainwestował w rewolucyjną nową technologię w celu wypromowania swojego medialnego startupu podczas fazy growth-hackingu. Produkt tej chwili inspiracji, „Relation: Aller Fürnemmen und gedenckwürdigen Historien”, odniósł oszałamiający sukces. Była to pierwsza drukowana gazeta na świecie. Oczywiście nie przypominała dzisiejszych gazet; wyglądała bardziej jak mała książka *in quarto* i brakowało w niej nowoczesnych innowacji w rodzaju zdjęć, nagłówków czy zasadniczo sensacji. „Relation” mocno trzymała się schematu ręcznie pisanych wiadomości, podając suchą, niezróżnicowaną listę rzeczowych komunikatów – na przykład, w jakim mieście obecnie przebywa ktoś ważny, bez podejmowania wysiłku wyjaśnienia, kim jest ta osobistość, tym, którzy nie należeli do elity i tego nie wiedzieli. Pod tym względem była całkiem podobna do kroniki towarzyskiej we współczesnych gazetach.

Drzeworyt przedstawiający mężczyznę wymachującego „Relation”.

„Relation” odniosła wielki sukces i w ciągu kilku lat idea gazety była kopiowana w coraz liczniejszych miastach północnej Europy. Druga, „Aviso Relation oder Zeitung”, ukazała się w Wolfenbüttel w 1609 roku. W następnym dziesięcioleciu Frankfurt, Berlin i Hamburg zaczęły wydawać własne gazety[18], a w 1619 Amsterdam miał dwa konkurujące periodyki[19]. W siedemnastym wieku w samych Niemczech ukazywało się około dwustu tytułów.

Pomysł cieszył się mniejszą popularnością w Europie południowej; Włosi, pionierzy ręcznie pisanych wiadomości, wypięli się na ten nowomodny wymysł. Nie byli jedyni: na początku siedemnastego stulecia eksplozja prasy została powitana z radością przez spragnione informacji społeczeństwo, ale sprowokowała również drwiny, szyderstwa i trwogę – w sposób uderzająco podobny do reakcji współczesnego czytelnika.

Niepokój z powodu fałszywych wiadomości, zwłaszcza wśród elit, które przestawały być stróżami informacji; brak zaufania do profesjonalnych publikacji, kontrastujący ze zbyt wielkim zaufaniem do informacji przekazywanych przez kogoś, kogo zna się osobiście; rozpowszechniony strach przed skutkami przeciążenia informacyjnego; pogarda wobec ludzi z „uzależnieniem od wiadomości” – to cechy naszej infopaniki w dwudziestym pierwszym wieku, ale każda z nich była również powszechna w siedemnastym stuleciu. Często nazywana dokładnie takimi słowami.

Weźmy na początek uzależnienie od wiadomości. Bardzo szybko Niemcy wymyślili na to określenie: *Neuigkeitssucht*, co dosłownie znaczy „żądza nowin”[20], rozpaczliwie opisywana jako „straszna ciekawość pchająca pewnych ludzi do czytania i słuchania nowości”[21]. W Holandii ci opętani na punkcie najświeższych informacji byli wyszydzani za swoje uzależnienie: pamflecista z południa nabijał się z mieszkańców północy, mówiąc: „Musimy czytać nowiny, inaczej zabraknie nam cierpliwości”. Angielski dramaturg i satyryk Ben Jonson w latach dwudziestych siedemnastego wieku kpił z produkcji i konsumpcji wiadomości w kilku sztukach, zwłaszcza w *News from the New World Discovered in the Moon* (Nowiny z nowego świata odkrytego na Księżycu) i *The Staple of News* (Chleb powszedni wiadomości).

Nie tylko przewracano oczami z powodu nienasyconego głodu informacji, ale również panował powszechny niepokój o zgubny wpływ tej eksplozji drukowanego materiału na ludzi i społeczeństwo. Tak samo jak dzisiaj, przeciążenie informacyjne było przedmiotem głębokiej troski, którą wyrażano, używając złowieszczych określeń. W roku 1685 francuski uczony Adrien Baillet apokaliptycznie napisał: „Mamy powody się obawiać, że mnogość książek, których codziennie przybywa w kolosalny sposób, sprawi, że przyszłe stulecia pogrążą się w stanie barbarzyństwa jak w wiekach po upadku cesarstwa rzymskiego”[22].

(Podobnie jak dzisiaj, o przeładowaniu informacjami mówiono tak, jakby to było zupełnie nowe zjawisko, przypisane epoce, w której się żyje; w rzeczywistości ludzie biadolili z powodu zbyt wielu rzeczy do czytania od wieków. Mamy to nawet w Biblii – „Pisaniu wielu ksiąg nie ma końca, a wiele nauki utrudza ciało”, utyskuje Księga Koheleta*. Tymczasem w pierwszym wieku rzymski filozof Seneka narzekał, że „mnogość ksiąg rozprasza”.

Ale podczas gdy poczucie wstydu z powodu stosu nieprzeczytanych książek może być uczuciem ponadczasowym, to ludzie żyjący na początku epoki mass mediów nie bez powodu czuli, że sprawy posuwają się odrobinę za daleko. A działo się naprawdę wiele.

Jak w 1621 roku w swoim klasycznym dziele nurtu emo *Anatomia melancholii* napisał Robert Burton:

> *Codziennie nowe wieści mnie dobiegają, zwykłe pogłoski*
> *o wojnach, zarazach, pożarach, wielkich powodziach,*
> *złodziejstwach, morderstwach, rzeziach, meteorach, kometach,*
> *upiorach, zjawach, cudach, o miastach zdobytych lub oblężonych*
> *we Francji, w Turcji, Persji, Polsce etc., o musztrach i innych*

przygotowaniach czynionych codziennie w naszych burzliwych czasach, o stoczonych bitwach, w których wielu padło zabitych, o wojnach mnichów, o statkach, co poszły na dno, o czynach pirackich i morskich bitwach, o pokojach, przymierzach, strategiach i wciąż na nowo rozbrzmiewających trąbach na trwogę. Wielka obfitość przysiąg, pragnień, czynów, edyktów, petycji, skarg sądowych, wniosków, praw, proklamacji, skarg, zażaleń dzień w dzień dochodzi naszych uszu. Codziennie wciąż nowe książki, pamflety, opowieści, całe katalogi wszelkiego rodzaju woluminów, nowe paradoksy, poglądy, schizmy, herezje, spory w filozofii, religii etc. Raz dobiegają nas wieści o weselach, zabawach, balach przebierańców, przedstawieniach, jubileuszach, przyjazdach ambasadorów, turniejach i potyczkach rycerskich, trofeach, triumfach, sztukach, ucztach i wszelkiego rodzaju sportach; to znów, jakby ze sceny, na której zmieniono dekoracje, słyszymy o zdradach, chytrych podstępach, rozmaitych podłościach i okrucieństwach, złodziejstwie i łupiestwie, pogrzebach, pochówkach, śmierci książąt, nowych odkryciach i ekspedycjach; raz rozbrzmiewają sprawy komiczne, kiedy indziej zgoła tragiczne. Dzisiaj słyszymy o nowo mianowanych władcach i oficerach, jutro wieść nas dojdzie o zdetronizowanych wielmożach po to, by za nią inna wiadomość przybiegła – o nowo komuś nadanych godnościach; jednego wypuszczają na wolność, innego zaś wsadzają za kraty; jeden kupuje, drugi kradnie; ktoś opływa w bogactwa, a jego sąsiad ogłasza się bankrutem; teraz panuje dostatek, kiedy indziej znowu śmierć i głód; jeden biegnie, drugi podróżuje konno, ten się swarzy, ów płacze, jeszcze inny się śmieje etc[**][23].

Możliwe, że Robert Burton potrzebował trochę luzu. Powinien zrobić sobie wolne i wyskoczyć na długi weekend gdzieś za miasto, żeby popracować nad polepszeniem samopoczucia.

Burton na tym nie poprzestał. Jak Baillet, spojrzał na nagłą obfitość druku i przepowiedział nadchodzącą książkową apokalipsę: „Kto mógłby być takim nienasyconym pożeraczem książek, kto zdoła je przeczytać? Już mamy wielki chaos i zamęt ksiąg, jesteśmy nimi przytłoczeni, oczy nas bolą od czytania, a ręce od przewracania kartek”[24].

I dalej w *Anatomii melancholii* narzeka, że „w dzisiejszych czasach to rodzaj polityki, umieszczanie cudacznego tytułu na wstępie książki, która ma zostać sprzedana (…) jak zauważa Scaliger, nic bardziej nie zachęca czytelnika niż argument niespodziewany lub nie do pomyślenia, i książka sprzedaje się lepiej niż kuriozalna broszura”[25]. (Nie wiem, czy Twitter szuka nowych sloganów reklamowych, ale sądzę, że „argument nie do pomyślenia” jest całkiem niezły).

Krytyka „kuriozalnych broszur” była w siedemnastym wieku powszechna. Podczas gdy wczesne biuletyny, z ich elitarnymi subskrybentami, słynęły z podawania wiarygodnych i rzetelnych informacji, nie można tego samego powiedzieć o wszystkim, co drukowano. Wprawdzie wiele osób było uzależnionych od najświeższych wiadomości, ale inni odnosili się do nich nieufnie[26]. Ludzie wykazywali sceptycyzm wobec tego, co czytali w druku; wielu wciąż wierzyło, że ręcznie pisane listy z natury są bardziej wiarygodne – że najbardziej miarodajnych informacji dostarcza ktoś, kogo się zna[27].

Mówiąc wprost, mnóstwo ludzi myślało, że wokół jest pełno fake newsów.

Być może mieli rację. Weźmy tylko jeden przykład, słynną broszurę opublikowaną w roku 1614 roku pod chwytliwym tytułem: *Prawdziwe*

i cudowne: Rozprawa relacjonująca niedawne odkrycie dziwnego i monstrualnego węża (albo smoka), ku wielkiemu niepokojowi zabijającego ludzi i bydło silną, gwałtownie działającą trucizną, w Sussex, dwie mile od Horsham, w lesie zwanym St Leonard's Forest, w bieżącym miesiącu sierpniu 1614 roku. Z prawdziwym pokoleniem węży. Obecnie Horsham nie musi się wydawać szczególnie obiecującym miejscem do polowania na smoki: to małe, przyjemne miasto targowe, może najlepiej znane jako miejsce, gdzie człowiek sobie uświadamia, że wsiadł do niewłaściwej połowy pociągu i jedzie do kurortu Bognor Regis. W Anglii jest wiele rozległych, mrocznych i nieprzebytych lasów, w których z powodzeniem mogą się czaić smoki, ale St Leonard's Forest prawdopodobnie nie zająłby wysokiej pozycji w rankingu.

To jednak nie powstrzymało wydawcy tej broszury, niejakiego Johna Trundle'a, od zdania relacji o „pewnym aż nadto prawdziwym" długim prawie na trzy metry smoku, który był pokryty czarnymi i czerwonymi łuskami, biegał szybciej niż człowiek, zostawiając za sobą śluzowaty ślad jak ślimak, i pluł trucizną na dwadzieścia pięć metrów – i że w ten sposób uśmiercił już dwie osoby. Jeszcze bardziej złowieszcze było to, że stwór miał po obu stronach tułowia dwa nabrzmiewające guzy, co sugerowało, że wyrastają mu skrzydła[28].

Trundle był dokładnie tym rodzajem wydawcy, za sprawą których ludzie odnosili się sceptycznie do środków masowego przekazu swojej epoki: miał długą i niesławną historię publikowania bzdur. Jeśli coś było nieprawdopodobne, ale robiło wrażenie, on wydawał to drukiem. Był powszechnie atakowany przez komentatorów i konkurencję, jak wielu innych wydawców, którzy wymieniali się sensacjami i drastycznymi szczegółami. Pewien anonimowy pamflecista w 1617 roku pomstował na drukowanie „naiwnych bajek o latających wężach albo równie naiwnych

złud o żarłocznych smokach, o mężczyznach albo kobietach cudownym sposobem spalonych na śmierć bez ognia, o martwych wstających z grobów”[29] (w broszurze, która wywołała tę krytykę, opisywano „potężnego potwora morskiego, inaczej wieloryba”, podobno wyrzuconego na brzeg w Essex).

W siedemnastym wieku najsilniejszy niepokój związany z nieprawdziwymi wiadomościami panował wśród elit, które otwarcie okazywały niezadowolenie, że ludzie mogą drukować i rozpowszechniać wszystko, co chcą. W Anglii sytuacja stanęła na ostrzu noża pod koniec tego stulecia, gdy w kraju wciąż panował zamęt po wojnie domowej. Wprowadzono prawa regulujące używanie pras drukarskich, a siły królewskie otrzymały uprawnienia do poszukiwania tych nielegalnych. Strach budziło nie tylko drukowanie – w klasycznym przykładzie próby zduszenia mediów, obawiając się propagowania politycznie niepoprawnych treści, elita zaczęła świrować również na punkcie kawiarń.

Kawa, podobnie jak gazety, była nowym i przerażającym fenomenem. Pierwsza kawiarnia w Londynie, założona przez greckiego imigranta w 1652 roku, szybko odniosła ogromny sukces. Kolejne wyrastały jak grzyby po deszczu i w ciągu kilku dziesięcioleci kawa stała się ważnym elementem siły napędowej miasta. Ludzie nie tylko pili kawę, ale też – ku przerażeniu elit – prowadzili w kawiarniach ożywione dyskusje polityczne. Niektórzy może nawet rozpuszczali fałszywe pogłoski! Ten stan musiał się zmienić.

Dwudziestego dziewiątego grudnia 1675 roku król Karol II uznał, że dość tego, i wydał „proklamację likwidacji kawiarń”, w której odnotowano, że „w takich domach i przy okazji spotkań w tych miejscach są obmyślane i szeroko rozpowszechniane rozmaite fałszywe, złośliwe i skandaliczne relacje, które przyczyniają się do szkalowania rządu Jego Królewskiej

Mości i zakłócania spokoju i ciszy w królestwie”[30]. Na mocy tej proklamacji wszystkie kawiarnie w Anglii (również w Walii, a także na spornym szkockim pograniczu Berwick-on-Tweed) miały zostać zamknięte już dwanaście dni później, dziesiątego stycznia. Reakcja uzależnionych od kofeiny ważnych ludzi w Londynie była szybka i choleryczna: absolutnie pod żadnym pozorem nie dadzą sobie odebrać kawy. Karol II złożył broń i odwołał zakaz kawowy kilka dni przed tym, nim miał wejść w życie.

W październiku 1688 roku król Jakub II podjął kolejną próbę, która tym razem dotyczyła „powstrzymania rozgłaszania nieprawdziwych wiadomości”. Każdego, kto „rozpowszechnia fałszywe wiadomości albo szerzy złośliwe oszczerstwa i kalumnie”, a zwłaszcza „wypowiada albo publikuje słowa nienawiści albo antypatii o Naszej Osobie lub rządzie”[31], miała spotkać kara. Można zrozumieć jego zdenerwowanie, w tym czasie bowiem holenderska flota przygotowywała się do inwazji na Anglię. Pechowo dla Jakuba próba stłumienia nieprawdziwych wiadomości niewiele mu pomogła: został zdetronizowany przez córkę i niespełna miesiąc później uciekł z kraju.

Przepisy dotyczące angielskiej prasy przestały obowiązywać w roku 1695, czego rezultatem była druga eksplozja tego środka masowego przekazu. Pociągnęła ona za sobą wszystkie problemy, jakie dziś widzimy w mediach. Już w 1734 roku „Craftsman” zidentyfikował jeden z kluczowych problemów strukturalnych dotyczących prasy, mianowicie tendencję do wzajemnego kopiowania materiału, dopóki nie powstaje maksymalne sprzężenie zwrotne ściemy: „Gdy fałszywa wiadomość zostaje wydrukowana na łamach jednej gazety, zwykle trafia do wszystkich, jeśli w porę nie zdementują jej ci, którzy są zaznajomieni z konkretnymi okolicznościami”[32].

Sytuację pogorszył rozwój prasy za oceanem – potok informacji przepływających pomiędzy Anglią i jej amerykańską kolonią dostarczał wiele więcej okazji do kopiowania informacji, a dodatkowo bariera wysiłku utrudniała sprawdzenie ich rzetelności. Dzikie pogłoski i kompletne wymysły o tym, co się dzieje po drugiej stronie oceanu, skakały w tę i z powrotem między Anglią i Ameryką, wyolbrzymiane z każdym powtórzeniem.

Chyba najlepszym przykładem jest mowa wygłoszona w sądzie przez pokrzywdzoną kobietę, przez kilka dziesięcioleci w osiemnastym wieku przesyłana przez Atlantyk tam i z powrotem, na okrągło publikowana, z wielokrotnie mutującą osią historii, z przesłaniem nabierającym retorycznej siły, gdy zmieniał się kontekst historyczny. Była to mowa Polly Baker.

Dla współczesnego oka historia Polly Baker wydaje się celowo stworzona jako wirusowa wiadomość – bo i rozchodziła się jak wirus, na osiemnastowieczny sposób. Opublikowana piętnastego kwietnia 1747 roku w londyńskim „General Advertiser”, została przedstawiona jako zapis mowy, którą panna Baker wygłosiła na procesie sądowym po drugiej stronie oceanu, „w Connecticut w pobliżu Bostonu w Nowej Anglii”. Baker była sądzona za urodzenie nieślubnego dziecka – po raz piąty. Zamiast okazać zawstydzenie, nie owijała w bawełnę. Czy to sprawiedliwe, dowodziła, że wiele razy ją karano za posiadanie nieślubnego potomstwa, podczas gdy ich ojcom uchodzi to na sucho? „Wydałam na świat piątkę pięknych dzieci, narażając życie – powiedziała. – Sama je utrzymuję. Ryzykowałam utratę publicznego szacunku i często byłam narażona na publiczną niełaskę i karę. Dlatego, moim skromnym zdaniem, zamiast chłosty powinnam dostać posąg wzniesiony na moją cześć”.

Mowa Polly miała taką siłę, o czym mówi nam wstęp do tekstu w „General Advertiser”, że nie dość, że sąd jej nie ukarał, to jeden z przysięgłych, wzruszony jej słowami, nazajutrz się z nią ożenił. To wydaje się gotowe do przetłumaczenia na język współczesnych stron inspirowanych przez treści wirusowe: „Kobieta zamyka usta sądowi potężną mową o piętnowaniu za swoją seksualność – i będziecie zdumieni, co było dalej”.

Była to najwyraźniej dobra treść. I tak oto brytyjska prasa zabrała się do pracy. Historia trafiła do gazet w innych miastach: w Northampton, Bath, Edynburgu, Dublinie. Kilka tygodni później opublikowały ją również periodyki. (Najwyraźniej nikt nie znalazł czasu, żeby wyskoczyć do Connecticut i spróbować wytropić Polly; geograficzna bariera wysiłku znowu zapewniła doskonałą przykrywkę do rozprzestrzeniania się nieprawdy). Nie skończyło się na przedrukach; zaczęły się pojawiać zmiany w tekście, czy to wskutek błędu, czy też wprowadzane rozmyślnie; najbardziej znacząca znalazła się w „Gentleman’s Magazine”, który uznał, że poślubienie sędziego przysięgłego nie jest wystarczającym zwrotem akcji, i dodał, że małżonkowie mieli razem piętnaścioro dzieci. Nie wiadomo, kiedy ta piętnastka miałaby się urodzić, bo tekst nie informował o czasie rozgrywania się opisanych wypadków.

Kilka miesięcy później, w lipcu, historia przedostała się za Atlantyk i trafiła na powstający rynek prasowy brytyjskich kolonii; zadebiutowała najpierw w Bostonie, a następnie migrowała wzdłuż wybrzeża do Nowego Jorku i Marylandu. Amerykańskiej prasie pewnie trochę łatwiej byłoby sprawdzić autentyczność opowieści, ale chyba nikt nie zadał sobie trudu – co, szczerze mówiąc, raczej nie jest zaskakujące. Próba ustalenia, czy jakieś zdarzenie rzeczywiście miało miejsce, może okazać się niesamowicie trudna nawet w erze telefonów i Google’a. W czasach, kiedy w kraju

wydawano tylko dwanaście gazet, a pierwsi nieustraszeni dziennikarze śledczy mieli się pojawić dopiero za jakieś sto lat, raczej nie powinno zaskakiwać, że wszyscy uważali, że mają lepsze rzeczy do zrobienia. Przedrukowywanie tekstów z bardziej rozwiniętej prasy brytyjskiej było powszechną praktyką; bariera wysiłku sprawdzenia faktów może się obniżyła, ale zastąpiła ją z góry przyjęta reputacja solidności wyspiarskiej prasy. Kilka tych problemów strukturalnych połączyło się w jeden pakiet: bezkrytyczne założenie, że brytyjska prasa musi być godna zaufania, spowodowało sprzężenie zwrotne ściemy na wielką skalę.

I tak oto zamiast zachęcić do jakiegoś dalszego działania (pokopania głębiej czy zdementowania), apel Polly przeciwko seksistowskim podwójnym standardom po cichu znalazł sobie drogę do kanonu świadomości zbiorowej, stając się jedną z tych starych faworyt – opowieścią, która tworzy szum tła psychiki społeczeństwa i co jakiś czas wyskakuje, gdy ktoś chce coś udowodnić. Przez następnych kilka dziesięcioleci ta historia pojawiała się na okrągło; była przedrukowywana w gazetach, czasopismach, książkach; została przetłumaczona na szwedzki i francuski. Odezwa Polly, będącej symbolem szarego człowieka występującego przeciw niesprawiedliwemu prawu, stała się ważna w świecie deizmu – ruchu teologicznego, który argumentował przeciwko ingerującemu Bogu i arbitralnej władzy Kościoła, wywierając główny intelektualny wpływ na rewolucję francuską i amerykańską wojnę niepodległościową.

W tym kontekście ponad dwadzieścia lat po pierwszej publikacji mowa Polly zyskała drugie wielkie życie – co również doprowadziło do ujawnienia jej prawdziwego źródła. W roku 1770 historyjka w napisanej na nowo i znacznie bardziej melodramatycznej formie trafiła do bestsellerowej francuskiej książki historycznej Abbé Raynala – byłego księdza, który miał

marne pojęcie o historii, ale dobrze sobie radził z agitacją. (Napisał przynajmniej część książki; duże fragmenty wyszły spod pióra nieco bardziej utalentowanego filozofa, Denisa Diderota, i czeredy współpracowników. Całkiem możliwe, że to Diderot włączył historię Polly do tekstu, bo jak się zdaje, był jej wielkim fanem).

W gorączkowej atmosferze przedrewolucyjnej Francji opowieść o prześladowaniu Polly Baker przez tyranicznych prawodawców w Nowej Anglii trąciła właściwą strunę i stała się szalenie popularna. Książka Raynala była wiele razy przedrukowywana w autoryzowanych i nieautoryzowanych wydaniach, a w latach siedemdziesiątych oraz osiemdziesiątych osiemnastego wieku ukazywały się inne francuskie wersje dziejów Polly. Tak się złożyło, że pewnego dnia w 1777 albo 1778 roku, gdy trwała amerykańska wojna o niepodległość, Raynal wpadł z wizytą do ambasadora Stanów Zjednoczonych we Francji i stwierdził, że gospodarz rozmawia o jego sławnej książce z gościem z Connecticut.

Żadna z trzech osób biorących udział w tym spotkaniu nie napisała o jego przebiegu. Znamy tę historię z drugiej ręki, dzięki Thomasowi Jeffersonowi, amerykańskiemu prezydentowi, który kilka lat później opowiedział, co się stało tego dnia. Jak w przypadku większości historii, nie zaszkodzi szczypta rezerwy.

Z grubsza wyglądało to tak: dwaj Amerykanie dyskutowali o książce Raynala, nie szczędząc krytycznych komentarzy, gdy niespodziewanie wszedł Raynal. Przybysz z Connecticut, niejaki Silas Deane, powitał go radośnie, mówiąc, że właśnie rozmawiają o błędach w jego książce (tak na marginesie: jako autor błagam, nie róbcie tego – to absolutne grubiaństwo; zanim zaczniecie krytykować, poświęćcie przynajmniej kilka minut na luźną pogawędkę). Raynal zaprotestował, że przecież nie ma tam żadnych

błędów i że z nadzwyczajną skrupulatnością sprawdzał, czy fakty pochodzą z pewnego źródła.

– Ale co z Polly Baker? – zapytał Deane. – Jej historia jest w książce, mimo że zdecydowanie nigdy się nie wydarzyła.

– Przeciwnie – odparł Raynal. – Czerpałem z miarodajnego źródła, chociaż akurat wypadło mi ono z głowy.

W tym momencie amerykański ambasador – niejaki pan Benjamin Franklin – stwierdził, że nie jest w stanie dłużej powstrzymać się od śmiechu.

Bo to on trzydzieści lat wcześniej wymyślił historię Polly Baker i zamieścił ją w brytyjskiej prasie. Jego kariera w tworzeniu fikcji nie zakończyła się na uśmierceniu Titana Leedsa.

Co więcej, nie od niej się zaczęła.

Franklin tak naprawdę rozpoczął karierę oszukiwania w przemyśle medialnym już jako nastolatek, w 1722 roku, kiedy jego starszy brat James zakazał mu publikowania w gazecie „New-England Courant”, którą wydawał. Wkurzony takim tłamszeniem mocy twórczej, młody Benjamin zrobił to, co zrobiłby każdy przedsiębiorczy szesnastolatek: wymyślił wdowę w średnim wieku, niejaką Silence Dogood, i pod jej nazwiskiem wysyłał listy do redakcji (wiesz o tym coś, jeśli widziałeś ważny film dokumentalny zatytułowany *Skarb narodów* z Nicholasem Cage’em). James Franklin, nie mając bladego pojęcia, kto jest prawdziwym autorem listów, opublikował ich czternaście, a pani Dogood doczekała się licznej grupy fanów, a także kilku propozycji małżeństwa.

Pierwsza wycieczka w krainę perfidii była tak wielkim sukcesem, że Franklin radośnie kontynuował tę podróż. W Filadelfii od 1730 roku wydawał własną gazetę, „Pennsylvania Gazette”, w której drukował całkowicie fikcyjne relacje z procesu o czary (w Ameryce nie było godnych

uwagi spraw tego rodzaju od kilku dziesięcioleci). Następnie (znów pisząc pod pseudonimem) zajął się „Almanachem Biednego Richarda”, w którym uśmiercił nieszczęsnego pana Leedsa.

Podam przykład dla zilustrowania, ile wysiłku Franklin wkładał w swoje nawet najbłahsze kawały: w roku 1755 wydrukował Biblię z całkowicie fałszywym rozdziałem (zdecydowanie nieistniejącym pięćdziesiątym pierwszym rozdziałem Księgi Rodzaju), po prostu po to, żeby wygrać sprzeczkę z pewną wytworną angielską damą[33].

Polly Baker naprawdę nie zamierzała podsycić rewolucyjnego ferworu; została stworzona głównie ku uciesze Franklina. Był to żart, który po prostu… trochę się wymknął spod kontroli.

Wszystko to działo się we wczesnych latach mass mediów; przemysł prasowy, do jakiego przywykliśmy, rozwinął się w pełni dopiero kilkadziesiąt lat później. A jednak już w tamtej epoce pojawiło się wiele znajomych nam elementów, takich jak bezmyślne kopiowanie wiadomości bez sprawdzania, czy są zgodne z prawdą; niepokojąca mieszanina nieufności i łatwowierności czytelnika; to, że opowieści, które są zbyt dobre, żeby mogły być prawdziwe, nie chcą odejść w niepamięć. Żadna z tych rzeczy nie znikła, gdy przemysł medialny rozrastał się w swego rodzaju bekającego z zadowolenia molocha, jakiego znamy w dzisiejszych czasach. Przyjrzymy się temu w następnym rozdziale – gdzie odkryjemy, że historia Polly Baker pod żadnym względem nie była jedynym żartem, który trochę się wymknął spod kontroli.

---

* Biblia Tysiąclecia, Koh 12, 12.

** Przełożył Tadeusz Sławek.

[1] Franklin Benjamin, *Poor Richard's Almanack and Other Writings*, Dover Publications, 2012.

[2] W przeciwieństwie do wielu cytatów przypisywanych Twainowi, tu przynajmniej powiedział coś bardzo podobnego: „Potrafię doskonale zrozumieć, jak się rozeszła pogłoska o mojej chorobie, a nawet z pewnego źródła słyszałem, że zmarłem. James Ross Clemens, mój kuzyn, dwa albo trzy tygodnie temu poważnie się rozchorował w Londynie, ale na szczęście już wydobrzał. Doniesienie o mojej chorobie wyrosło z jego choroby. Doniesienie o mojej śmierci było przesadzone. Z doniesieniem o moim ubóstwie trudniej jest się rozprawić". White Frank Marshall, *Mark Twain Amused* w: „New York Journal", 2 czerwca 1897, opublikowane w: Gary Scharnhorst (red.), *Mark Twain: The Complete Interviews*, University of Alabama Press, 2006.

[3] Alan Abel, *Satirist Created Campaign To Clothe Animals*, „New York Times", 2 stycznia 1980.

[4] *Obituary Disclosed as Hoax*, „New York Times", 4 stycznia 1980.

[5] Fox Margalit, *Alan Abel, Hoaxer Extraordinaire, Is (on Good Authority) Dead at 94*, „New York Times", 17 września 2018, dostępne na https://www.nytimes.com/2018/09/17/obituaries/alan-abel-dies.html.

[6] Patrz np.: Smith Suzette, *The Day We Thought Jeff Goldblum Died*, „Portland Mercury", 22 czerwca 2016, dostępne na https://www.portlandmercury.com/The-Jeff-Goldblum-Issue/2016/06/22/18265356/the-day-we-thought-jeff-goldblum-died.

[7] Regal Brian i Esposito Frank J., *The Secret History of the Jersey Devil*, Johns Hopkins University Press, 2018 (Kindle edition).

[8] „Benjamin Franklin", Wikipedia, https://en.wikipedia.org/wiki/Benjamin_Franklin, z 24 lutego 2019.

[9] Stowell Marion Barber, *American Almanacs and Feuds* w „Early American Literature", tom 9, nr 3, 1975, dostępne na http://www.jstor.org/stable/25070683.

[10] Cytowane w: Stowell, *American Almanacs and Feuds*.

[11] Franklin Benjamin, *Poor Richard's Almanack and Other Writings*, Dover Publications, 2013.

[12] Swift Jonathan, *Bickerstaff-Partridge Papers* (Kindle edition).

[13] Stowell, *American Almanacs and Feuds*.

[14] Leeds Titan, cytowane w: Franklin Benjamin, *Poor Richard's Almanack and Other Writings*, Dover Publications, 2013.

[15] Pettegree Andrew, *The Invention of News: How the World Came to Know About Itself*, Yale University Press, 2014.

[16] Tamże.

[17] Dittmar Jeremiah i Seabold Skipper, *Gutenberg's moving type propelled Europe towards the scientifc revolution*, „LSE Business Review", 19 marca 2019, dostępne na https://blogs.lse.ac.uk/businessreview/2019/03/19/gutenbergs-moving-type-propelled-europe-towardsthe-scientifc-revolution/.

[18] Schröder Thomas, *The origins of the German press* w: Dooley Brandan i Baron Sabrina A., *The Politics of Information in Early Modern Europe*, Routledge, 2001.

[19] Groesen Michiel van, *Reading Newspapers in the Dutch Golden Age*, „Media History", tom 22, nr 3–4, 2016.

[20] Schröder, *The origins of the German press*.

[21] Tamże.

[22] Baillet Adrien, *Jugemens des sçavans sur les principaux ouvrages des auteurs*, 1685, cytowane w: Blair Ann, *Reading Strategies for Coping With Information Overload ca. 1550–1700*, „Journal of the History of Ideas", tom 64, nr 1.

[23] Burton Robert, *The Anatomy of Melancholy*.

[24] Burton Robert, *The Anatomy of Melancholy*, EGO Books, 2008 (Kindle edition). Pierwsze zdanie jest po łacinie (*Quis tam avidus librorum helluo*); przekład w: Tucker George Hugo, *Justus Lipsius and the Cento Form*, w De Bom Erik, *(Un)masking the Realities of Power: Justus Lipsius and the Dynamics of Political Writing in Early Modern Europe*, Brill, 2010.

[25] Burton Robert, *The Anatomy of Melancholy*.

[26] Dooley Brandan, *News and doubt in early modern culture*, w: Dooley Brandan and Baron Sabrina A., *The Politics of Information in Early Modern Europe*, Routledge, 2001.

[27] O'Neill Lindsay, *Dealing with Newsmongers: News, Trust, and Letters in the British World, ca. 1670–1730*, „Huntington Library Quarterly", tom 76, nr 2, 2013.

[28] Hadfeld Andrew, *News of the Sussex Dragon* w: Davies Simon F. i Fletcher Puck, *News in Early Modern Europe – Currents and Connections*, Brill, 2014.

[29] Cytowane w: Hadfeld, *News of the Sussex Dragon*.

[30] Cytowane w: Ellis Markman, *Eighteenth-Century Coffee-House Culture*, tom 4, Routledge, 2006.

[31] *By the King, a proclamation. To restrain the spreading of false news*, 26 października 1688, archiwum Uniwersytetu Oksfordzkiego, dostępne na http://tei.it.ox.ac.uk/tcp/Texts-HTML/free/A87/A87488.

[32] „Craftsman", 17 lipca 1734, cytowane w: Woolf Daniel, *News, history and the construction of the present in early modern England*; w: Dooley Brandan and Baron Sabrina A., *The Politics of Information in Early Modern Europe*, Routledge, 2001.

[33] Steiner Prudence L., *Benjamin Franklin Biblical Hoaxes*, „Proceedings of the American Philosophical Society", tom 131, nr 2, 1987.

3

Epoka dezinformacji

Na początku sierpnia 1835 roku fani wiadomości w Nowym Jorku stwierdzili, że jest o czym mówić.

Naturalnie o pogodzie – od długiego czasu panował piekielny skwar, który w tym miesiącu nie chciał odpuścić. Na Dolnym Manhattanie wybuchł wielki pożar. Pogłębiała się atmosfera politycznego napięcia, zdominowana przez temat niewolnictwa i częste gwałtowne starcia między wigami i demokratami w roku, w którym doszło do pierwszego nieudanego zamachu na prezydenta. Wśród osób obdarzonych bardziej naukowym umysłem panowało przyprawiające o zawrót głowy oczekiwanie na zapowiedziany rychły powrót na niebo komety Halleya. Odbywała się też ciekawa wystawa w popularnym miejscu rozrywki, Niblo’s Garden, zorganizowana przez ambitnego młodego gościa pragnącego rozpocząć karierę showmana – niejakiego Phineasa Taylora Barnuma – wzbudzająca sensację od czasu otwarcia dziesiątego sierpnia.

Nie dość, że nie brakowało wiadomości, to ich dostępność była ważnym nowym faktem. Miasto widziało eksplozję powstałych w poprzednich dwóch latach gazet groszowych: nowego gatunku tanich, przeznaczonych na masowy rynek publikacji, agresywnie rywalizujących o tematy i czytelników.

Więc tak, na początku sierpnia było o czym mówić.

Ale pod koniec tego miesiąca wszyscy mówili wyłącznie o rasie ludzi-nietoperzy żyjących na Księżycu.

Należy tutaj zaznaczyć (ponieważ nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli), że czerwonowłosi ludzie-nietoperze nie byli jedynymi mieszkańcami naszego satelity. Nie bądźcie głuptasami. Jak powszechnie

wiadomo, stanowili oni część tętniącego życiem i skomplikowanego kosmicznego ekosystemu, który obejmował – między innymi – ogromne dwunogie bobry czule noszące swe dzieci w ramionach, piekielnie szybkie kuliste płazy, które turlały się po plażach wielkich księżycowych rzek i jezior, a także stada małych, niebieskich jednorożców o kozich pyskach, wesoło brykające po idyllicznych łąkach pełnych rozkołysanych szkarłatnych kwiatów.

Te księżycowe cuda były stopniowo ujawniane czytelnikom gazety „New York Sun”, która przedrukowała wiadomości o tym odkryciu z relacji opublikowanej w suplemencie do „Edinburgh Journal of Science”. Były oparte na świeżych obserwacjach poczynionych przez wielkiego astronoma sir Johna Herschela przy wykorzystaniu nowego teleskopu o bezprecedensowej mocy i rozdzielczości, znajdującego się po drugiej stronie oceanu, na Przylądku Dobrej Nadziei w Afryce Południowej.

Doniesienia o księżycowych odkryciach spowodowały falę uderzeniową, która wstrząsnęła Nowym Jorkiem i obiegła świat. Przyciągnęły wielkie tłumy do redakcji, skłoniły konkurencyjne gazety do walki o prawo do przedruku, stały się popularnym tematem rozmów i zdominowały kulturę popularną, łącznie ze spłodzeniem cieszącej się szalonym powodzeniem sztuki mającej premierę niespełna miesiąc później w Bowery Theatre. I pomogły potwierdzić przypuszczenie, że założony zaledwie dwa lata wcześniej „Sun” jest prawdopodobnie najlepiej sprzedającą się gazetą na świecie.

Ale (tu przygotujcie się na szok) nic z tego nie było prawdą.

Wiem, wiem. To całkiem sporo informacji, żeby poukładać je sobie w krótkim czasie. Ale możecie mi wierzyć, kiedy powiem, że naukowcy bardzo starannie to sprawdzili: na Księżycu nie ma ludzi-nietoperzy. Ani kozo-jednorożców.

Francuski sztych braci Thierry ukazujący księżycowych ludzi-nietoperzy.

Wielka mistyfikacja księżycowa z 1835 roku nie była, jak twierdziły pierwsze artykuły w „Sun”, dziełem „doktora Andrew Granta”, który był „przez kilka lat nieodłącznym asystentem młodszego Herschela”[1]. Jej autorem był młody angielski imigrant w Stanach Zjednoczonych, Richard Adams Locke. Został on zatrudniony jako redaktor „Sun” dwa miesiące wcześniej i chcąc zrobić wrażenie, nie marnował czasu.

Gdyby was poproszono o wskazanie okresu narodzin nowoczesnych mediów w historii, połowa lat trzydziestych dziewiętnastego wieku w Nowym Jorku byłaby równie dobrym kandydatem jak każdy inny. Gazety przed tym okresem bardzo się różniły od tych dzisiejszych (albo,

ściślej mówiąc, tych, których nie kupujemy, ale o których czasami czytamy na stronach internetowych). Przede wszystkim były artykułami luksusowymi przeznaczonymi dla zamożnych kupców i klasy politycznej, z niewielkimi próbami trafienia do szerszych kręgów odbiorców. Nowojorskie gazety na początku lat trzydziestych dziewiętnastego wieku kosztowały po sześć centów, co nie było ceną przystępną dla większości mieszkańców szybko rozwijającego się miasta. Składały się z jednego złożonego arkusza papieru, miały więc tylko cztery strony, przy czym pierwsza i ostatnia – najcenniejsze dla każdego współczesnego redaktora – były zapełnione wyłącznie niezliczonymi krótkimi ogłoszeniami, wydrukowanymi prawie nieczytelnym maczkiem.

Dzięki dwudziestowiecznym innowacjom Ruperta Murdocha w umysłach brytyjskich miłośników gazet „trzecia strona” jest nierozerwalnie połączona ze zdjęciami kobiet w topless. Dla porównania, trzecia strona nowojorskich gazet na początku lat trzydziestych dziewiętnastego wieku zawierała długie listy takich rzeczy jak kurs wymiany walut i szczegóły dotyczące statków, które ostatnio zawinęły do portu – informacje ważne dla kupców, ale poza tym kompletnie bezużyteczne jak miękka pornografia, chyba że masz jakieś wyjątkowo niszowe zboczenie. Wszystkie artykuły umieszczano na stronie drugiej, którą każdy współczesny dziennikarz uznaje za „miejsce, gdzie pakuje się to, czego ludzie nie czytają”.

Nic w takiej gazecie nie krzyczało: „Proszę, kupcie mnie!”, co w zasadzie nie było problemem dla wydawców, ponieważ ich odbiorcami z reguły byli subskrybenci, a nie ludzie kupujący prasę w kioskach (co było wygodne, zważywszy, że wówczas nie było kiosków z gazetami). Poza tym wydawcy mocno polegali na patronacie – a konkretnie na patronacie politycznym. Tak się rzeczy miały u schyłku ery „partyjnej prasy”

w Stanach Zjednoczonych, kiedy to większość tytułów należała do stronników politycznych albo była zależna od świadczonych przez polityków przysług, takich jak przyznawanie lukratywnych kontraktów rządowych w zamian za niezachwiane dozgonne poparcie.

Schyłek spowodował coś, co można dobrotliwie opisać jako „burzliwą i zażartą debatę publiczną na temat poważnych kwestii politycznych stojących przed młodym krajem” albo, nieco mniej wielkodusznie, jako „pyskówkę bandy megalomanów pieprzących głupoty o swoich rywalach bez żadnego szacunku dla ścisłości”.

To „burzliwe i zażarte” często wlewało się w prawdziwe życie. Nowy Jork roku 1835 ogromnie się różnił od dzisiejszej połyskliwej metropolii. Naturalnie nie było wtedy szklanych drapaczy chmur; zamiast nich były zdziczałe świnie błąkające się po pełnych łajna ulicach. Mimo wszystko miastu nie brakowało cech znanych dzisiejszym nowojorczykom: latem cuchnęło jak wszyscy diabli, nie mogło się chlubić sprawnym metrem i miało małą, za to wpływową koterię profesjonalistów medialnych, którzy ze zbyt wielką powagą traktowali swoje interpersonalne dramaty.

Redaktorzy naczelni byli silnie identyfikowani z kierowanymi przez siebie gazetami nie tylko dlatego, że sami pisali większość artykułów. Różnica pomiędzy nowoczesnymi rolami reporterów (których praca polega na szukaniu i znajdowaniu newsów) i redaktorów (których praca polega na siedzeniu w biurze i domaganiu się zdjęć Spider-Mana) w tym momencie wciąż była nieostra. W rezultacie dzikie sprzeczki między zwolennikami tej czy innej gazety często miały charakter głęboko osobisty – i dość powszechnie się zdarzało, że redaktorzy konkurencyjnych gazet wpadający na siebie na ulicy po prostu spuszczali sobie łomot. Jeden z redaktorów zaczął nawet nosić pistolety po tym, jak pewien rywal zaatakował go fizycznie trzy razy w ciągu jednego tygodnia.

W takiej właśnie toksycznej atmosferze w roku 1833 powstał nowojorski „Sun” i na zawsze zmienił reguły gry. Za „Sun” (i innymi pionierskimi gazetami nowej ery „prasy groszowej”) stał radykalny pomysł: zamiast standardowych sześciu centów egzemplarz kosztował tylko jednego centa. Zamiast polegać na subskrypcji i patronacie, gazety były niezależne, sprzedawane na ulicach przez gromadę gazeciarzy wykrzykujących najbardziej sensacyjne nagłówki dnia. Gazety zarabiały głównie na reklamach, które dzięki znacznie wyższej sprzedaży nagle mogły dotrzeć do nieporównanie szerszego kręgu odbiorców. Wiadomości przestały być niszowym ekskluzywnym produktem przeznaczonym dla małego, homogenicznego, elitarnego środowiska – trafiały na rynek masowy, popularny i populistyczny, gotowe przemawiać do szerokiej grupy czytelników… i miały walić po oczach.

Innymi słowy, ustanowiły ogólny zarys modelu biznesowego, jaki pokaźna część prasy miała naśladować przez większą część następnych stu siedemdziesięciu lat – w zasadzie zmieniło się to przed kilkoma dziesięcioleciami. (Krótka dygresja: niektórzy, i to w całkiem niemałej liczbie, ostatnio sugerują, że przemysł medialny desperacko wraca truchcikiem do poprzednich modeli, albo tworząc oparte na subskrypcji produkty skierowane do mniejszej, elitarnej grupy odbiorców, albo uzależniając się od patronatu łaknących wpływów oligarchów. Tak czy inaczej, czas zabawy w Newsville!).

„Sun” szybko znalazł formułę, która miała zdać egzamin czasu – mianowicie zrozumiał, że artykuły o przestępstwach, katastrofach i ludzkim dramacie przyciągają uwagę – i stwierdził, że sprzedaż osiąga bezprecedensowe wyżyny. Na początku sierpnia 1835 roku szczycił się nakładem dwudziestu sześciu tysięcy egzemplarzy, znacznie większym niż londyński „The Times”, prawie na pewno będący największą gazetą na

świecie przed nastaniem „Sun”. Być może w znacznej mierze przyczynił się do tego wielki pożar, który wybuchł dwunastego sierpnia i strawił znaczną część dzielnicy drukarskiej na Dolnym Manhattanie. Sprzedaż „Sun” wzrosła dwukrotnie nie tylko dlatego, że ludzie chętnie czytali o wielkich i dramatycznych wydarzeniach – ogień zniszczył drukarnię najbliższego rywala, innej groszowej gazety „Morning Herald”, która w tym czasie ukazywała się zaledwie od trzech miesięcy.

W ten oto sposób w sierpniu 1835 roku „Sun” zajmował idealną pozycję do stworzenia nowej medialnej sensacji. A jednak historia o księżycowych ludziach zaczęła się skromnie, od krótkiej notatki na drugiej stronie wydania, które ukazało się w piątek dwudziestego pierwszego sierpnia, zatytułowanej „Księżycowe odkrycia”. Odnotowano, że na Przylądku Dobrej Nadziei sir John Herschel dokonał „nadzwyczaj cudownych odkryć astronomicznych, używając ogromnego teleskopu działającego na zupełnie nowych zasadach”.

Jak się okazało, notatka była zwiastunem. Pełna historia zaczęła się ukazywać w następnym tygodniu, we wtorek dwudziestego piątego sierpnia. Ale nawet wtedy, zamiast przedstawić najbardziej sensacyjne aspekty, „Sun” powoli budował narrację. Pierwszy odcinek był, szczerze mówiąc, trochę nudny, złożony głównie z opisów działania „ogromnego teleskopu” z siedmiotonowymi soczewkami.

Ale to podejście przysłużyło się „Sun”. Zamiast sceptycyzmu, który mógł wywołać nagłówek JASNY GWINT, NA KSIĘŻYCU ŻYJĄ LUDZIE-NIETOPERZE, poważny wstęp – zaprezentowany jako przedruk z szacownej publikacji, „Edinburgh Journal of Science” – nadał historii aurę wiarygodności i sprawił, że czytelnicy wracali po więcej.

Nazajutrz „Sun” zaczął odsłaniać przed czytelnikami księżycowe cuda. W środowym odcinku ujawniono, że na Księżycu istnieje bogate życie

roślinne i zwierzęce – łącznie z łąkami porośniętymi przez podobne do maków czerwone kwiaty, kulistymi stworzeniami i niebieskimi kozo-jednorożcami. Te informacje były dość niezwykłe, ale nie umywały się do rewelacji dnia trzeciego, kiedy ogłoszono odkrycie dwunożnych bobrów – zwierząt wyraźnie obdarzonych inteligencją, noszących młode w ramionach „jak istoty ludzkie” i mieszkających w chatach „lepiej zbudowanych i wyższych niż chaty wielu plemion ludzkich dzikusów”.

W tym momencie artykuły już budziły sensację, ale czwarty odcinek, z piątku dwudziestego ósmego sierpnia, wzniósł ją na nowe wyżyny. Wtedy „Sun” przedstawił światu księżycowych ludzi-nietoperzy: „*Vespertilio-homo*, czyli człowiek-nietoperz”, jak rzekomo nazwał ich Herschel; istoty mające „około trzydziestu metrów wzrostu”, porośnięte „krótkimi, lśniącymi włosami w kolorze miedzi”, z żółtymi twarzami „nieco urodziwszymi niż pyski dużych orangutanów”. I, najważniejsze, wyposażone w skrzydła „z cienkiej błony (…) wygodnie leżące na plecach, sięgające od barków do łydek”.

Te człekopodobne stworzenia nie tylko mogły latać, ale też najwyraźniej były bardzo inteligentne – „widać, że się porozumiewają”, a „ich gestykulacja (…) sprawia wrażenie żywej i wymownej”. I na wypadek gdyby to nie wystarczyło do przyciągnięcia uwagi, autor artykułu informował, że „nasze dalsze obserwacje zwyczajów tych istot, które mają dwie płcie, prowadzą do tak niezwykłych wniosków, że wolę, iżby najpierw wyłożył je w swojej pracy doktor Herschel (…) bez wątpienia są niewinnymi i szczęśliwymi istotami, jednakowoż niektóre ich swawole uznane zostałyby za niestosowne wedle naszego ziemskiego poczucia przyzwoitości”. Akapit opisujący te „swawole” został dość ostentacyjnie ocenzurowany.

No tak. Autor tekstu krążył na paluszkach wokół tematu, ale czytelnik miał niewiele wątpliwości: O rany, ludzie-nietoperze na Księżycu się bzykają!

Po piątkowych rewelacjach dwa ostatnie odcinki musiały sprawić lekki zawód, jednak zdołały podsycić zachłanną ciekawość czytelników. Sobota przyniosła odkrycie tajemniczych, podobnych do świątyń wielkich budowli z szafiru, a poniedziałek (po niedzielnej przerwie) zaprezentował nową, bardziej rozwiniętą odmianę ludzi-nietoperzy. Te lepsze nietoperzowate istoty, opisane jako „wyższy rząd zwierząt w tej żyznej dolinie", siadają w kręgach, prowadzą rozmowy, są „większe niż poprzednie okazy, jaśniej ubarwione i pod każdym względem stanowią lepszą odmianę rasy".

To prawda – zaledwie po czterech dniach istnienia księżycowych ludzi-nietoperzy pokuszono się o wprowadzenie skrajnie rasistowskiego wątku.

Wielotysięczne tłumy oblegały redakcję gazety, żądając nowych doniesień, a prasa drukarska nie nadążała z drukowaniem.

Czytelnicy nie tylko pragnęli dowiedzieć się więcej, ale też wnosili czynny wkład do tej ściemy. William Griggs, przyjaciel Locke'a, autora mistyfikacji, opowiedział, że słyszał głosy ludzi oferujących „z głębokim przeświadczeniem" dowody na poparcie fikcji. Pewien „wielce szacownie wyglądający starszy dżentelmen w pięknym kwakierskim garniturze z czarnego sukna wysokiej jakości" twierdził, że na własne oczy widział teleskop Herschela, ładowany na statek w londyńskich dokach; inny mężczyzna „o idealnie przyzwoitej powierzchowności" zarzekał się, że ma oryginalny numer „Edinburgh Journal of Science" i że przedruk w „Sun" jest wierną kopią zamieszczonego tam artykułu. Griggs opisuje to jako akty „spontanicznego kłamania"[2].

Benjamin Day, obrotny wydawca gazety, natychmiast dostrzegł okazję zarobku. Jeszcze przed zakończeniem cyklu opublikował niezależną

broszurę, która szybko się rozeszła w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy (po dwanaście i pół centa za sztukę), a nadto zamówił ryciny przedstawiające mieszkańców Księżyca. I zainwestował w nowe parowe prasy drukarskie, żeby jego gazecie nigdy więcej nie zabrakło egzemplarzy. Newsy były na najlepszej drodze, żeby stać się przemysłem.

Nie ulega wątpliwości, że powszechnie wierzono w mistyfikację. Nowojorczycy tamtych czasów pisali o tym w pamiętnikach i niewielu wyrażało sceptycyzm; liczne relacje z ówczesnych źródeł dowodzą, że większość ludzi dała się nabrać na twórczość Locke'a. Nie kto inny jak Edgar Allan Poe napisał później: „Nawet jedna osoba na dziesięć nie podawała tego w wątpliwość (…) Szanowany profesor matematyki w wirginijskim kolegium powiedział mi z powagą, że nie wątpi w prawdziwość całej tej afery!"[3]. Sam Poe był w owym czasie potężnie wkurzony tą ściemą – nie dlatego, że dał się nabrać, ale ponieważ kilka miesięcy wcześniej opublikował w „Southern Literary Messenger" własną zmyśloną historię o podróży na Księżyc i planował dalszy ciąg, zanim „Sun" pokrzyżował mu szyki.

W końcu ludzie zaczęli wyrażać publiczny sceptycyzm – a wśród pierwszych był niejaki James Gordon Bennett, wydawca „Morning Herald". Zmuszony przesiedzieć z założonymi rękami pierwszy tydzień ściemy, gdyż jego gazeta nie ukazywała się wskutek pożaru, przypuszczalnie przez cały czas zgrzytał zębami z powodu sukcesu rywali.

Jednakże w następny poniedziałek, trzydziestego pierwszego sierpnia, „Herald" wrócił do biznesu (i wyrzucił „Morning" z tytułu[4]). Bennett natychmiast strzelił w konkurencję z grubej rury, publikując artykuł zatytułowany „Astronomiczna mistyfikacja zdemaskowana", w którym między innymi odnotował, że prawdziwy „Edinburgh Journal of Science" od dwóch lat już się nie ukazuje i nie może więc być źródłem tej historii.

Kontynuował w tym samym stylu przez następne tygodnie, nazywając poczynania „Sun” „wielce niestosownymi, haniebnymi i właściwie będącymi przykładem bezczelnego szwindlowania”, a przy tym oskarżał konkurenta o drukowanie „nieprawdy dla pieniędzy”.

(Na wypadek, gdybyście się zastanawiali: to nie od tego Jamesa Gordona Bennetta pochodzi okrzyk „Gordon Bennett!”, choć ci dwaj Bennettowie byli ze sobą związani. Ten od okrzyku, James Gordon Bennett Jr., był synem tego pierwszego i odziedziczył po nim gazetę ostatecznie noszącą tytuł „The New York Herald”. Pod tym właśnie tytułem zyskała największą sławę. Bennett Jr. był nie tylko jej właścicielem; był również tak głęboko oddany hulaszczemu, rozwiązłemu i bardzo ekscentrycznemu stylowi życia, że jego nazwisko stało się synonimem „Ja cię kręcę!”).

Czy oskarżenia Bennetta były zasadne? Czy „Sun” pisał nieprawdę wyłącznie dla pieniędzy? OK, niewątpliwie nacisk na zwiększenie sprzedaży mógł pchnąć Locke’a w kierunku napisania tego *magnum psikus* i Day jako wydawca z pewnością nie wahał się ani chwili, żeby wycisnąć z sensacji każdego dolara. Ale Locke’owi chyba przyświecał inny cel. Działał z innych pobudek. Gdy kilka lat później przyznał się do mistyfikacji, wyjaśnił, że stworzył jedno ze słynniejszych kłamstw w historii, ponieważ sam był zirytowany rozpowszechnianiem kłamstw. Cykl księżycowy był pomyślany nie jako ściema, ale jako parodia teologii naturalnej, popularnej w owym czasie koncepcji filozoficznej, która w dążeniu do zrozumienia Boskiego projektu degradowała naukę. Locke, fan nauki, entuzjasta geologii i astronomii, był zatrwożony tym sposobem myślenia i chciał pokazać, że to szarlataneria.

Tak naprawdę nie chciał szerzyć ściemy. Po prostu wymyślił wyrafinowany kawał, na który prawie każdy dał się nabrać.

Ten żart zemścił się na nim w przykry sposób. Do końca życia nie mógł uciec z cienia swojego Księżyca. Rok później odszedł z „Sun” do nowej gazety, gdzie miał nadzieję zrobić coś ważniejszego dla świata, niewiele jednak zdziałał. Kilka lat po pierwszym numerze wymyślił następną mistyfikację, o rzekomym odnalezieniu zaginionych dzienników szkockiego badacza Munga Parka, ale nikogo to nie obchodziło. Jego teksty budziły podejrzenia. Locke pił coraz częściej i coraz więcej. Niespełna dziesięć lat później porzucił dziennikarstwo i spędził pozostałe trzydzieści lat życia na pracy w służbie celnej.

Ale to, co zostawił, przetrwało do dzisiaj. Elementy spuścizny wielkiej mistyfikacji księżycowej – gazety bijące się o nakład, uprzemysłowienie dystrybucji wiadomości i stawianie sensacji nad ścisłością – przez prawie dwa stulecia rezonowały w tym biznesie. Cytując nieocenione źródło internetowe, jakim jest The Museum of Hoaxes (Muzeum Bujdy), księżycowy cykl Locke’a był „pierwszą prawdziwą demonstracją siły mass mediów”[5].

Jak wcześniej w przypadku Franklina, był to dziennikarski żart, który trochę się wymknął spod kontroli. I nie po raz ostatni. W tym momencie pewnie powinienem wyznać, czym się zajmuję: jestem dziennikarzem i kimś, kto robi kawały, które wymykają się spod kontroli. Przez wiele lat – dzięki kaprysom nowych mediów w ogóle i pobłażliwości moich szefów w BuzzFeed w szczególności – moja praca łączyła obie te pasje w jeden nieco zagmatwany pakiet. Z jednej strony jako dziennikarz donosiłem o internetowych wirusowych błędnych informacjach: pomagałem ujawniać pozbawione skrupułów serwisy informacyjne, polowałem na rosyjskie roboty, demaskowałem coś, co sprawiało wrażenie niezliczonych obrobionych w Photoshopie zdjęć rekinów pływających po zalanych przez

powódź ulicach. Z drugiej strony, jako humorysta tworzyłem wyrafinowane historie o nieistniejących wydarzeniach.

Te kawały były oczywiście interpretowane jako prawdziwe przez przynajmniej niewielką część czytelników. Poznałem na własnej skórze, że zasadniczo nie można zrobić nic – może z wyjątkiem napisania na czymś LUDZIE, TO ŻART, co na ogół trochę psuje puentę – żeby ktoś nie wziął nawet najbardziej przejrzyście oczywistego żartu na poważnie. Jeśli jesteś fanem kwestionowania swojego miejsca w świecie, nie ma nic lepszego niż zobaczenie, że niespełna pół roku po tym, jak wymyśliłeś kawał o osobach naiwnie dzielących się na Twitterze jakąś bzdurą, ludzie dzielą się na Twitterze twoim wymysłem, uważając go za najprawdziwszą prawdę.

Skoro o tym mowa, chciałbym skorzystać z okazji – po raz pierwszy – żeby publicznie przeprosić starszego prezentera BBC Nicka Robinsona i przedstawić sprawę jasno: nie chodził do Eton z Davidem Cameronem i nigdy potajemnie nie został nagrany, gdy mówił „Nienawidzę wszystkich biednych ludzi”[6]. Oświadczam, że to był żart, i nikt nie powinien tweetować tych słów bez kontekstu.

Poza moim długotrwałym wstydem z powodu zniesławienia pana Robinsona, ten przykład również oznacza, że mam nieco ambiwalentny stosunek do dziennikarstwa. Jak wszyscy dziennikarze, z całą stanowczością i nieco pompatycznie będę go bronić jako szlachetnej i wymagającej odwagi profesji, ważnego filaru demokratycznego społeczeństwa, a także niezbędnego narzędzia do odkrywania prawdy i pociągania tych przy władzy do odpowiedzialności. To nie tylko deklaracja; każdego dnia inspirują mnie pracujący na całym świecie dziennikarze, z których wielu ryzykuje uwięzienie, majątek albo nawet życie, żeby ujawniać zło i rzucać światło w ciemności. Są bohaterami.

Zdaję też sobie sprawę, że spora część tego, co produkuje przemysł medialny, to – w mniejszym lub większym stopniu – bzdury.

Jedna z przyczyn leży w tym, że praca polegająca na wyszukiwaniu faktów i pisaniu o nich w krótkim napiętym terminie jest naprawdę ciężka. Niekoniecznie ciężka w sensie roboty w kopalni, bardziej przypomina szukanie igły w stogu siana podczas ataku tornada, gdy poza tym nikt nie jest stuprocentowo pewien, czy w ogóle jest tam jakaś igła, a rolnik już przekazuje wszystkie pytania o stóg swojemu prawnikowi… a poza tym facet z Reutersa był tam już dwie godziny wcześniej, dogadał się z rodziną igły i zdobył wyłączność na publikację.

Powiedzmy sobie wprost: Zdarzenia często są zagmatwane i chaotyczne, więc próba ustalenia przebiegu nawet najbłahszego z nich, a następnie przedstawienia go przy użyciu spójnych, krótkich zdań – i dokonanie tego wszystkiego w ciągu kilku godzin – czasami może być trudna.

Nigdzie nie było to bardziej oczywiste niż w historii o wężu, który w roku 1904 niespodziewanie pojawił się w nowojorskim mieszkaniu.

Szczerze mówiąc, w sumie nie jest to ważna historia. Nie wiązała się z obaleniem rządu, nie zainicjowała żadnych wielkich ruchów społecznych, ucichła z biegiem lat. Na jej temat powstało dokładnie zero musicali. Jedyna ofiara zmarła na długo przed tym, zanim historia trafiła do druku – a ofiarą był rzeczony wąż.

Pechowy gad pojawił się w pechowym mieszkaniu pod numerem dwudziestym drugim przy Ulicy Trzydziestej Trzeciej Wschodniej, w obskurnej i niebezpiecznej dzielnicy Manhattanu (dziesiątki lat później po przekształceniu kamienicy w biurowiec pod tym samym adresem przez krótki czas mieściło się ostatnie atelier Factory Andy’ego Warhola). Mały chłopiec, jak zauważyła jego rodzina, bawił się tam niezwykłą nową

zabawką. Nową zabawką, jak ujawniły dokładniejsze oględziny, tak naprawdę był żywy wąż.

Rodzina, co dość naturalne, śmiertelnie się wystraszyła i bardzo szybko zatłukła gada na śmierć – niech spoczywa w pokoju – po czym zaniosła zwłoki na znajdujący się kilka przecznic dalej podupadły, cuchnący posterunek policji. Musimy założyć, że tam jeden z najlepiej poinformowanych dżentelmenów z prasy zwęszył dziwaczną z życia wziętą historię.

Można zrozumieć, dlaczego taki drobiazg zaciekawił reporterów: z tego rodzaju wypadków lokalna prasa robi reportaże. Nas jednak interesuje to, co stało się później. Temat podchwyciło sześć nowojorskich gazet: „Sun”, „Herald”, „The Times”, „Tribune”, „World” i „American and Evening Journal”, przy czym każda podawała zupełnie inne szczegóły dotyczące tego zdarzenia.

Trzeba podziękować Andie Tucher, byłej dziennikarce i wykładowczyni wydziału dziennikarstwa na nowojorskim Uniwersytecie Columbia, za wyczerpujące śledztwo w sprawie oszałamiająco szerokiego wachlarza nieścisłości, jakie prasa napisała o tym całkowicie błahym incydencie[7]. Wszystkie wyżej wymienione gazety siały sprzecznymi szczegółami jak confetti. Nic się nie zgadzało, ani wielkość węża (od metra do półtora długości), ani kolor (żółty, brązowy, zielony, czarny, czasami z plamami w różnych kombinacjach barw), ani wiek chłopca (trzy, cztery, pięć lat albo jeszcze inny), ani imię chłopca (Pierre, Albert, Jeltrup, Gultrep czy Blanpain), ani nazwisko sąsiada, z którego menażerii rzekomo uciekł wąż (wszyscy się zgadzali, że miał na imię Gustave, ale co do nazwiska już nie, Hurtiland albo Svenson, przy czym żadne nie było właściwe). Co więcej, nie było też jednomyślności, kto uśmiercił gada (ojciec, dziadek, wuj,

opiekunka), czym go uśmiercił (nóż, łopata, młotek, miecz), a nawet w ilu kawałkach był wąż po zabiciu (dwa kawałki albo całe mnóstwo kawałków).

Zasadniczo sporny był każdy szczegół zdarzenia poza tym, że „był wąż”. To jak pokręcona herpetologiczna wersja gry Cluedo.

Nie chodzi o nabijanie się z od dawna nieżyjących reporterów zbierających informacje w nowojorskim dziewiętnastym posterunku, ale po prostu o wykazanie bardzo wątłego związku między tym, co prawdziwe, i tym, co opublikowane. Przecież chodziło o zdarzenie, z którym wiązało się bardzo mało problemów typowych dla poważniejszego dziennikarstwa: żadna z osób (może z wyjątkiem rzekomego właściciela węża, Gustave’a) nie miała powodów przekręcać prawdy. Nikt nie próbował niczego ukrywać, nikt nie reklamował filmu, nikt nie chciał wykorzystać węża jako politycznego usprawiedliwienia inwazji na kraj Trzeciego Świata.

Może niektórzy reporterzy nieścisłego artykułu o wężu po prostu byli leniwi czy niekompetentni, albo po prostu mieli pecha. Z drugiej strony, może wykonywali swój fach najlepiej, jak umieli.

W dzisiejszych czasach określenie „fake news” praktycznie jest wszędzie – i jego znaczenie uległo szybkiej i przygnębiającej zmianie z „całkowicie fikcyjnego tekstu udającego newsy wyłącznie po to, żeby na niego klikano” (znaczenie w 2016) na „pisanie o polityku tego, co jest politykowi nie w smak” (od 2017 do chwili obecnej). Ale nie po raz pierwszy termin „fake” wszedł do przemysłu medialnego, żeby z biegiem czasu nabrać innego sensu; coś bardzo podobnego zdarzyło się na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, kiedy to słowo zaistniało w świecie wiadomości prasowych.

Wcześniej pojęcie „fake’u” nie stanowiło elementu dyskursu głównego nurtu; był to termin żargonowy, używany tylko przez przedstawicieli najbardziej podejrzanych profesji, takich jak złodzieje, oszuści i aktorzy.

Ale – jak opisana przez Tucher historia wężowego dziennikarstwa śledczego[8] – pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku trafił do świeżo profesjonalizującego się świata dziennikarstwa. I niekoniecznie był traktowany jak grzech pierworodny reportażu – jak coś, co należałoby wykorzenić z mediów. Według niektórych autorytetów fingowanie było postrzegane jako niezbędna umiejętność reportera.

W magazynie „The Writer”, który wystartował w roku 1887 dla rozwijającej się w szybkim tempie klasy zawodowych pismaków, redaktor naczelny William Hills z aprobatą pisał o gazetach, w których dziennikarze muszą „umieć genialnie fingować, żeby dobrze odgrywać swoją rolę”[9]. Kilka miesięcy później dowodził, że „w prasie rzadko pojawia się doniesienie, które w mniejszym lub większym stopniu nie fałszuje prawdy”[10], i opisał to zjawisko jako „dostarczanie, przy wykorzystaniu zdrowego rozsądku i zdrowej wyobraźni, nieistotnych szczegółów (…) które nie muszą wyrastać z faktów, chociaż są zgodne z tym, co korespondent uważa za najprawdopodobniej prawdziwe”. Celem jest ubarwienie tekstu; twierdził, że „fake” jest „niezupełnie kłamstwem”.

Przykład tego, czym mogą być te „nieistotne szczegóły”, pochodzi z wydanego w 1894 roku podręcznika dla młodych dziennikarzy, napisanego przez Edwina Shumana, chicagowskiego przedstawiciela tej profesji, który prowadził kurs dziennikarski w czasie, gdy studia dziennikarskie należały do przyszłości. Shuman przestrzega tych marzących o karierze dziennikarskiej przed popełnianiem „nudnego i prozaicznego błędu, jakim jest nieznośnie irytująca dokładność w podawaniu takich drobiazgów jak minuty i sekundy czy informacje o pogodzie albo w wiernym cytowaniu mówiącego”[11].

Jeśli jesteś redaktorem wiadomości, są spore szanse, że może właśnie głośno wrzasnąłeś, czytając te ostatnie słowa. Zgoda, Shuman pisał

w czasach, kiedy w zasadzie nie można było wsunąć do kieszeni urządzenia nagrywającego (w owych czasach urządzenie, które dziesięć lat później zostało opatrzone nazwą „dyktafon”, składało się z ciężkiego pokrytego woskiem cylindra). Ale mimo wszystko wierne cytowanie słów mówiącego to nie jest „drobiazg”!

Tak więc powszechnie stosowano fingowanie. Dzięki temu reporterzy (jak typowi sfrustrowani pisarze) mieli szansę na prężenie literackich muskułów, a także na to, żeby nie dać się ubiec innemu reporterowi w opublikowaniu sensacyjnej wiadomości, bo coś takiego stanowiło znacznie większą zniewagę dla bogów dziennikarstwa. Redaktorzy naczelni lubili wymysły, ponieważ zapewniały im wyższe nakłady; czytelnikom podobał się produkt i wyrażali zadowolenie, dokonując zakupu. Jeśli newsy wydawały się zbyt dobre, żeby mogły być prawdziwe – zwłaszcza te dotyczące małych albo odległych miast, bo w tym przypadku bariera wysiłku wydawała się zbyt wielka – nikt nie zamierzał kiwnąć palcem, żeby je sprawdzić albo interweniować.

Na tym opierała się kariera Louisa T. Stone’a, ambitnego młodego pisarza z miasteczka Winsted w Connecticut. Stone szybko stał się najpopularniejszym dziennikarzem w kraju dzięki niemal nienasyconemu apetytowi wielu gazet na doniesienia z jego stron rodzinnych. Znany jako Kłamca z Winsted, od roku 1895 do śmierci w 1933 produkował stały strumień bredni, którym redaktorzy nie mogli się oprzeć.

Oto garść co wybitniejszych wymysłów Stone’a, odnotowanych w 1940 roku przez profesora dziennikarstwa Curtisa D. MacDougalla: czerwono-biało-niebieskie jajko zniesione przez kurę w Dzień Niepodległości; drzewo rodzące pieczone jabłka; kot, który gwizdał *Yankee Doodle*; połknięty przez krowę zegarek, który po latach dokładnie wskazywał czas, ponieważ

nakręcał go krowi oddech w żołądku; łysy, który wymalował sobie na głowie pająka, żeby odstraszać muchy[12].

To dość zdumiewająca kolekcja opowiastek, ale skoro autorem wszystkich był ten sam pismak z tego samego miasteczka, można by pomyśleć, że ktoś powinien się pokapować, że to bujdy, albo dopuścić nikłą możliwość, że Winsted jest portalem do krainy bajek. Czy rzeczywiście ktoś wierzył w te opowiastki? MacDougall pisze, że były brane za prawdę „dosłownie przez każdego (…) z wyjątkiem mądrych redaktorów, którzy mieli sceptyczne podejście do wszystkiego, co przysyłał Stone, ale mimo to drukowali jego historyjki z powodu zainteresowania czytelnika”[13].

Ten sceptycyzm nijak nie wpłynął na karierę Stone’a, który awansował i został dyrektorem naczelnym lokalnej gazety, odrzuciwszy liczne propozycje pracy w wielkim mieście; wolał zostać w swoim grajdołku i wypisywać dziwaczne newsy. Kiedy zmarł, wdzięczni mieszkańcy rodzinnego miasta, wcale niezdegustowani jego wymysłami, wychwalali go za rozsławienie Winsted i nazwali jego imieniem most nad miejscową rzeką o nazwie… Sucker Brook (Potok Frajera).

Poza mostem i stałym miejscem w panteonie dziennikarskich oszustów Stone ze swoją fantazją nie zostawił po sobie wielkiej spuścizny. Nie można tego samego powiedzieć o jednej z najwybitniejszych dziewiętnastowiecznych mistyfikacji: o listach, które stworzyły legendę Kuby Rozpruwacza.

Morderstwa w Whitechapel dały nam jedną z najtrwalszych postaci popkultury naszych czasów… nawet jeśli zaliczenie seryjnego zabójcy do postaci popkultury wydaje się dość niesmaczne. Jego zbrodnie stały się inspiracją dla twórców filmów, seriali telewizyjnych, powieści, piosenek, komiksów, wystaw i co najmniej jednego musicalu. Czasami wręcz nie można przejść przez pewne części wschodniego Londynu, żeby nie natknąć

się na spragnionych sensacji turystów biorących udział w wycieczce śladami Kuby Rozpruwacza, z dorywczo zatrudnionymi aktorami, którzy recytują straszne historie o kiepsko oświetlonych ulicach i przemykających w smogu cienistych postaciach, usilnie starając się ignorować fakt, że pobliski pub jest teraz pełen gości z e-fajkami.

Tyle że większa część naszej „wiedzy” o Kubie Rozpruwaczu i o jego ofiarach (całkiem możliwe, że łącznie z przeświadczeniem, że zdecydowanie był jeden seryjny zabójca, sprawca pięciu „kanonicznych” morderstw) opiera się na nieco mglistej mieszaninie prawd, przypuszczeń i ówczesnych doniesień, które nie zamierzały pozwolić, żeby fakty weszły w drogę dobrej opowieści. To dotyczy trzonu mitologii Kuby Rozpruwacza – zwłaszcza jego ksywy.

Ksywa Kuba Rozpruwacz pochodzi z korespondencji nadsyłanej do Central News Agency we wrześniu i październiku 1888 roku: listu „Drogi Szefie”, pocztówki „Niegrzeczny Kubuś” i listu „Moab & Midian”. Napisane czerwoną substancją wiadomości były opatrzone podpisem „Kuba Rozpruwacz” („Wybacz, że używam pseudonimu”) i pomogły stworzyć dobrze znaną z literatury wagonowej szablonową postać seryjnego zabójcy, który drwi z policji. Podały motyw („Nie trawię dziwek”), zapowiadały dalsze zbrodnie („Mój nóż jest taki miły i ostry, że chcę się zabrać do pracy, gdy tylko będę miał okazję”), szydziły z policji, że nie umie schwytać winnego („Ciągle słyszę, że policja mnie złapała, ale jeszcze mnie nie mają”), i opisywały makabryczne pamiątki („Zachowałem trochę stosownej czerwonej cieczy w butelce po piwie imbirowym”).

Obecnie uważa się, że te listy prawie na pewno były dziełem dziennikarza, któremu zależało na kontynuowaniu sensacyjnej sprawy. Analiza pisma i języka sugeruje, że ich autorem jest ta sama osoba, i generalnie palec wskazuje na Freda Besta (wolnego strzelca, który

dziesiątki lat później przyznał się, że sam je napisał, chociaż źródło tej informacji jest bardziej niż trochę wątpliwe). Drugim kandydatem jest Thomas Pulling, który pracował w Central News Agency i przekazał listy policji – z tym że tylko kopię ostatniego; oryginał zniknął, co wydaje się podejrzane i chyba dość mocno osadza zdarzenie w kategorii „prawdopodobnej ściemy".

Od przełomu wieków coraz bardziej profesjonalne dziennikarstwo zaczęło krzywo patrzeć na praktykę beztroskiego pisania fake'ów, ale to nie znaczy, że zjawisko odeszło w przeszłość. We współczesnej historii dziennikarstwa roi się od prestiżowych reporterów, którzy zmyślają większość albo całość swoich doniesień, po czym za każdym razem dochodzi do zbiorowego bicia się w piersi i lawiny obietnic, że to się więcej nie powtórzy. Wiele nazwisk jest znajomych: Jayson Blair, Stephen Glass, Janet Cooke, która w 1981 roku dostała Nagrodę Pulitzera za sfabrykowaną historię o Jimmym, ośmiolatku uzależnionym od heroiny. W grudniu 2018 roku niemieckie czasopismo „Der Spiegel" zwolniło wielokrotnie nagradzanego dziennikarza Claasa Relotiusa, który napisał fikcyjny reportaż o burzliwym amerykańsko-meksykańskim pograniczu, znów licząc na to, że odległość geograficzna utrudni weryfikację.

Niektóre z tych zmyślonych historii na stałe weszły do naszej świadomości kulturowej. *Gorączka sobotniej nocy* wciąż stanowi ikoniczny moment zarówno w historii filmu, jak i muzyki i jest czymś, co się niewiele zmieniło, odkąd Nik Cohn – dziennikarz muzyczny z Irlandii Północnej, autor opublikowanego na łamach magazynu „New York" artykułu *Tribal Rites of the New Saturday Nights* (Plemienne rytuały nowej sobotniej nocy) – przyznał, że wszystko zmyślił. Jak mówi, pojechał taksówką do Bay Ridge na Brooklynie, zamierzając napisać o tętniącej życiem kulturze disco, która, jak słyszał, kwitnie w tamtejszym klubie. W chwili gdy

otworzył drzwi taksówki, uczestnik ulicznej bijatyki zwymiotował na jego nogi – dziennikarz natychmiast zatrzasnął drzwi i zawinął się z powrotem na Manhattan, postanawiając zmyślić szczegóły tej tętniącej życiem kultury disco. Postać grana przez Johna Travoltę, z całym naturalistycznym przedstawieniem życia włosko-amerykańskiej klasy robotniczej, jest w rzeczywistości wzorowana na modsie o imieniu Chris, którego Cohn poznał w Londynie dziesięć lat wcześniej.

W 2016 roku Cohn powiedział dziennikarzowi „Guardiana", że był zaskoczony, ale nie zszokowany tym, że artykuł ukazał się w druku: „Dla mnie wygląda to na oczywistą fikcję (…) Dziś nie dałoby się czegoś takiego przemycić. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych granica między faktem i fikcją zacierała się. Wielu ludzi piszących dla czasopism uciekało się do fikcji, żeby opowiadać rzekomo oparte na faktach historie. Nic nie hamowało tych swobód. Niewielu redaktorów zadawało trudne pytania. W większości wypadków sprowadzało się to do zasady nie pytaj, nie mów"[14].

Nie zawsze chodzi o to, że dziennikarze zmyślają. Czasami nabierane są gazety – za sprawą wyraźnie nienasyconego apetytu prasy na nieprawdziwe historie o nazistach. Najsłynniejszą z nich była oczywiście ta z 1983 roku o dziennikach Hitlera, które spreparował drobny fałszerz i przemytnik nazistowskich pamiątek. Dały się na nią nabrać tak szacowne gazety jak niemiecki „Stern" i londyński „The Times", nie mówiąc o uznanym historyku Hugh Trevorze-Roperze. Niesprawiedliwie byłoby nie wspomnieć też o sensacyjnym doniesieniu „Daily Express" z 1972 roku, że znaleziono „niepodważalny dowód, że gdzieś w Ameryce Łacińskiej mieszka Martin Bormann, prawa ręka Hitlera". Niepodważalnym dowodem okazało się zdjęcie człowieka, który wcale nie był ukrywającym się nazistą, tylko argentyńskim nauczycielem. Polujący na nazistów mało wiarygodny

węgiersko-amerykański historyk, Ladislas Faragó, od którego wyszła ta informacja, nie pozwolił, żeby taki drobiazg powstrzymał go od opublikowania książki o poszukiwaniach Bormanna.

Historia gazet, które dały się nabrać, jest długa. Szczególnie zabawny przykład pochodzi (znowu) z londyńskiego dziennika „The Times", w którym w październiku 1856 roku ukazała się szokująca opowieść o brutalnym akcie przemocy w amerykańskim stanie Georgia. Otóż podczas długiej podróży pociągiem w następstwie serii sprzeczek stoczono co najmniej pięć pojedynków i gdy rozwiał się dym, naliczono sześć trupów. „Strzelali z pistoletów Monte Christo (sic!), czyli takich, które nie robią huku", nadmienił z powagą „The Times", lamentując nad koszmarem barbarzyństwa, w jakim pogrążyły się południowe stany byłej kolonii. „Z sześciu zabitych dwóch było ojcami i dwóch ich synami, jeden ojciec zginął, mszcząc syna, jedno dziecko zostało zamordowane za opłakiwanie ojca"[15] – chłopcu najwyraźniej poderżnięto gardło, bo nie chciał przestać.

Ta zbrodnia, napisał „The Times" dzień później (twierdząc, że do zdarzenia bezsprzecznie doszło), powinna skłonić do „poważnych refleksji nad przyszłością Stanów Zjednoczonych, albowiem to, co opisaliśmy, wydaje się tam normalne"[16].

Gdy nieco ponad tydzień później doniesienie dotarło za Atlantyk, amerykańska prasa, rzecz jasna, nie uwierzyła w ani jedno słowo i opowieść o pistoletach Monte Christo na nowo zapoczątkowała starą transatlantycką pyskówkę. „Constitutionalist" i „Chronicle & Sentinel" z Augusty i „Savannah Republican" zaliczały się do gazet, które uznały, że „The Times" wykazał się „krańcową naiwnością", publikując „całkowicie niedorzeczną" historię[17]. „New York Times" dzieło swojego londyńskiego imiennika nazwał „bujdą na resorach", a redaktor napisał, że historia jest „tak groteskowo nonsensowna i pełna niewiarygodnych absurdów, że

naszym zdaniem redaktor »The Times«, zamiast ręczyć za zdrowie psychiczne i prawdomówność autora, powinien dać świadectwo własnej racjonalności, przyznając się do zamieszczenia na swoich łamach steku bzdur”.

Argumenty przelatywały nad oceanem i wymiana uprzejmości trwała miesiącami, stając się poważną kwestią polityczną. „The Times” stał murem za artykułem, utrzymując, że jest rzetelny, dopóki w końcu – po przekazaniu przez brytyjskiego konsula listu do redakcji od zdegustowanego prezesa linii kolejowych w Georgii – w połowie grudnia nie przyznał, że być może ich źródło „miało halucynacje”.

Historia definitywnie zakończyła się dopiero latem 1857 roku, kiedy korespondentowi specjalnemu „The Times” w Stanach Zjednoczonych, niejakiemu Louisowi Filmore’owi, udało się wytropić kolejne szczegóły tej sprawy[18]. Tak się złożyło, że przejeżdżał przez rzeczony obszar i miał okazję przeprowadzić wywiady z kilkoma pasażerami, którzy jednogłośnie zaprzeczyli, żeby taki incydent miał miejsce. Opowieść była „potworną fikcją”, napisał Filmore. Ale jego rozmówcy w wagonie bagażowym (który służył również jako palarnia i miejsce, gdzie można spożyć coś mocniejszego) ujawnili jeden ważny szczegół: „pistolety Monte Christo” były w rzeczywistości slangowym określeniem butelek szampana, a puste butelki nazywano „trupami”. Filmore ze śmiertelną powagą odnotował, że „starcia z bronią Monte Christo w wagonie bagażowym, jak rozumiem, nie należały do rzadkości na tej trasie”[19].

Oczywiście nie trzeba oszustwa z premedytacją, żeby sytuacja nieco wymknęła się spod kontroli. Większość przykładów, które dotąd rozpatrzyliśmy, obejmowała jawne ściemy albo przynajmniej odrobinę rozmyślnego ubarwiania faktów. Ale czasami, mimo że wcale nie ma

ściemy, z gruntu prawdziwy artykuł rozrasta się do niebywałych rozmiarów, gdy kolejne gazety dodają po szczypcie sensacji w swoich publikacjach.

Tak się zdarzyło w roku 1910, kiedy nowojorskie gazety skierowały spojrzenie w niebo, na które od tamtych ekscytujących dni w 1835 znowu zawitała kometa Halleya – i absolutnie rzetelny artykuł w „New York Timesie” wywołał apokaliptyczną panikę. Składał się zaledwie z trzech akapitów zamieszczonych w połowie pierwszej strony pod skromnym nagłówkiem „Trujący ogon komety”[20]. Informował, że astronomowie używający nowych metod spektrografii odkryli, iż ogon komety Halleya zawiera znaczącą ilość dwucyjanu. Dwucyjan, tak dla przypomnienia, jest „wysoce zabójczą trucizną”. W artykule odnotowano, że odkrycie wywołało „burzliwą dyskusję” wśród astronomów, jakie skutki na Ziemi spowoduje „przejście ogona komety”. Na końcu drugiego akapitu „New York Times” od niechcenia dorzucił opinię francuskiego astronoma Camille’a Flammariona, który był przekonany, że kometa „skazi atmosferę i prawdopodobnie zabije całe życie na planecie”.

Coś takiego można nazwać bombą z opóźnionym zapłonem.

W kręgach dziennikarskich taki zabieg nazywa się odkładaniem ważniejszych informacji na koniec.

Rzecz w tym, że było to ścisłe przedstawienie opinii Flammariona. „New York Times” dodał nawet w następnym akapicie, że „większość astronomów nie zgadza się z Flammarionem”, ale to nie wystarczyło. Idea trafiła na podatny grunt i jeśli jest coś, co ludzie doskonale umieją robić, to panikować bez powodu.

Gdy kometa się zbliżała, wzrastał strach przed nieuchronnym przeznaczeniem. Doniesienia z tego okresu mówią, że ludzie uszczelniali okna i drzwi, żeby trujące wyziewy nie przedostały się do mieszkań, maski przeciwgazowe schodziły jak ciepłe bułeczki, a kilku naciągaczy zabrało

się za sprzedawanie pigułek antykometowych, które, jak twierdzili, ochronią ludzi przed skutkami zabójczego ogona. Kolejne doniesienie z „New York Timesa”, z dziewiętnastego maja, mówiące o reakcji w Chicago, jest opatrzone nagłówkiem „Niektórzy popełnili samobójstwo” z podtytułem „Inni wpadają w obłęd z powodu rozmyślania o komecie”[21].

W końcu kometa przyleciała i oddaliła się, nie powodując zabójczych skutków; jedyną ofiarą śmiertelną była szesnastoletnia dziewczyna, która spadła z dachu domu na Brooklynie, gdzie urządzono imprezę połączoną z obserwowaniem komety. Właśnie ta zdolność do rozdmuchiwania i uparte odmawianie zmiany raz ustalonych poglądów są duszą omyłek prasy. Nawet bez celowego fałszowania zbiorowy umysł prasy – wspierany przez reakcje czytelników – często będzie koncentrować się na jakimś szczególnym pomyśle, od którego niełatwo jest się uwolnić. Opublikowany tekst zyskuje niewiarygodny pęd, jeśli dotyczy rozgrywającego się zdarzenia – i wszystko, co nie mieści się w temacie, z trudem walczy o wyjście na światło dzienne. Brytyjscy czytelnicy pamiętają na przykład niedawną przerażającą sprawę kotobójcy z Croydon, szaleńca, który rzekomo zabił i rozczłonkował setki kotów w południowej części Londynu. Doniesienia o Zabójcy Kotów pojawiły się w roku 2015, gdy kilku zaniepokojonych mieszkańców udało się do redakcji „Daily Mail”. Reszta prasy rzuciła się na temat. Kiedy Zabójca Kotów znów uderzy? Dlaczego policja nie kiwnie palcem, żeby go złapać? Ostrzegano, że jest tylko kwestią czasu, zanim sadystyczny szaleniec przeniesie uwagę z kotów na ludzi.

Podawano przykłady śmierci kotów z okolic oddalonych od Croydon, nie na dowód, że w Wielkiej Brytanii jest mnóstwo kotów i że czasami spotyka je tragiczny koniec, ale że „zabójca kotów – który w ubiegłym roku podobno uśmiercił ponad sto kiciusiów – jest już gotów działać na znacznie

szerszą skalę”[22]. Początkowo zwano go Zabójcą Kotów M25, od oznaczenia drogi; gdy jego mordercze szaleństwo dotarło do Manchesteru, stał się po prostu Zabójcą Kotów. Ta sprawa była przez ponad rok przedmiotem obsesyjnego zainteresowania większej części brytyjskiej prasy.

W końcu we wrześniu 2018 roku Policja Metropolitalna oznajmiła, że znaleziono winnego – albo raczej winnych. Zabójcą Kotów z Croydon okazały się… samochody i lisy, które czasami rozszarpywały przejechane koty. To wszystko. Rozwiązanie sprawy wymagało ponad dwóch tysięcy godzin pracy policji i co najmniej sześciu tysięcy funtów na autopsje ofiar.

Ta zdolność do tworzenia czegoś z niczego – czegoś, co pędzi i rośnie jak niepohamowana śnieżna kula – nie jest niczym nowym. Saga o Zabójcy Kotów z Croydon łudząco przypomina tę o Szalonym Gazowniku sprzed siedmiu dziesięcioleci, kiedy to małe melodramatyczne sformułowanie w jednym artykule doprowadziło do trwającej tygodniami paniki w spokojnym mieście Mattoon w stanie Illinois.

Historia w swej istocie była prosta. Pierwszego września 1944 roku – gdy druga wojna światowa była w szczytowej fazie i panował powszechny strach przed atakiem nazistów – niejakiej Aline Kearney wydało się, że poczuła niezwykły zapach, i wkrótce po tym dostała jakiegoś ataku: opadła z sił i skarżyła się na paraliż nóg. Wezwana policja nie znalazła niczego podejrzanego, a kobieta pół godziny później doszła do siebie. Ale kiedy po godzinie wrócił jej mąż, wydało mu się, że widział kogoś czającego się w pobliżu domu, chociaż policja nie znalazła żadnych śladów intruza. Nazajutrz „Mattoon Daily Journal-Gazette” opisała zdarzenie w głównym artykule, z tytułem na całą stronę. GRASUJE USYPIACZ!, krzyczał nagłówek, a podtytuł głosił „Pani Kearney i jej córka pierwszymi ofiarami”.

Rozumiecie, co się stało, prawda? Na podstawie niejasnego podejrzenia nie tylko stworzono konkretny scenariusz – intruz bezgłośnie napełnia dom gazem usypiającym, żeby móc się włamać, gdy mieszkańcy stracą przytomność – lecz również, dodając dwa słowa o pierwszych ofiarach, przygotowano każdego, kto czytał artykuł, że należy spodziewać się dalszych ataków.

Naturalnie było to samospełniające się proroctwo. Wszyscy, którzy w poprzednich tygodniach czuli się trochę ospali, nagle zaczęli podejrzewać, że może byli wczesną ofiarą Gazownika. Takie historie, chętnie przytaczane przez „Mattoon Daily Journal-Gazette", tylko ugruntowywały przekonanie, że w okolicy grasuje niebezpieczny osobnik. W kolejnych dniach pojawiały się dalsze doniesienia. W ciągu tygodnia temat podchwyciły inne gazety w regionie i wszystkie przyjęły za pewnik, że pierwotne doniesienie było rzetelne.

Pojawiały się nagłówki: „Szalony anestezjolog znowu uderza! W nocy odwiedził dwa domy w mieście". „Sześć kolejnych ofiar Szalonego Gazownika! Pięć kobiet i chłopiec to najnowszy wynik". Artykuły były równie sensacyjne jak nagłówki. Dziesiątego września „Chicago Herald-American" opisał sceny w Mattoon: „Mieszkańcy są zdezorientowani jak londyńczycy podczas przedłużającego się bombardowania, słaniają się na nogach, zamroczeni powtarzającymi się atakami szalonego anestezjologa, który do trzynastu domów wtrysnął gaz działający na układ nerwowy i pozbawił przytomności dwadzieścia siedem ofiar"[23].

Nawet w te dni, kiedy nie napływały nowe doniesienia, gazety wciąż dostarczały dowodów, że historia jest prawdziwa: „Szalone indywiduum odpuściło sobie minionej nocy", informuje nagłówek w „Mattoon Daily Journal-Gazette".

W tym momencie panika panowała dosłownie w całym mieście. Tłumy wyległy na ulice, gdy ktoś powiedział, że widział Gazownika; naturalnie, ktoś później poczuł dziwny zapach i wiele osób było przekonanych, że zostały potraktowane gazem. Niektórzy wymagali hospitalizacji. Nieliczne lokalne siły porządkowe okazały się bezradne.

Dopiero wtedy, półtora tygodnia po pierwszym ataku, władze – które wcześniej uważały doniesienia za prawdziwe – zmieniły front i zaczęły otwarcie nazywać strach mieszkańców „masową histerią". Podejście prasy natychmiast się zmieniło; dziennikarze zaczęli jawnie szydzić z panikarzy i przeprowadzać wywiady z psychologami, żeby wyjaśniać, jak to się stało, że ludzie ulegli „mitowi Gazownika". W imponującej wolcie wina za masową histerię została zrzucona na wyziewy chemiczne z pobliskich fabryk. Rola prasy w wywołaniu paniki została wygodnie przeoczona.

W sumie wszystko to miałoby ograniczone konsekwencje, gdyby gazety, jak kiedyś, naprawdę traktowano jako opakowanie na rybę z frytkami. Ale jest inaczej. Opinie prasy mają zwyczaj długo się utrzymywać. Jak mówi stare powiedzenie, dziennikarstwo tworzy pierwszą wersję historii. Jedyny kłopot w tym, że, niestety, często nikt przez wieki – albo w ogóle – nie sporządza drugiej wersji. Widać to niepokojąco dobrze na przykładzie opowieści o kolejnym dziennikarskim żarcie, który – tu mnie wyprzedzacie – odrobinę wymknął się spod kontroli.

Wielka mistyfikacja księżycowa może i jest najsławniejsza w legendarnej historii amerykańskiego dziennikarstwa (z niejasnych powodów według zasad amerykańskiego dziennikarstwa historia zawsze musi być legendarna, a nie po prostu zwykła albo pieprzona), ale wyzwanie o palmę pierwszeństwa rzucił jej ktoś, kto w wybitnie legendarnej historii amerykańskiej prasy wyróżnia się jako jedna z najznakomitszych postaci: H.L. Mencken.

Mencken był jednym z najbardziej wychwalanych pisarzy i redaktorów pierwszej połowy dwudziestego wieku, kpiarskim i często zaciekłym komentatorem politycznym i społecznym, człowiekiem opisanym przez „New Yorkera” jako „najbardziej wpływowy amerykański dziennikarz”[24]. Jego słowa, wypisane wielkimi literami, przez kilkadziesiąt lat widniały na ścianie w redakcji jego byłego pracodawcy, „Baltimore Sun” (ten naścienny cytat można zobaczyć w bezkompromisowym ostatnim sezonie *Prawa ulicy*, którego akcja jest osnuta wokół zmyślających dziennikarzy; w 2018 roku, krótko po zmianie siedziby, „Sun” ogłosił na Twitterze, że cytat od początku opatrzony był złą datą[25]).

Dla jasności dodam, że Mencken był kompletnym dupkiem: wkurzającym przeciwnikiem przeważających opinii, elitarystycznym snobem i przede wszystkim strasznym rasistą. Nienawidził biednych, nienawidził czarnych, nienawidził Żydów. Jego cechy charakteru nieszczególnie wpływają na to, co się stało, ale są warte wzmianki, zwłaszcza że dwaj inni dziennikarscy mistyfikatorzy, którzy odegrali gwiazdorskie role w tej książce, byli wedle ówczesnych standardów naprawdę całkiem przyzwoitymi ludźmi. Mencken taki nie był. Okropny człowiek, i tyle!

W każdym razie, w grudniu 1917 roku, gdy szalała pierwsza wojna światowa, Mencken opublikował łagodny i zabawny felieton o historii wanien w Stanach Zjednoczonych dla upamiętnienia tego, co nazwał „zapomnianą rocznicą” przybycia pierwszej wanny do Ameryki – pionierskiej wanny zainstalowanej w grudniu 1842 roku przez przedsiębiorczego kupca Adama Thompsona w jego miejskiej rezydencji w Cincinnati.

Felieton (jak osiem lat później z przygnębieniem wyznał Mencken) był „czystym humbugiem” i „stekiem bzdur”[26].

Nie było żadnego Adama Thompsona; nie został zainspirowany wprowadzeniem w 1828 roku wanny do Anglii przez lorda Johna Russella (co też nie było prawdą); Amerykanie nie przekonali się do pomysłu kąpieli dopiero po tym, jak prezydent Millard Fillmore, co zresztą wzbudziło kontrowersje, kazał zainstalować wannę w Białym Domu (to również było bzdurą).

Mencken napisał artykuł jako żart, „żeby zmniejszyć napięcie dni wojny”. Jako zagorzały germanofil i przeciwnik włączenia się Stanów Zjednoczonych do pierwszej wojny światowej, hołdował niepopularnej opinii, miał mniejsze możliwości publikowania i stawał się coraz bardziej rozgoryczony pełnymi przekłamań doniesieniami prasowymi z frontu. Później o tamtych latach napisał: „Ile z tego, co pochłaniali wówczas czytelnicy gazet na świecie, było prawdą? Prawdopodobnie nawet nie jeden procent”[27] (takie stwierdzenie może wydawać się krzywdzące dla dziennikarzy relacjonujących wydarzenia z tamtej wojny – ale też, jak zobaczymy w kolejnym rozdziale, nie jest całkiem błędne).

Kawał z wanną był sposobem Menckena na spuszczenie odrobiny pary. Niestety, zrobił o wiele za dobrą robotę. Felieton był pełen niezliczonych szczegółów, które dodawały mu powierzchownej, ale rozkosznej wiarygodności; cechował go sprężysty, lekko pijacki zygzakowaty krok autentycznej historii. Czytelnik dowiedział się, że wanna Thompsona była wykonana „z nikaraguańskiego mahoniu”, wyłożona ołowiem i „ważyła prawie osiemset kilogramów”[28]. Wanna natychmiast wzbudziła kontrowersje i obawy, że powoduje „astmę, gorączkę reumatyczną, zapalenie płuc i całą gamę chorób zakaźnych”; w Filadelfii i Bostonie kąpanie się zostało niemal zakazane; Wirginia wprowadziła podatek wannowy. Przeciwnicy polityczni zaatakowali prezydenta Fillmore’a za

decyzję o zainstalowaniu wanny w Białym Domu, utrzymując, że jego skupione na kąpieli poczynania wydają się żenująco francuskie.

Mencken początkowo był zadowolony z felietonu, ale jak napisał w 1926 roku w *Melancholy Reflections*, bardzo szybko jego „zadowolenie przerodziło się w konsternację". Ludzie nie poznali się na żarcie. Inne gazety przedrukowały artykuł albo go przeredagowały. Czytelnicy zaczęli do niego pisać; brali tekst na poważnie i często przytaczali argumenty potwierdzające całkowicie zmyśloną historię (kolejny przykład „spontanicznego kłamania" Griggsa).

„Szybko zacząłem napotykać moje rzekome fakty w tekstach innych ludzi – skarżył się Mencken. – Trafiły do czasopism naukowych. Robiono do nich aluzje w Kongresie. Przebyły ocean i z powagą omawiano je w Anglii i innych krajach Europy. W końcu zacząłem je znajdować w standardowych publikacjach encyklopedycznych".

Wyznanie Menckena, że historia o wannie została zmyślona, ukazało się dwudziestego trzeciego maja 1926 roku mniej więcej w trzydziestu gazetach. Felieton wciąż jest klasyką dla speców zajmujących się badaniem bredni, nieszczędzących uszczypliwych uwag o omylności mass mediów. „Jako dziennikarz aktywny przez wiele lat, często miałem bliską styczność z tworzącą się historią – pisał Mencken. – Nie pamiętam ani jednego przypadku, kiedy coś, co rzeczywiście się wydarzyło, było powszechnie znane albo żeby dawano temu wiarę. Czasami wychodziła na jaw część prawdy, ale nigdy nie całość. I to, co faktycznie wychodziło, rzadko było w pełni rozumiane".

Razem wziąwszy, te słowa stanowią całkiem trafne podsumowanie stanu rzeczy. Ale w czasie ich pisania Mencken nie mógł wiedzieć, że saga wannowa stanie się sztandarowym przykładem zapuszczania korzeni przez ściemę. Ponieważ najbardziej niezwykłą rzeczą w jego mistyfikacji jest nie

to, że w nią uwierzono ani że ludzie zaczęli ją powtarzać. Jak widzieliśmy, to praktycznie standard. Nie, jej doniosły moment dla historii ściemy polega na tym, że przyznanie się autora na łamach wielu gazet do tego, że wszystko było jednym wielkim kłamstwem, absolutnie nie zapobiegło jego rozpowszechnianiu.

Nie do wiary, że pomimo podjętej z opóźnieniem próby Menckena, żeby zamknąć tego konkretnego dżinna z powrotem w butelce, opowieść o pionierskiej wannie Adama Thompsona po prostu nie chciała umrzeć. Ludzie z uporem powtarzali pseudofakty, nieświadomi albo nieprzejmujący się tym, że zostały wyssane z palca.

Dziesięć lat po tym, jak na pierwszych stronach gazet opublikowano wyznanie Menckena, niezbyt dobry badacz Arktyki, Vilhjalmur Stefansson, w swojej książce *Adventures in Error* zamieścił niekompletną listę ponad trzydziestu poważnych publikacji, w których od czasu wyznania Menckena ukazała się zmyślona historia wanny[29]. Obejmowały one amerykańskie gazety, jak „New York Times”, „Baltimore Evening Sun”, „Cleveland Press” i „New York Herald” (wiele razy); wydania zagraniczne tak odległe, jak „Australia Age” w Melbourne, „New Statesman” w Londynie; prace ludzi nauki, łącznie z profesorem medycyny na Harvardzie i byłym komisarzem do spraw zdrowia w Nowym Jorku; i – co pewnie robi największe wrażenie – pisma dwóch amerykańskich agencji rządowych, w tym Federal Housing Administration, która zawarła historię w broszurach rozesłanych do gazet w całym kraju.

Zaszczytne miejsce na liście powielania fikcji przypada dziennikowi „Boston Herald”, który wydrukował historię wanny jako stuprocentowy fakt trzynastego czerwca 1926 roku – zaledwie trzy tygodnie po tym, jak opublikował artykuł *Melancholy Reflections* z wyznaniem Menckena, że wszystko zostało zmyślone.

I tak dalej, i tak dalej; wyglądało na to, że nic nie zdoła usunąć tego okrucha nonsensu, który utkwił w psyche społeczeństwa.

Kilkadziesiąt lat później historia po długiej drodze dotarła do przywódcy wolnego świata. W 1951 roku w obszernym wywiadzie udzielonym Johnowi Herseyowi z „New Yorkera” (zamieszczanym w pięciu kolejnych numerach, zgodnie z długotrwałą tradycją tego tygodnika, że limitami słów mogą się przejmować inne, mniejsze wydawnictwa) prezydent Harry S. Truman powtórzył bujdę o tym, jak Fillmore zainstalował pierwszą wannę w Białym Domu[30].

W trakcie rozmowy (jak zrelacjonował to Hersey) wtrąca się doradca i zwraca uwagę, że prezydent absolutnie nie ma racji, ponieważ ta historia jest niewiarygodną bujdą na resorach, picem na wodę do kwadratu.

– To nieprawda – mówi doradca. – To wymysł Menckena.

Harry S. Truman ignoruje go. „Prezydent wydawał się niechętny zrezygnować ze swojego przekonania”, napisał Hersey z godną pochwały powściągliwością.

Truman upiera się, że to musi być prawda, ponieważ „czytał artykuł Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego utrzymujący, że wyziewy z wanny były niebezpieczne dla zdrowia prezydenta”.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki uparcie twierdzi, że na własne oczy widział historyczny dokument, który nigdy nie istniał.

– Nie – przekonuje go doradca. – Obawiam się, że to też Mencken wymyślił.

Nie wymyślił, bo akurat to kłamstwo nie występuje w felietonie Menckena. To zupełnie oryginalna nieprawda, zrodzona na poczekaniu w mózgu najpotężniejszego człowieka na świecie, jedynego w dziejach, który wydał rozkaz ataku atomowego.

Prezydent wydaje się trochę zbity z tropu po usłyszeniu tej rewelacji.

– Mógłbym przysiąc, że ci faceci z ATM-u nie uważali historii wanny za blagę – mówi, próbując pogodzić tę nową wiadomość z tonem, jakiego całkowicie wyimaginowani lekarze używali w publikacji, którą sobie wyimaginował, ponieważ artykuł z gazety sprzed trzydziestu czterech lat kazał mu uwierzyć w kłamstwa o wannach tak głęboko, że jego umysł musiał dopasować do nich rzeczywistość.

– Ja też się czuję okradziony z prawdy, panie prezydencie – konkluduje doradca, Smithersly.

Teraz oczywiście możemy się opierać tylko na relacji Herseya z przebiegu tej rozmowy i oczywiście ta relacja może być pod różnymi względami równie nieścisła jak każdy inny przykład nierzetelnego dziennikarstwa wspomniany w tym rozdziale (jeśli chcemy być absolutnie szczerzy, to niektóre części dialogu sprawiają wrażenie lekko ustawionych). Postanowiłem jednak ją przytoczyć, ponieważ, hej, w końcu to „New Yorker", i w pewnym momencie po prostu trzeba komuś zaufać. Te sukinkoty mają więcej osób sprawdzających fakty, niż ja dostaję SMS-ów od swojego wydawcy o nieprzekraczalnym terminie.

Tak czy inaczej, rok po ukazaniu się wywiadu w „New Yorkerze" Truman wygłaszał przemówienie w Filadelfii i znowu powtórzył opowiastkę o wannie[31]. Smithersly powiedział mu, że to wymysł, a później ich rozmowę opublikowano w jednym z najbardziej prestiżowych wydawnictw w kraju, dzięki czemu wszyscy dowiedzieli się, że prezydent wierzył w nieprawdę… ale najwyraźniej to nie wystarczyło, żeby wstrząsnąć jego przywiązaniem do opowiastki.

I tak przez dziesiątki lat wannowa mistyfikacja radośnie reprodukowała się z pokolenia na pokolenie. Co więcej, cała i zdrowa wkroczyła w wiek dwudziesty pierwszy: w 2001 i 2004 roku „Washington Post" puścił

artykuły podające ją jako prawdziwą historię i dopiero po jakimś czasie wydrukował niezręczne sprostowanie[32].

Najwyraźniej niektóre pseudofakty są tak dobre, że po prostu nie chcemy dopuścić, żeby okazały się nieprawdziwe.

Co to wszystko oznacza dla przemysłu medialnego i jego szlachetnego poszukiwania prawdy? Mencken dobrze to ujął w kontynuacji artykułu, którą napisał w lipcu 1926 roku, zainspirowany przez „Boston Herald", gazetę robiącą z siebie głupca. Jego słowa są gorzką refleksją zasadniczo odnoszącą się do dziennikarstwa, ale trafiają również w szerzej pojęte sedno: Nieprawda ma wrodzoną przewagę nad prawdą po prostu dlatego, że nie jest hamowana przez uciążliwy, morderczy uścisk rzeczywistości.

„Prawdzie dolega to, że jest przeważnie niewygodna i często nudna – napisał. – Ludzki umysł szuka czegoś zabawniejszego i chce być dopieszczany. Nie znam prawdziwej historii wanny: dokopanie się do niej byłoby strasznie trudne, a wynik, po całej tej ciężkiej pracy, prawdopodobnie byłby ciągiem banałów.

Fikcja, którą wymyśliłem w 1917 roku, na pewno była lepsza"[33].

---

[1] *GREAT ASTRONOMICAL DISCOVERIES LATELY MADE BY SIR JOHN HERSCHEL, L.L.D. F.R.S. &c. At the Cape of Good Hope* (z dodatku do „Edinburgh Journal of Science"), „New York Sun", 25 sierpnia 1835; tekst z The Museum of Hoaxes, dostępny na http://hoaxes.org/text/display/the_great_moon_hoax_of_1835_text.

[2] Griggs William N., *The Celebrated „Moon Story", Its Origin and Incidents; With a Memoir of the Author, and an Appendix*, Bunnell and Price, 1852.

[3] Poe Edgar Allan, *Richard Adams Locke*, w: *Complete Works of Edgar Allan Poe*, Delphi Classics, 2015.

[4] Nazwa „Heralda” zmienia się następująco: „Morning Herald” od maja do sierpnia 1835, tylko „The Herald” pod koniec sierpnia, z powrotem „Morning Herald” w maju 1837, po czym ostatecznie „The New York Herald” we wrześniu 1840. Patrz: Fox Louis H., *New York City Newspapers, 1820–1850: A Bibliography*; „The Papers of the Bibliographical Society of America”, tom 21, nr 1/2, 1927, dostępne na http://www.jstor.org/stable/24292637.

[5] *The Great Moon Hoax*, The Museum of Hoaxes, dostępne na http://hoaxes.org/archive/permalink/the_great_moon_hoax.

[6] Phillips Tom, *25 Things That Will Defnitely Happen In The General Election Campaign*, BuzzFeed, 27 stycznia 2015, dostępne na https://www.buzzfeed.com/tomphillips/topless-barry-for-prime-minister.

[7] Tucher Andie, *Those Slippery Snake Stories*, „Humanities”, tom 36, nr 3, maj/czerwiec 2015, dostępne na https://www.neh.gov/humanities/2015/mayjune/feature/those-slippery-snake-stories.

[8] Tucher Andie, *The True, the False, and the ‘not exactly lying’* w: Canada Mark (red.), *Literature and Journalism: Inspirations, Intersections and Inventions from Ben Franklin to Stephen Colbert*, Palgrave Macmillan, 2013.

[9] Hills William H., *Advice to Newspaper Correspondents III: Some Hints on Style*, w: *The Writer*, czerwiec 1887, cytowane w: Tucher Andie, *The True, the False, and the ‘not exactly lying’* w: Canada Mark (red.), *Literature and Journalism*.

[10] Hills William H., *Advice to Newspaper Correspondents IV: Faking* w: „The Writer”, listopad 1887, cytowane w: Tucher Andie, *The True, the False, and the ‘not exactly lying’* w: Canada Mark (red.), *Literature and Journalism*.

[11] Shuman Edwin L., *Steps into Journalism: Helps and Hints for Young Writers*, 1894, cytowane w: Tucher Andie, *The True, the False, and the ‘not exactly lying’* w: Canada Mark (red.), *Literature and Journalism*.

[12] MacDougall Curtis D., *Hoaxes*, Dover Publications, 1958.

[13] Tamże.

[14] Khomami Nadia, *Disco’s Saturday Night Fiction*, „Observer”, 26 czerwca 2016, dostępne na https://www.theguardian.com/music/2016/jun/26/ lie-heart-disco-nik-cohn-tribal-rites-saturday-night-fever.

[15] *Railways and Revolvers in Georgia*, „The Times”, 15 października 1856.

[16] Artykuł bez tytułu (kolumna 4, *It is assumed by the myriads who sit in judgement…*), „The Times”, 16 października 1856.

[17] Cytowane w: Coulter E. Merton, *The Great Georgia Railway Disaster Hoax on the London Times*, „The Georgia Historical Quarterly”, tom 56, nr 1, 1972.

[18] Crawford Martin, *The Great Georgia Railway Disaster Hoax Revisited*, „The Georgia Historical Quarterly”, tom 58, nr 3, 1974.

[19] *The Southern States of America*, „The Times”, 27 sierpnia 1857.

[20] *Comet's Poisonous Tail*, „New York Times”, 8 lutego 1910.

[21] *Some Driven To Suicide*, „New York Times”, 19 maja 1910.

[22] Alexander Stian, *Croydon Cat Killer has widened brutal spree around the M25, say police*, „Daily Mirror”, 13 lipca 2016, dostępne na https://www.mirror.co.uk/news/uk-news/croydon-cat-killer-widened-brutal-8414154.

[23] *Mattoon Gets Jitters from Gas Attacks*, „Chicago Herald-American”, 10 września 1944, cytowane w: Bartholomew Robert i Evans Hilary, *Panic Attacks: Media Manipulation and Mass Delusion*, The History Press, 2004.

[24] *On The Contrary*, „New Yorker”, 9 grudnia 2002, dostępne na https://www.newyorker.com/magazine/2002/12/09/on-the-contrary

[25] https://twitter.com/baltimoresun/status/1028118771192528897 – data na ścianie to rok 1953; cytat pochodził z 1946.

[26] Mencken H.L., *Melancholy Reflections*, „Chicago Tribune", 23 maja 1926.

[27] Tamże.

[28] Mencke, H.L., *A Neglected Anniversary*, „New York Evening Mail”, 28 grudnia 1917.

[29] Stefansson Vilhjalmur, *Adventures in Error*, R.M. McBride & company, 1936, dostępne na https://hdl.handle.net/2027/wu.89094310885.

[30] Hersey John, *Mr. President IV: Ghosts in the White House*, „New Yorker”, 28 kwietnia 1951, dostępne na https://www.newyorker.com/magazine/1951/04/28/mr-president-ghosts-in-the-white-house.

[31] *Address in Philadelphia at the American Hospital Association Convention*, 16 września 1952, Harry S. Truman Presidential Library & Museum, dostępne na https://www.trumanlibrary.gov/library/public-papers

[32] Fleischman Sandra, *„Builders" Winning Play: A Royal Flush*, „Washington Post", 24 listopada 2001; i Sachs Andrea, *President's Day 101*, „Washington Post", 15 lutego 2004.

[33] Mencken H.L., *Hymn to the Truth*, „Chicago Tribune", 25 lipca 1926.

4

Kłamstwo o Ziemi

Niewiele innych widoków na świecie może budzić większe zdumienie niż góry Kong.

To wielkie pasmo przecina zachodnią Afrykę, jego wyniosłe, pokryte śniegiem szczyty wznoszą się z równin zachodniego Senegalu, po czym ciągnie się przez Mali i północną Gwineę. W porównaniu z okolicznymi terenami strzeliste wierzchołki wydają się niezwykle błękitne i stanowią oszałamiająco piękny widok, aczkolwiek są surowe i niegościnne. W regionie płyną rzeki – największą jest szeroki, kręty Niger – zasilane lodowatą wodą z topniejącego lodu, spływającą z zawrotnie wysokich granitowych urwisk w wartkich potokach między poszarpanymi krawędziami kwarcu. Rzeki niosą na równiny nie tylko życiodajną wodę – są również pełne złotego pyłu, który od stuleci zapewnia ogromne bogactwo i równie wielkie konflikty ludom mieszkającym w cieniu gór Kong.

Dalsza część pasma Kong, ciągnąca się przez Burkinę Faso, Ghanę, Togo i Benin do Nigerii, ma ponad półtora tysiąca kilometrów długości; nisko położone równiny i łagodnie faliste wzgórza tych krajów są przecięte na dwoje przez coś, co jeden z dziewiętnastowiecznych autorytetów opisał jako „wyniosłe masy granitu (…) wypiętrzenia przypominające zrujnowane katedry i mury zwieńczone blankami; kolosalne głazy, piramidy wysokie na trzysta metrów i samotne stożki, które wznoszą się jak gigantyczne kręgle”[1]. Stamtąd łańcuch górski sięga jeszcze dalej, odbiegając od zakrzywionego w stronę południa wybrzeża daleko w głąb kontynentu. W końcu góry Kong spotykają się z innym wielkim pasmem afrykańskim, ze wschodnim krańcem Gór Księżycowych (gdzie znaleziono źródła Nilu),

i łączą się w jeden nieprzebyty skalny pas, który dzieli cały kontynent, odcinając północ od południa.

No dobrze. Zatrzymajmy się tu na chwilę.

Możliwe, że w tym momencie masz jakieś pytania albo uwagi. Zwłaszcza jeśli, powiedzmy, mieszkasz w którymś z wyżej wymienionych krajów albo je odwiedziłeś, albo może po prostu masz podstawową wiedzę z dziedziny geografii. Te pytania czy uwagi mogą obejmować, ale nie muszą być ograniczone do „Hę?”, „Że co?” i „Tam nie ma żadnych gór, co ty bredzisz?”.

Odpowiem krótko: Jeśli nie ma tam żadnych gór, to dlaczego góry Kong występują na prawie wszystkich mapach Afryki powstałych w dziewiętnastym, a nawet w dwudziestym wieku? Dlaczego istnieje wiele opisów tego strzelistego granitowego łańcucha i niegościnności tej ziemi, sporządzonych przez europejskich badaczy, którzy twierdzą, że tam byli? Komu zamierzasz uwierzyć? Garstce białych kolesiów czy dosłownie całej ludności tego regionu?

Chyba wszyscy znamy odpowiedź.

Ale prawdziwe pytanie jest ważne i fascynujące: Jak to się stało, że praktycznie każdy autorytet w Europie i Ameryce przez ponad sto lat niezachwianie wierzył w istnienie ogromnego pasma górskiego, które (żeby to było absolutnie jasne) nie istnieje? Przecież chodzi o góry. Co do gór nie może być większych dwuznaczności. Albo są, albo ich nie ma.

Odpowiedź na to pytanie wciąż jest trochę tajemnicza, ale rzuca światło na to, dlaczego tak często się mylimy.

Ponieważ, jak wykażemy w tym rozdziale, od wieków nie tylko wymyślaliśmy niestworzone rzeczy o wypadkach, które rozegrały się na świecie, ale też całkiem nieźle wychodziło nam wymyślanie bzdur o samym świecie. Od wyimaginowanych łańcuchów górskich po całkowicie fikcyjne

kraje i szalenie nieprawdopodobne opowieści o dalekich krainach, ściemniacze dawnych czasów radośnie wykorzystywali fakt, że dość trudno było pójść i sprawdzić, co naprawdę jest na drugim końcu świata.

Nasza historia geograficznego nonsensu jest między innymi wielkoskalowym przykładem bariery wysiłku i próżni informacyjnej. Przez większość czasu istnienia ludzkości na tej planecie dalekie podróże były powolne, ryzykowne i nie podejmowano ich często – wielu ludzi nigdy nie oddalało się na znaczną odległość od miejsca urodzenia – a poza tym brakowało przewagi, jaką dzisiaj zapewnia nam wskoczenie do samolotu albo wysłanie satelity, żeby zrobił zdjęcia z kosmosu.

Biorąc to wszystko pod uwagę, jest całkiem zrozumiałe, że nasze pojęcie o planecie, na której żyjemy, mogło być trochę mgliste. Kartografowie niezupełnie mieli się na czym opierać i często musieli improwizować, żeby zapełnić białe plamy (to, że na nieskartowanych obszarach pisali „tu żyją smoki”, jest, wielka szkoda, prawie na pewno mitem)[2].

Ale chociaż zasadniczym wytłumaczeniem jest brak informacji, to sposoby, w jakie te luki w naszej wiedzy zapełniano szalonymi i dziwacznymi wymysłami, mówią nam całkiem sporo o rozprzestrzenianiu się ściemy.

O górach Kong wiemy tyle, że cała ta ściema zaczęła się w roku 1798, od „Mapy ukazującej postępy odkryć geograficznych w północnej Afryce” Jamesa Rennella[3]. Rennell jako pierwszy umieścił wielkie pasmo w zachodniej Afryce i nazwał je górami Kong. Bardzo szybko inni podchwycili ten zupełnie nieprawdziwy pogląd i zadecydowali, że najwyraźniej musi być poprawny. Następnie przez prawie sto lat większość powstałych w Europie i Ameryce znaczących map Afryki ukazywała góry Kong (ponad osiemdziesiąt procent, jak wynika z rozstrzygających badań

naukowych dotyczących występowania i późniejszego zniknięcia tego łańcucha górskiego)[4], a wielu badaczy regionu donosiło, że widzieli góry albo nawet się na nie wspinali, choć nie istniały.

Co ciekawe, Rennell nie był jakimś tam amatorem, który rysuje rzeki i góry dla zabawy, mówi „I to by było na tyle”, po czym zasuwa do pubu. W tamtych czasach powszechnie uważano go za najlepszego w biznesie kartograficznym. Jedna z jego kluczowych umiejętności polegała na używaniu wiedzy o zasadach geografii i geologii, żeby nadawać sens fragmentarycznym – i często sprzecznym – doniesieniom napływającym od badaczy. I właśnie na tym mógł się potknąć.

Fragment mapy Jamesa Rennella z 1798 ukazujący góry Kong ciągnące się dokładnie tam, gdzie ich nie ma.

Pod koniec osiemnastego wieku niewielu Europejczyków zapuszczało się w głąb odległego kontynentu afrykańskiego – szalony „wyścig

o Afrykę” epoki imperiów kolonialnych rozpoczął się dziesiątki lat później – a wśród tych, którzy się na to zdobywali, nie wszyscy – jeśli chcemy być szczerzy – mieli pojęcie, co robią.

W rezultacie wiele map z tego okresu to twory fantazji, gdy chodzi o przedstawienie większej części kontynentu, poza Afryką Północną i kilkoma obszarami leżącymi blisko wybrzeża. Na niektórych z nich w centralnej Afryce widnieją białe plamy, na innych niezbadane tereny usiane są przypadkowo rozmieszczonymi elementami rzeźby terenu, a na jeszcze innych powierzchnię zapełniają eleganckie rysunki słoni.

Rennell wymyślił góry Kong, ponieważ zbyt wielką uwagę poświęcił rzuconej mimochodem uwadze jednego z nielicznych badaczy, którzy odwiedzili tamten region, a później uzupełnił resztę, z fatalnym skutkiem. Rzeczonym badaczem był Mungo Park – szykowny Szkot, którego zaginione dzienniki „odnalazł” kilkadziesiąt lat później Richard Adams Locke. Park, przez kilka lat uznawany za zmarłego podczas wyprawy, której celem było znalezienie źródeł Nigru, zjawił się nagle i niespodziewanie w 1797 roku z okrzykiem: „Zgadnijcie, kto wrócił, panienki?”. Źródeł Nigru wprawdzie nie znalazł, ale przebył kilkaset kilometrów wzdłuż tej trochę dziwacznie płynącej rzeki.

Opowieści Parka o podróżach wzbudziły ogromne zainteresowanie i zwrócono się do Rennella, żeby je zilustrował. I tak oto, gdy zrodził się ten pomysł, Park w pewnym momencie powiedział: „W wielkiej dali na południowym wschodzie ukazały się jakieś góry, które wcześniej widziałem ze wzniesienia w pobliżu Maraboo, gdzie tubylcy powiadomili mnie, że góry te leżą w ogromnym i potężnym królestwie zwanym Kong…”[5]

Park najprawdopodobniej mówił prawdę. W owym czasie był gdzieś w pobliżu Bamako w Mali i rzeczywiście niedaleko stamtąd istniało potężne królestwo Kong (cesarstwo Kong ze stolicą w dzisiejszym mieście

Wybrzeża Kości Słoniowej noszącym nazwę, tak, zgadza się, Kong). W regionie są wyżynne tereny, na których gdzieniegdzie wznoszą się wysokie skaliste wzgórza – twardzielce w żargonie geologicznym – które można, przy odpowiednio elastycznym podejściu, nazwać górami.

Tym, czego zdecydowanie tam nie ma, jest wielki nieprzebyty łańcuch górski długości setek kilometrów. Warto zauważyć, że Park wcale o niczym takim nie mówił. Wspomniał tylko, że widział „w wielkiej dali" jakieś góry. Nie bardzo jest się na czym oprzeć i Park dodaje niewiele więcej – za co, trzeba przyznać, w zasadzie nie można go winić, ponieważ na drugi dzień został napadnięty przez bandytów, którzy ukradli mu konia, odarli go do naga i zostawili na pustkowiu w prażącym słońcu. Nie jest to zdarzenie, które może wprawić w nastrój sprzyjający podziwianiu widoków.

Ale Rennell uczepił się wzmianki Parka o górach w królestwie Kong i dał się ponieść, ponieważ istnienie rzekomych gór potwierdzało jego ulubioną teorię geograficzną: Niger płynie w taki pokręcony sposób z powodu górzystego ukształtowania terenu. Niger, widzicie, zbuntował się przeciwko tradycyjnemu zachowaniu rzeki, czyli wpadaniu do najbliższego morza, i postanowił utworzyć pętlę długości ponad czterech tysięcy kilometrów, płynąc w głąb kontynentu do skraju Sahary, po czym dramatycznie zawracając i kierując się do Zatoki Gwinejskiej. Taki bieg rzeki przez długi czas zbijał z tropu wielu ludzi. Kiedy Rennell kreślił swoją mapę, o Nigrze wiedziano na pewno tylko tyle, że jest wielki, przypuszczalnie gdzieś się zaczyna, a później… gdzieś sobie płynie.

Rennell wykoncypował (zresztą wcale nie tak głupio), że Niger musi mieć źródła wysoko w długim paśmie górskim, które stanowi fizyczną barierę wymuszającą bieg rzeki na wschód, daleko od morza. Nie on pierwszy o tym pomyślał – przez cały siedemnasty wiek stawiano hipotezy o istnieniu wielkich gór w tym regionie i nanoszono je na mapy, ale

większość z nich wypadła z mody kartograficznej pod koniec osiemnastego wieku.

I tak oto Rennell uczepił się słów Parka, przemieszał je ze swoją teorią i stwierdził, że „biegi wielkich rzek i inne obserwacje stanowią dowód, że pas gór rozciąga się z zachodu na wschód pomiędzy dziesiątym i jedenastym stopniem szerokości geograficznej północnej”[6]. Zauważcie, że Rennell nie „sugeruje”, nie „implikuje”, nie „każe sądzić”; od razu przechodzi do dowodu.

Innymi słowy, dodał dwa do dwóch i stworzył cholernie wielkie pasmo górskie.

I to byłoby wszystko, nieco więcej niż mało znany przypis w historii błędów kartograficznych, gdyby nie to, co się wydarzyło później: Wszyscy inni natychmiast zaczęli kopiować pomysł Rennella, ponieważ był bardzo dobrym kartografem, więc nikt nie chciał wyjść na durnia, nie zamieszczając na swojej mapie gór Kong.

Powielanie błędu zaczęło się prawie natychmiast, gdy w 1802 roku Aaron Arrowsmith opublikował swoją nową mapę. Nie tylko skopiował góry Kong, ale też zrobił duży krok dalej – rozciągnął pasmo górskie do połowy Afryki, gdzie połączył je z Górami Księżycowymi, tworząc dzielącą kontynent barierę wspomnianą na początku tego rozdziału (chyba muszę zaznaczyć, że wszystkie elementy tamtego akapitu są zaczerpnięte z dziewiętnastowiecznych opisów wyimaginowanych gór). Prace Arrowsmitha są pięknym przykładem szkoły kartowania Afryki, działającej pod hasłem „pieprzyć to – po prostu zostawmy pusty środek”. Prawdopodobnie zyskałby uznanie za to, że przyznawał się do ograniczonej wiedzy, gdyby nie to, że wykreślił wielką linię urojonej skały przez cały kontynent, ~~jak redaktor, który wykreśla autorowi zabawne zdanie.~~

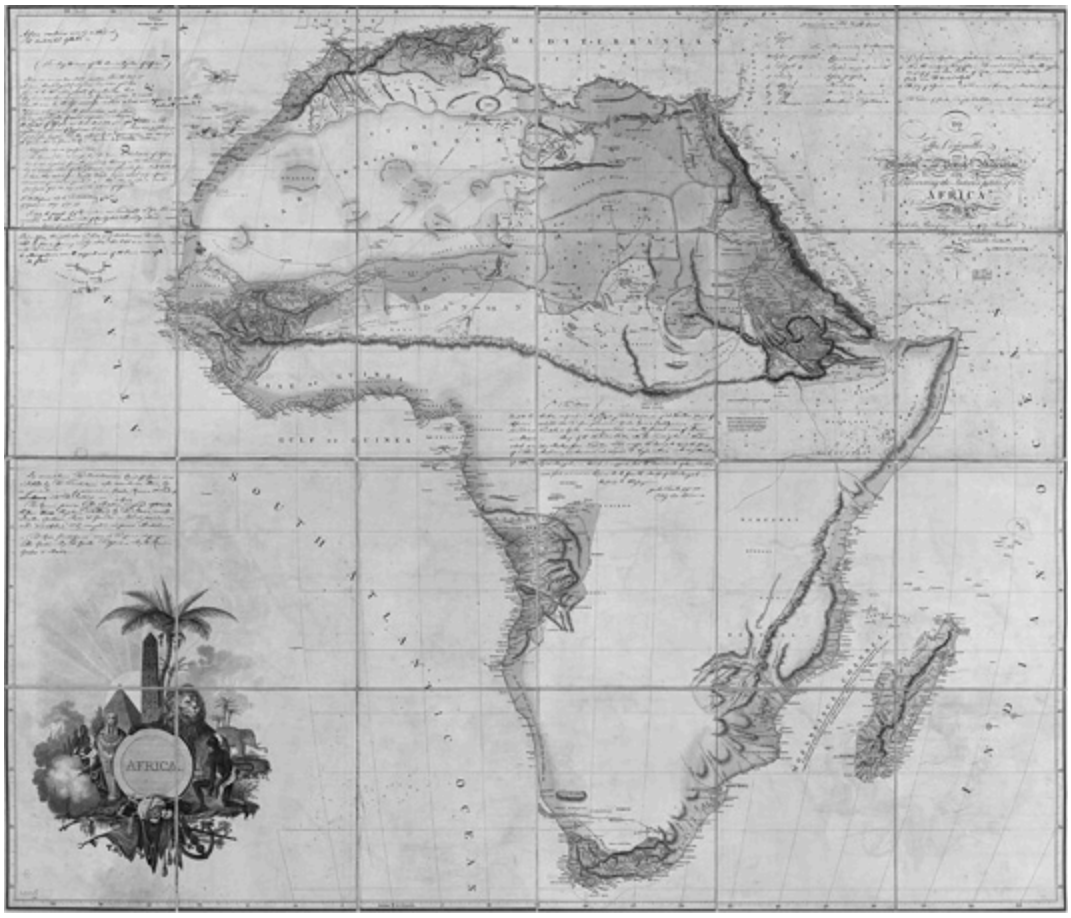

Mapa Aarona Arrowsmitha z górami Kong spotykającymi się z Górami Księżycowymi i całą masą innych głupot w środku Afryki.

Następny był John Cary, być może jedyny kartograf w Wielkiej Brytanii z lepszą reputacją niż Rennell; on również dodał na swojej mapie góry Kong – i robiąc to, na długie lata osadził pasmo górskie w kategorii „rzeczy, o których wiedzą mądrzy ludzie”. Cary i Rennell opowiedzieli się twardo za istnieniem gór, co zagwarantowało, że wszyscy inni pójdą w ich ślady. Jak przed nim Arrowsmith, tak i Cary połączył pasmo Kong z Górami Księżycowymi, żeby stworzyć przecinający kontynent pas nieprzebytej skały.

Prawdopodobnie w tym momencie warto zauważyć, że Góry Księżycowe też nie istnieją.

Te drugie nieistniejące góry mają jeszcze dłuższą historię niż Kong – już w *Geografii* Ptolemeusza ze 150 roku naszej ery są wspomniane jako miejsce, z którego bierze początek Nil, i pojawiają się tysiąc lat później w pracach arabskich uczonych, takich jak Muhammad al-Idrisi. W przeciwieństwie do łańcucha Kong, Góry Księżycowe są prawie stałym elementem na wczesnych mapach Afryki od początku szesnastego stulecia. Dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, kiedy dwóch chorowitych i kłótliwych Angoli, John Hanning Speke i Richard Francis Burton, zidentyfikowało Jezioro Wiktorii jako prawdziwe źródło Białego Nilu, Europejczycy w końcu doszli do przekonania, że może Góry Księżycowe tak naprawdę nie istnieją[7].

W dalszych latach dziewiętnastego wieku większość map Afryki sumiennie ukazywała góry Kong i (bardzo często) Góry Księżycowe; dopiero pod koniec stulecia niektórzy kartografowie zaczęli trochę się wstydzić i zastanawiać, czy może ta długa kolosalna skalista bariera wcale nie jest taka kolosalna i długa, jak sugerowała to wiedza powszechna. Ale nawet wtedy niedowiarkowie musieli walczyć z dość potężnym źródłem dowodów: ludźmi, którzy tam byli.

Przez dziesiątki lat od różnych badaczy napływały doniesienia mówiące, że widzieli albo nawet przebyli góry Kong. Szczerze mówiąc, to trochę zagadkowe, bo przecież byli wśród nich ludzie o zasadniczo solidnej reputacji świadczącej o tym, że nie są kompletnie szurnięci – jak Hugh Clapperton, człowiek o takim harcie ducha, że zniósł trwającą sto trzydzieści trzy dni wyczerpującą podróż z towarzyszem, którego nie cierpiał do tego stopnia, że przez cały ten czas ani razu się do niego nie odezwał.

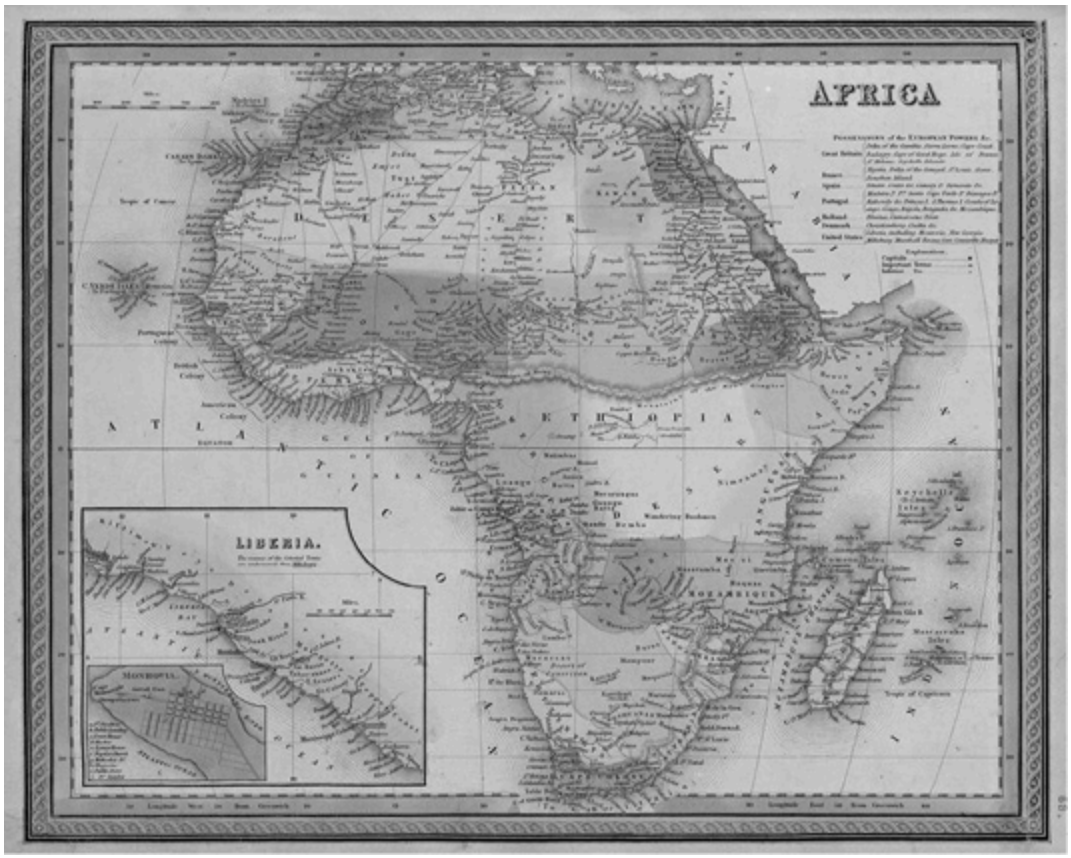

Mapa z 1849 roku ukazująca góry Kong i Góry Księżycowe.

Najlepsze wyjaśnienie prawdopodobnie jest również najprostsze: ci podróżnicy często napotykali wzgórza i twardzielce rozsiane na wyżynach i po prostu zakładali, że przetrwali spotkanie z budzącymi grozę górami Kong, ponieważ *góry Kong były na mapie*.

Było to idealne sprzężenie zwrotne ściemy: każdy zakłada, że inni mają rację, więc dostosowuje swoje dowody do teorii, a później wszyscy inni biorą to za kolejny dowód, że teoria od samego początku była poprawna. Badacze wyobrażali sobie góry, ponieważ były na mapie; kartografowie brali słowa badaczy za dobrą monetę i tworzyli następne pokolenie map. I tak oto fikcyjne góry istniały przez dziesiątki lat.

Nic nie ilustruje tego lepiej niż referat kapitana R.F. Burtona wygłoszony na spotkaniu Królewskiego Towarzystwa Geograficznego

wieczorem dwudziestego szóstego czerwca 1882 roku[8]. Burton (sławny dzięki Jezioru Wiktorii) był znanym podróżnikiem i orientalistą, obdarzonym przez naturę sumiastymi wąsami, talentem do języków i upodobaniem do wschodniej erotyki. W swoim przemówieniu do członków Towarzystwa zaciekle bronił istnienia gór Kong, które, jak zauważył z żalem, „niemal zniknęły z map” (niezupełnie prawda – wciąż występowały na wielu ówcześnie tworzonych mapach, jeśli nawet długość pasma ostrożnie odchodziła od wcześniejszych dzikszych fantazji). To Burtonowi musimy podziękować za przytoczony wcześniej dramatyczny opis „piętrzących się mas granitu”.

Burton popełnia te same kluczowe błędy co Rennell, tyle że po osiemdziesięciu latach błędnego interpretowania dowodów. Kładzie o wiele za duży nacisk na teorię o rzekach i upiera się, że „istnienia takiego łańcucha dowodzi bieg rzek Złotego Wybrzeża”. Opiera się na relacjach badaczy takich jak Clapperton i John Duncan (który „przemierzył całą szerokość gór Kong”), nawet gdy oni w swoich wypowiedziach nie posuwali się tak daleko, jak sugerował. Na przykład redaktor Clappertona dodał tytuł rozdziału, sławiąc jego podróż „przez góry Kong”, choć sam Clapperton nigdy nie użył tej nazwy i w opisie mówi głównie o „wzgórzach”, a w nielicznych wzmiankach o górach ocenia ich wysokość na jakieś dwieście metrów. Coś takiego raczej trudno nazwać górą[9].

R.F. Burton beztrosko lekceważy słowa „tubylczego przewodnika”, z którym rozmawiał podczas wizyty w Afryce i który „znał wioskę Kong, ale nie góry Kong” – choć wioska Kong rzekomo leżała u stóp gór. No bo niby dlaczego miałby przywiązywać wagę do słów kogoś, kto naprawdę tam mieszka i mówi: „Och, tak, znam wioskę, ale nie, nie mam pojęcia o wielkim pasmie górskim, które za nią leży”?

Burton nie był osamotniony. Thomas Bassett i Philip Porter – uczeni, którym musimy podziękować za badanie historii Kong – cierpko odnotowują, że „jest to dowodem (…) iż Europejczycy otrzymywali od Afrykanów informacje, że na danym obszarze nie ma gór, lecz zwykle je ignorowali”[10].

W końcu to francuski oficer Louis-Gustave Binger zdementował istnienie gór. W 1888 roku udał się do tej części Afryki i ze zdumieniem zobaczył, że „na horyzoncie nie ma nawet pasma wzgórz! Łańcuch górski Kong, który rozciągał się na wszystkich mapach, istniał wyłącznie w wyobraźni kilku kiepsko poinformowanych badaczy”[11].

Ale nawet po tym, jak Binger odpalił swoją bombę „Nie ma gór”, góry Kong cieszyły się długim życiem pozagrobowym – pojawiły się na kilku mapach w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, na jednej w 1905 roku i w 1928 nawet w *Oxford Advanced Atlas*, który wbrew nazwie najwyraźniej nie był dość zaawansowany, żeby w ciągu czterdziestu lat zaktualizować mapy Afryki Zachodniej. Pasmo górskie może odeszło w niebyt, ale jego duch żył dalej.

Nieistniejące góry w Afryce mogą być jednym z bardziej dramatycznych przykładów bzdur o otaczającym nas świecie, w jakie wierzymy, jednak zdecydowanie nie są osamotnione. W historii aż się roi od nieistniejących krajów i fikcyjnych miejsc.

Jedną z najdłużej istniejących mitycznych krain jest królestwo chrześcijańskiego monarchy, księdza Jana – utopijny i przebogaty kraj leżący mniej więcej [tu nonszalanckie machnięcie ręką] na wschodzie. Postać księdza Jana występowała wyłącznie w folklorze, dopóki w dwunastym wieku nie zaczął krążyć rzekomo napisany przez niego list (z deklaracją jego udziału w krucjatach).

Niestety, tak autor, jak i cel ściemy zaginął we mgle czasu, ale list zapoczątkował upartą i długotrwałą wiarę w istnienie imperium równie legendarnego jak jednorożec. Przez pięć stuleci wysyłano badaczy na poszukiwanie tej zaginionej krainy, kartografowie umieszczali ją na swoich mapach, a o niektórych ludziach mówiono, że są potomkami księdza Jana.

I tak to się ciągnęło, mimo że nikt nigdy nie był zupełnie pewien, gdzie leży królestwo. Na przestrzeni kilkuset lat (gdy moda się zmieniała i części map zostały zapełnione przez kraje, które zdecydowanie nie były poszukiwanym królestwem) królestwo księdza Jana wybrało się na globtroterską przygodę, zaczynając od Azji, następnie podróżując po różnych regionach Afryki i w końcu osiadając gdzieś w Etiopii, wygodnie blisko wyimaginowanych Gór Księżycowych. Dopiero w siedemnastym wieku zaczęto niechętnie przyjmować do wiadomości, że królestwo nigdy nie istniało.

Relacje wczesnych europejskich badaczy pomagały zapełniać białe plamy na mapach, ale często ich świadectwa były mało wiarygodne. Na przykład według relacji z podróży Magellana w 1520 roku Patagonię zamieszkiwała rasa olbrzymów. Fantazja o mieszkańcach Patagonii na wiele lat stała się filarem opowieści podróżników, przy czym wysokość gigantów z czasem się zmieniała: pod koniec szesnastego wieku mieli ponad trzy i pół metra wzrostu, a pod koniec osiemnastego już tylko ponad dwa i pół.

W rzeczywistości ci olbrzymi najprawdopodobniej byli Indianami Aónikenk i wcale nie byli olbrzymami – można ich opisać co najwyżej jako „dość wysokich”, ponieważ mają około metra osiemdziesięciu. Uznano ich za olbrzymów być może dlatego, że w owym czasie większość Europejczyków była kurduplami.

Fikcyjne są nie tylko relacje z podróży, ale też czasami same podróże. W historii nie brakuje ludzi twierdzących, że podjęli wyprawy, których w rzeczywistości nigdy nie odbyli. Weźmy pewien przykład – wyłącznie dlatego, że wiąże się z jedną z głównych postaci w tej książce. Wielu biografów Benjamina Franklina dało się nabrać francuskiemu autorowi, St. Jeanowi de Crèvecœur, który twierdził, że w roku 1787 pożeglował z Franklinem do Lancasteru w Pensylwanii, żeby wziąć udział w uroczystości otwarcia szkoły Franklin College. W rzeczywistości żadnego z nich tam nie było: de Crèvecœur najzwyczajniej to zmyślił, ponieważ chciał zaimponować swoim rodakom przyjaźnią z ich ulubionym Amerykaninem[12].

W całej historii odkryć dokonywanych przez niesolidnych odkrywców najlepszy biznes polegał na odkrywaniu wysp, ponieważ wyjątkowo łatwo było oznajmić, że znalazło się wyspę na środku oceanu, i mieć pewność, że nikt tego nie sprawdzi. Poza tym odkrywca nadawał wyspie nazwę albo od nazwiska swojego, albo (często) bogatego dobroczyńcy, co było wyjątkowo dobre dla biznesu.

Być może najbardziej entuzjastycznym odkrywcą nieistniejących wysp był niejaki Benjamin Morrell, dziewiętnastowieczny poszukiwacz przygód i głęboko oddany sprawie ściemniacz, urodzony we wciąż młodych Stanach Zjednoczonych w 1795 roku. W doskonałej publikacji *Atlas lądów niebyłych* (kompendium „geografii spekulatywnej”, które polecam z całego serca, jeśli jesteś fanem zagadnień poruszanych w tym rozdziale) Edward Brooke-Hitching pisze, że Morrell zasłynął jako „największy kłamca Pacyfiku” dzięki absolutnie nieprawdziwym opowieściom o odkryciach zawartym w książce *A Narrative of Four Voyages* (Relacja z czterech podróży)[13]. Odkrył między innymi Nową Południową Grenlandię (nie istnieje), nazwaną na cześć zamożnego gościa, na którym chciał zrobić

wrażenie, Wyspę Byera (nie istnieje) i Wyspę Morrella (również nie istnieje). Choć nie istniały, kilka z nich przez ponad sto lat widniało na mapach nawigacyjnych, co niekoniecznie było szczególnie pomocne dla nawigatorów.

Łatwo byłoby założyć, że dziś taka fikcyjna geografia należy do przeszłości – to zrozumiałe, gdy weźmie się pod uwagę małą ilość informacji dostępnych dla ówczesnych kartografów i mnogość w naszej epoce zdjęć satelitarnych oraz istnienie Google Maps. Takie założenie jest niekoniecznie prawdziwe, ponieważ wiele błędnych wyobrażeń z przeszłości pokutuje do dzisiaj. Mało tego, co najmniej jedno z nich znalazło drogę nawet do Google Maps: skrawek ziemi kilka tysięcy kilometrów od Australii, Sandy Island, widniał na mapach przez ponad sto lat aż do roku 2012, kiedy to australijski statek przepływał obok miejsca, gdzie powinna leżeć wyspa. Wtedy stwierdzono, że nie tylko jej nie ma, ale też że dno morskie w tym rejonie nie zbliża się na mniej niż tysiąc metrów do powierzchni. Google wraz z innymi organizacjami, łącznie z National Geographic Society, pośpiesznie usunęło ją z map.

Wiara w istnienie fikcyjnych ziem pewnie nie jest zaskakująca, zważywszy, że ziemia jest czymś, czego ludzie naprawdę, ale to naprawdę pragną. Ziemia zapewnia miejsce do życia, tak, ale – co niekiedy bywa ważniejsze – może uczynić cię bardzo bogatym. Chyba najlepiej widać to na przykładzie nieistniejącej wyspy o nazwie Bermeja, rzekomo leżącej w Zatoce Meksykańskiej niedaleko północnego wybrzeża Jukatanu. Po raz pierwszy pojawiła się ona na mapach w szesnastym wieku i do początków dwudziestego prawie z nich zniknęła, lecz dramatycznie przypomniała o sobie, gdy meksykański rząd zrozumiał, że jeśli istnieje, to da krajowi prawo do rozległych podwodnych złóż ropy naftowej[14]. Meksykanie przez wiele lat szukali fikcyjnej wyspy – i choć w końcu musieli przyznać,

że zdecydowanie jej nie ma, do dziś dnia są tacy, którzy twierdzą, że kiedyś musiała być. Kilku meksykańskich senatorów nawet oskarżyło CIA o to, że doprowadziło do jej zniknięcia.

Tak więc często nasze błędne przekonania o ziemiach, na których żyjemy, wyrastają ze starego dobrego efektu potwierdzenia: po prostu chcemy, żeby to była prawda, ponieważ ziemia oznacza bogactwo, władzę i – dla wielu – chwałę. Nigdzie nie widać tego wyraźniej niż w opowieści o bitwie o biegun północny. A raczej, nieco bardziej precyzyjnie, bitwie o uznanie za zdobycie bieguna północnego.

Rozpętała się ona na łamach amerykańskiej prasy w roku 1909. Siódmego września „New York Times” na pierwszej stronie triumfalnie oznajmił: „Peary zdobył biegun północny, podjąwszy ósmą próbę w ciągu dwudziestu trzech lat”, przyznając palmę pierwszeństwa Robertowi E. Peary’emu. Tego poczucia triumfu w żaden sposób nie umniejszył fakt, że pięć dni wcześniej „New York Herald” na pierwszej stronie trąbił: „Biegun północny zdobyty przez doktora Fredericka A. Cooka”.

Artykuł „Heralda” musiał być niemałym ciosem dla Peary’ego, który właśnie wrócił z wyprawy, chętny ogłosić światu swój niezwykły wyczyn – gdy jego były przyjaciel i towarzysz podróży, Cook, od roku uważany za zaginionego (a właściwie za martwego), nagle pojawił się i twierdził, że zdobył biegun w 1908 roku. W artykule „Timesa” wściekły Peary nazwał go oszustem.

Walka o uznanie początkowo rozgrywała się w sądzie opinii publicznej i doktor Cook odnosił korzyści z tego, że jego historia ukazała się pierwsza. W Nowym Jorku tłumy zgotowały mu entuzjastyczne powitanie. Gazety w całym kraju przeprowadzały wśród czytelników sondaże z pytaniem, w czyje racje wierzą, i Cook ciągle wyłaniał się jako niekwestionowany zwycięzca.

Ale Peary był łebskim PR-owcem i w swojej kampanii szybko odwołał się do znajomości, żeby zdyskredytować twierdzenie Cooka („Herald” w celu ochrony swojego sensacyjnego materiału podał, że Peary przy okazji przekupił co najmniej jednego świadka). Cook, w drodze powrotnej podróżując bez zbędnego bagażu, zostawił dzienniki z wyprawy u znajomego na Grenlandii, który obiecał dostarczyć je do Nowego Jorku. Pech chciał, że przyjaciel zabrał się do Nowego Jorku na statku Peary’ego, który w małostkowym geście nie pozwolił mu wnieść na pokład rzeczy Cooka.

Po otrzymaniu wiadomości, że nie dostanie dowodu, który miał potwierdzić jego prawdomówność, Cook zaczął wpadać w depresję i kilka miesięcy później wyruszył do Europy, gdzie spędził rok na dobrowolnym wygnaniu, pisząc książkę. „New York Times” trąbił o jego „zniknięciu”, nazywając opowieść Cooka „największym humbugiem w historii” i „najbardziej zdumiewającym oszustwem, odkąd rasa ludzka pojawiła się na Ziemi”[15].

(Być może decyzja „New York Timesa”, żeby bez wahania poprzeć roszczenia Peary’ego, miała coś wspólnego z tym, że dziennik już zapłacił cztery tysiące dolarów za prawa do opisania jego wyprawy).

Wersja Peary’ego, wsparta przez potężną gazetę (która w pierwszej kolejności sponsorowała jego ekspedycję) i większą część establishmentu, szybko pokonała wersję Cooka i w końcu została powszechnie zaakceptowana. Kongres docenił wyczyn, jakim była wyprawa na biegun, a Peary, cywilny inżynier w marynarce wojennej USA, został awansowany do stopnia kontradmirała i dostał wysoką emeryturę.

W następnym stuleciu zwolennicy Cooka i Peary’ego zażarcie dyskutowali, czyje twierdzenia były prawdziwe. Czy Cook naprawdę był oszustem próbującym odebrać Peary’emu zasłużony triumf, czy Peary był

wielkim przegranym pociągającym za sznurki, żeby podstępnie ukraść zaszczyt człowiekowi, który go pokonał?

Prawdą, jak z radością się dowiecie, nie jest żadna z tych dwóch wersji. Bo okazuje się, że obaj kłamali.

Dzisiaj wśród ekspertów panuje zgodna opinia: najprawdopodobniej żaden z nich nie zbliżył się bardziej niż na sto sześćdziesiąt kilometrów do bieguna – i obaj sfabrykowali dowody w celu zatuszowania swojej porażki.

Twierdzenie Cooka łatwiej zdementować. Przede wszystkim już był wplątany w skandal rzucający cień na jego uczciwość – co Peary cynicznie, ale skutecznie włączył do swojej PR-owej kampanii. Cook twierdził, że pierwszy zdobył szczyt Denali (najwyższą górę Ameryki Północnej, w owym czasie zwaną McKinley), co było szeroko kwestionowane. Sceptycyzm pogłębił się, gdy wyszło na jaw, że Cook przyciął zdjęcie, na którym jego towarzysz triumfalnie stoi na „wierzchołku”; zrobił to, żeby usunąć z tła coś, co jednoznacznie było o wiele wyższym szczytem – jak ty wycinasz na Instagramie McDonalda w narożniku zdjęcia idyllicznego zacisza jogi.

Wszelkie pozostałe wątpliwości rozwiały się rok później, w 1910, kiedy śladami Cooka wyruszyła kolejna ekspedycja i znalazła szczyt, na którym zostało zrobione zdjęcie – znajdujący się jakieś trzydzieści kilometrów od Denali i niższy od niego o cztery i pół tysiąca metrów (fajne, bo oficjalna nazwa tej góry brzmi Fake Peak – Fałszywy Szczyt).

Stosowanie starej sztuczki okazało się ulubioną taktyką Cooka, bo jak później stwierdzono, zdjęcia zrobione na „biegunie północnym” w rzeczywistości były starymi fotkami z Alaski. Co więcej, dziennik, który Cook przedstawił na dowód swojej wyprawy, wyraźnie został napisany po fakcie, jego inuiccy przewodnicy później powiedzieli, że nie dotarł do bieguna, a odkryta przez niego po drodze wyspa nie istniała. Ostatnim

gwoździem do trumny relacji Cooka było jego skazanie i aresztowanie w 1923 roku, gdy po zrezygnowaniu z eksploracyjnej gry wszedł do przemysłu naftowego. To sprawiło, że zapisał się na kartach historii jako podejrzany typek.

W ten sposób Peary zyskał pole do popisu i został ukoronowany jako prawdziwy zdobywca bieguna. Cook zszargał sobie reputację, co znacznie ułatwiło drogę Peary'emu – przypuszczalnie dzięki błędnemu założeniu, że jeśli jeden z nich kłamie, to drugi musi mówić prawdę. I tak oto przez większą część dwudziestego wieku jego wersję powszechnie akceptowano.

To trochę dziwne, ponieważ nawet w owym czasie istniały poważne zastrzeżenia co do uczciwości Peary'ego i jego postępowanie powinno włączyć dzwonki alarmowe. Na dowód zdobycia bieguna zaprezentował w Kongresie dziennik, który, czego kongresmeni raczej nie mogli nie zauważyć, wyglądał zaskakująco nieskazitelnie jak na coś, co podobno było używane codziennie przez kogoś, kto miał zatłuszczone ręce i w nieprzyjaznym środowisku nie mógł ich umyć. Poza tym Peary nie wyraził zgody, żeby ktokolwiek sprawdził jego zapiski, a nadto twierdził, że po drodze odkrył wyspę, której jak się później okazało, nie ma.

Ale najgłośniejszym dzwonkiem był nieprawdopodobny opis podróży. Problem z biegunem północnym polega na tym, że znajduje się on nie na lądzie, lecz na dryfującym lodzie. Poza tym brak punktów orientacyjnych dodatkowo utrudnia wędrówkę przez pustą, rozległą, białą przestrzeń Arktyki. W drodze do bieguna musisz regularnie dokonywać pomiarów nawigacyjnych, żeby sprawdzać, czy nie zszedłeś z kursu i czy lodowe podłoże nie przeniosło cię w inne miejsce niż to, w którym chciałeś się znaleźć. Z pewnością Peary umiał to robić – w przeciwieństwie do Cooka był doświadczonym nawigatorem, podobnie jak kilku innych członków

jego wyprawy – ale, co dziwne, nie przeprowadzał pomiarów przez całą drogę do celu.

Mimo to, jak wynika z jego opisu podróży, zdołał przejść w linii prostej prawie osiemset kilometrów po dryfującym, pozbawionym punktów orientacyjnych lodzie, bezpośrednio do bieguna. Mało tego, tydzień przed rzekomym dotarciem do bieguna odesłał większość swojej grupy, łącznie z wyszkolonymi nawigatorami. Już samo to jest trochę podejrzane, ale nie tak bardzo jak tajemniczy wzrost prędkości przemieszczania się: zaraz po odesłaniu ekipy Peary podwoił tempo marszu, osiągając niewiarygodne sto czternaście kilometrów dziennie – nadzwyczajny wyczyn jak na kogoś, kto podczas wcześniejszej wyprawy z powodu odmrożenia stracił większość palców u nóg. (Lekarzem, który uratował mu pozostałe palce, był… jego przyszły rywal Frederick Cook).

W końcu Peary zrobił jeden pomiar nawigacyjny – według jego towarzysza podróży, Matthew Hensona, później wyglądał na bardzo przygnębionego i nikomu nie wyjawił, jaki był rezultat. Nazajutrz po prostu oświadczył, że są na biegunie, wepchnął kawałek amerykańskiej flagi do puszki i zagrzebał ją w lodzie. Po czym wrócili do domu.

Po trwającej dziesiątki lat debacie, który z dwóch rywali naprawdę był prawdziwym polarnym pionierem, osiągnięto konsensus. Żaden z nich nie dotarł na biegun: Cook nawet się do niego nie zbliżył, a Peary prawdopodobnie minął cel w odległości od stu do stu sześćdziesięciu kilometrów. W rzeczywistości biegun został zdobyty dopiero w 1968 roku przez ekspedycję korzystającą z pojazdów śnieżnych.

(Może warto tu zauważyć, że Cook i Peary nie byli jedynymi badaczami Arktyki, nad którymi wiszą historyczne znaki zapytania; weźmy na przykład naszego starego przyjaciela Vilhjamura Stefanssona, przyszłego twórcę katalogu ściemy wannowej. W 1913 roku poprowadził kanadyjską

ekspedycję, chcąc zbadać nowe ziemie między Alaską a biegunem, tylko że jego statek został uwięziony przez lód i groziło mu zmiażdżenie. Stefansson oznajmił, że schodzi na brzeg zapolować; w czasie jego nieobecności lód uniósł statek, który ostatecznie zatonął. Zginęło jedenastu członków załogi, a sam Stefansson przez kolejne cztery lata radośnie kontynuował eksplorowanie Arktyki na saniach, nieszczególnie przejęty tym, co spotkało jego statek i załogę. Niektórzy z ocalałych wyrażali później podejrzenia, że porzucił ich celowo).

Podczas gdy Cook i Peary uciekli się do oszustwa, żeby zatuszować niepowodzenie, inni geograficzni ściemniacze na przestrzeni dziejów robili na odwrót: sami narażali się na porażkę przez wymyślanie niestworzonych historii, którym rzeczywistość nie miała szans sprostać.

Właśnie to spotkało niejakiego Lewisa Lassetera, który w 1930 roku poprowadził grupę poszukiwaczy na australijską pustynię. Szukali w interiorze niewyobrażalnego bogactwa, ogromnej „złotej rafy”, która miała uczynić ich bogatszymi od królów.

To oczywiste, że w Australii nie ma długiej na piętnaście kilometrów „złotej rafy”. Lasseter twierdził, że widział ją na własne oczy, gdy zgubił się na pustyni w 1897, 1900 albo w 1911 roku (data zmienia się wraz z opowiadaniem). Nie był w stanie wrócić po własnych śladach, ale przez kilkadziesiąt lat próbował zgromadzić fundusze, żeby zorganizować ekspedycję i ponownie dotrzeć do „złotej rafy”.

Do dziś jest kwestią sporną, czy Lasseter po prostu się mylił, czy miał urojenia, czy może był zwyczajnym naciągaczem. Możliwe, że w grę, jak to często bywa, wchodziło wszystko. Ale gdy nastał wielki kryzys, jego opowieść przekonała potężnego szefa związków zawodowych, który postanowił udzielić mu wsparcia na wypadek, gdyby się okazało, że jednak

ma rację. I tak oto grupa ośmiu eksploratorów, wyekwipowana w samolot i kilka ciężarówek, wyruszyła na poszukiwanie złota.

Członkowie wyprawy szybko się zorientowali, że Lasseter absolutnie nie ma pojęcia, dokąd zmierza, i co więcej, nigdy wcześniej nie był w buszu. Szukali na próżno, ciężarówki utknęły w piasku, a samolot się rozbił i pilot trafił do szpitala.

Poszukiwacze jeden po drugim doszli do wniosku, że Lasseter ściemnia, i wycofali się z ekspedycji – został tylko z myśliwym o imieniu Paul i kilkoma wielbłądami do towarzystwa. Wkrótce powiedział Paulowi, że znalazł „złotą rafę”, ale nie chciał wyjawić gdzie. Po krótkiej bójce na pięści Paul też go zostawił, a później (według dziennika Lassetera) uciekły wielbłądy, gdy robił kupę.

Po roku na pustyni znaleziono jego szczątki wraz z dziennikiem.

Pomimo że w Australii zdecydowanie nie ma „złotej rafy”, przez późniejsze dziesięciolecia szukało jej wiele grup i do dziś co kilka lat ktoś twierdzi, że odkrył Rafę Lassetera, która – dla przypomnienia – nie istnieje.

Być może Lasseter naprawdę wierzył w swoją rafę; gdyby chodziło o przekręt, to trudno wyjaśnić, dlaczego miałby kontynuować poszukiwania długo po tym, jak wszyscy inni zrezygnowali. Podobnie jak wielu tych, którzy snuli zmyślone opowieści o nieistniejących krajach, mógł po prostu się mylić i później zaczął działać, opierając się na błędnym przekonaniu, kierowany entuzjazmem, wstydem albo za sprawą zwykłego efektu potwierdzenia.

Pod tym względem raczej nie jest odosobniony. Bohaterem jednej z najbardziej niewiarygodnych opowieści o geograficznej bzdurze w dziejach jest człowiek, który nie miał żadnego uzasadnienia dla swoich nieprawdziwych twierdzeń, jednak z uporem postępował tak, jakby były pewnikami. Chcąc poznać tę historię, musimy zagłębić się w mroczny świat

naciągaczy, kanciarzy i blagierów, gdzie poznamy być może największego hochsztaplera wszech czasów – człowieka, który oszukał kraj, wymyślając zupełnie inny kraj.

---

[1] Burton R.F., *The Kong Mountains*, „Proceedings of the Royal Geographical Society and Monthly Record of Geography", tom 4, nr 8, 1882, dostępne na https://www.jstor.org/stable/1800716.

[2] Istnieją tylko dwie znane mapy z łacińskim zdaniem *Hic Sunt Dracones*, obie z początku XVI w. O ile wiadomo, wyrażenie to nie występowało w języku angielskim. Patrz: *Oldest globe to depict the New World may have been discovered*, „Washington Post", 19 sierpnia 2013, dostępne na https://www.washingtonpost.com/national/health-science/oldest-globe-to-depict-the-new-world-may-havebeen-discovered/2013/08/19/503b2b4a-06b4-11e3-a07f-49ddc7417125_story.html.

[3] Rennell James, *A Map, shewing the Progress of Discovery & Improvement, in the Geography of North Africa*, 1798, dostępne na https://www.loc.gov/item/2009583841/

[4] Bassett Thomas J. i Porter Philip W., *From the Best Authorities*: *The Mountains of Kong in the Cartography of West Africa*, „The Journal of African History", tom 32, nr 3, 1991, dostępne na www.jstor.org/stable/182661

[5] Park Mungo, *Life and Travels of Mungo Park in Central Africa* (Kindle edition).

[6] Rennell James, *Proceedings of the Association for Promoting the Discovery of the Interior Parts of Africa*, W. Bulmer & Co, 1798.

[7] Brooke-Hitching Edward, *The Phantom Atlas: The Greatest Myths, Lies and Blunders on Maps,* Simon & Schuster UK, 2016.

[8] Burton R.F., *The Kong Mountains*, „Proceedings of the Royal Geographical Society and Monthly Record of Geography", tom 4, nr 8, 1882, dostępne na https://www.jstor.org/stable/1800716.

[9] Clapperton Hugh, Lander Richard i Salamé Abraham V., *Journal of a Second Expedition Into the Interior of Africa, From the Bight of Benin to Soccatoo*, John Murray, 1829.

[10] Bassett Thomas J. i Porter Philip W., *From the Best Authorities: The Mountains of Kong in the Cartography of West Africa*, „The Journal of African History", tom 32, nr 3, 1991.

[11] Binger Louis-Gustave, *Du Niger au Golfe de Guinee par Kong*, w: *Bulletin de la Société de Géographie*, Paryż 1889, cytowane w: Bassett i Porter, *From the Best Authorities: The Mountains of Kong in the Cartography of West Africa*, „The Journal of African History, tom 32, nr 3, 1991.

[12] Adams Percy G., *Travelers and Travel Liars 1660–1800*, Dover Publications, 1980.

[13] Brooke-Hitching Edward. *The Phantom Atlas: The Greatest Myths, Lies and Blunders on Maps*, Simon & Schuster UK, 2016.

[14] Campbell Matthew, *Oil boom fuels mystery of the missing island in the Mexican Gulf*, „The Times", 6 września 2009, dostępne na https://www.thetimes.co.uk/article/oil-boom-fuels-mystery-of-themissing-island-in-the-mexican-gulf-xg7tcsdbcwz.

[15] *How, Modestly, Cook Hoaxed The World*, „New York Times", 22 grudnia 1909, dostępne na https://www.nytimes.com/1909/12/22/archives/how-modestly-cook-hoaxed-the-world-turned-a-smiling-face-to-critics.html.

5

Manifest szachrajstwa

W lutym 1823 roku do brzegu terytorium Poyais dobili pierwsi osadnicy, którzy już mieli dobre pojęcie, czego się spodziewać po swoim nowym domu. Gdy *Honduras Packet* rzucił kotwicę tuż przy lagunie Czarnej Rzeki, podekscytowani przybysze z pewnością nie mogli się doczekać bogactw, jakie czekały na nich w nowym życiu. Wiedzieli, że ziemia Poyais jest piękna i urodzajna. Że ciepły klimat Ameryki Środkowej bardzo się różni od zimowego Londynu, który zostawili dwa miesiące wcześniej, i cudownie wpływa na zdrowie. Że żyzna gleba rodzi plony trzy razy w roku, obiecując każdemu przedsiębiorczemu rolnikowi fortunę przy minimalnym wysiłku. Że wijące się długie rzeki są pełne złota, małych samorodków, które każdy może uzyskać przez przesiewanie miałkiego piasku. Że w ujściu Czarnej Rzeki znajduje się główny port handlowy kraju, a zaledwie kilkanaście kilometrów dalej leży stolica, St Joseph – małe, ale szybko rosnące miasto zamieszkane przez tysiąc pięćset osób, z elegancką architekturą w stylu europejskim.

Z laguny jeszcze nie przypłynęła żadna łódź na powitanie nowych rodaków, więc kapitan Hedgcock kazał wystrzelić z armaty, żeby powiadomić Poyerów (jak nazywano mieszkańców Poyais) o ich przybyciu. Pasażerowie z podnieceniem czekali na powitanie przez przedstawicieli portu.

I czekali. A potem czekali jeszcze trochę dłużej.

Hm. Ani śladu łodzi.

Łódź się nie pojawiła, ponieważ w lagunie nie było żadnego ruchliwego portu handlowego. Osadnicy zaczęli szukać stolicy, St Joseph, zapuszczając

się kilometry w górę rzeki i wycinając sobie drogę przez gęstą dżunglę, lecz nie znaleźli kosmopolitycznego miasta z szerokimi bulwarami, bankiem i operą. Znaleźli trochę gruzu i kilka zrujnowanych chałup porzuconych w minionym stuleciu. Zakładając, że wylądowali w niewłaściwym miejscu, sprawdzili szczegółową mapę, którą dostali od samego kacyka Poyais, bohatera wojennego, potomka arystokratycznego rodu i natchnionego władcy tego nowego kraju, generała sir Gregora MacGregora.

Nic z tego. Zdecydowanie trafili we właściwe miejsce.

Na tym etapie jeszcze niezupełnie rozumieli – chociaż być może już ściskało ich w dołku, który zawsze jako pierwszy wie, że człowiek zrobił straszny, naprawdę straszny błąd – że łodzi, portu ani stolicy nie ma wcale nie dlatego, że dostali złe wskazówki.

Oczywiście, powód był zupełnie inny: nie było takiego kraju jak Poyais. Całe młode państwo istniało prawie wyłącznie w głowie Gregora MacGregora, człowieka, który stworzył swoje fikcyjne dominium, żeby zbić fortunę na inwestorach w Londynie, i przekonał setki szkockich ziomków, żeby sprzedali swój doczesny dobytek, porzucili domy i przeprawili się na drugą stronę Atlantyku (oczywiście wszyscy szczodrze mu zapłacili za przywilej nowego życia).

W ciągu roku większość z nich miała umrzeć.

Niektórzy naciągacze wyłudzają pieniądze, wymyślając fikcyjne przedsięwzięcia, chorych krewnych albo tajemnicze fortuny, które można odzyskać tylko z pomocą przypadkowego nieznajomego powiadomionego o sytuacji w e-mailu. Ci ludzie są jak małe dzieci w porównaniu z MacGregorem, który wymyślił cały kraj.

Mamy swego rodzaju obsesję na punkcie naciągaczy, kombinatorów, kanciarzy i szarlatanów wszelkiego autoramentu. Niezależnie od tego, czy postrzegamy ich jako okrutnych wyzyskiwaczy bezbronnych i naiwnych,

czy jako osoby o przewrotnym statusie ludowego bohatera – ściągającego na siebie gniew niesprawiedliwych systemów – nigdy nie mamy ich dość. Może dlatego, że czerpiemy radość z cudzego nieszczęścia, gdy inni dają się wywieść w pole, a może uwielbiamy paranoiczny strach przed tym, że sami damy się wrobić. A może dlatego, że oszuści najwyraźniej potwierdzają to, co wielu z nas potajemnie myśli o strukturach społecznych rozdzielających bogatych od biednych – że są one fałszywymi, pustymi fasadami, które każdy z nas mógłby obalić, gdybyśmy tylko mieli odwagę udawać kogoś, kim nie jesteśmy.

Historia pamięta MacGregora za zorganizowanie czegoś, co „The Economist” nazwał „największym przekrętem wszech czasów”[1]. Ale fascynujące jest to, że do dziś nie jest zupełnie jasne, ile w tym było prawdy, ile oszustwa z premedytacją, a ile po prostu okłamywania samego siebie na monumentalną skalę.

Ambitny, charyzmatyczny i przynajmniej do pewnego momentu czarujący MacGregor był człowiekiem, który bardzo głęboko wierzył, że jest mu pisana wielkość. Co więcej, konsekwentnie niemal się o nią ocierał… i błyskawicznie marnował szanse. Mówiąc wprost, gdyby tyle samo wysiłku włożył w osiąganie celów, co w udawanie, że je osiągnął (nie wspominając o kilkuset zubożałych albo martwych osadnikach), wtedy prezentowałby się znacznie lepiej.

Można zrozumieć, dlaczego osadnicy i inwestorzy dali się nabrać na plan MacGregora. Chlubił się naprawdę imponującym pochodzeniem: szkocki szlachcic i weteran brytyjskiej armii, służący w legendarnym 57. Pułku Piechoty – Die Hards – w bitwie pod Albuerą. Walczył również w wojsku portugalskim i za swoje zasługi został odznaczony Orderem Chrystusa. Później, jak wielu brytyjskich żołnierzy owych czasów, udał się do Ameryki Łacińskiej, żeby wziąć udział w wojnach wyzwoleńczych

przeciwko Hiszpanii, i został generałem i bohaterem narodowym Wenezueli. Może wszystko to nie powinno dziwić – wszak był naczelnikiem klanu Gregor, potomkiem samego legendarnego Rob Roya.

Pod koniec 1821 roku w prasie zaczęły ukazywać się ogłoszenia o okazyjnym kupnie ziemi w kraju Poyais – w promocyjnej cenie jednego szylinga za akr, jeśli się pośpieszysz, bo w ogłoszeniach uprzedzano, że w nadchodzących miesiącach cena wzrośnie[2]. Wielu musiało uznać tę okazję za zbyt dobrą, żeby ją przepuścić. Gdy istniejące od stuleci imperium hiszpańskie w Nowym Świecie wreszcie legło w gruzach, Brytyjczycy skierowali łakome spojrzenia na nową okazję i inwestowanie w Ameryce Łacińskiej znalazło się na topie. Latem 1822 roku ogłoszenia dotyczyły nie tylko szansy zainwestowania w ziemię, lecz były także reklamą skierowaną do potencjalnych osadników, żeby ruszyli rozpocząć nowe życie w Poyais jako pasażerowie „wielce przestronnego i wygodnego statku *Honduras Packet*” (jak ujęto to w ogłoszeniu w „The Times”)[3].

Gregor MacGregor w paradnym stroju, na ilustracji w książce *Sketch of the Mosquito Shore.*

Na poparcie ogłoszeń MacGregor rozpoczął zakrojoną na szeroką skalę kampanię reklamową. Udzielał wywiadów w gazetach, wymieniał uściski dłoni w wyższych sferach Londynu i Edynburga, ustanawiał urzędy dla wyimaginowanego kraju. Mało tego, wydał oprawioną w skórę książkę zatytułowaną *Sketch of the Mosquito Shore* (Szkic o Brzegu Moskitów), rzekomo napisaną przez „Thomasa Strangewaysa, kapitana pierwszego

tubylczego pułku Poyerów i adiutanta Jego Wysokości Gregora, kacyka Poyais”.

Szkic zawierał bardzo ładny portret MacGregora, imponująco prezentujący się na pierwszej stronie, a także idylliczne ryciny pełnej statków laguny Czarnej Rzeki. To właśnie ta książka obiecywała, że rzeki niosą „grudki czystego złota”, że ziemia da osadnikom trzy plony rocznie, że są tam przyjaźni tubylczy robotnicy, którzy darzą Wielką Brytanię głęboką nieprzemijającą miłością i będą radośnie pracować przez okrągły rok w zamian za drobne sumki, a możliwe, że tylko za ubranie[4].

(Poza tym autor nie szczędził starań, żeby na samym początku podkreślić, że Brzeg Moskitów nosi taką nazwę wcale nie z powodu natrętnych owadów – ha, cóż za pomysł! – ale od chmary wysepek rozsianych wzdłuż linii brzegowej. Żadne z tych wyjaśnień nie było prawdą: nazwa – przekręcona – pochodzi od tamtejszych Indian Miskito[5]. Jest tam jednak całkiem sporo moskitów, o czym osadnicy szybko się przekonali).

W rzeczywistości znaczna część szkicu została po prostu skopiowana z kilku innych, nieaktualnych od dziesiątków lat, książek o tej części świata; treści nieskopiowane były czystą fantazją, napisaną, jak się okazało na późniejszym procesie o zniesławienie, przez samego MacGregora.

MacGregor posunął się jeszcze dalej – chciał sprzedać Poyais nie tylko jako pomysł na stworzenie nowej kolonii, ale także jako już istniejący kraj z funkcjonującym rządem, rozległą miejską infrastrukturą i bogatym życiem kulturalnym. Pokazywał ludziom „Proklamację do mieszkańców terytorium Poyais”, ogłaszającą oficjalne narodziny państwa – dokument, który rzekomo rozprowadził po swoich ziemiach, zanim wypłynął do Londynu, mówiący, że król Brzegu Moskitów nadał mu wieczyste prawa do terytorium Poyais. Wymyślił dla nowego kraju flagę i system powoływania

dostojników i nagradzał potencjalnych sprzymierzeńców Orderem Zielonego Krzyża. Wydrukował „dolary Poyais” i całą ich skrzynię przekazał osadnikom, żeby mogli się urządzić w nowym domu. Dyskutował o trzypartyjnej strukturze rządu Poyais. Przekonał Andrew Pickena, marzącego o karierze literackiej łatwowiernego młodego urzędnika z Glasgow, do napisania poematu i ballady sławiącej Poyais w taki sposób, żeby sugerowały, iż są tworami tamtejszej kultury.

Podczas zakrapianej winem pogawędki MacGregor zasugerował Pickenowi, że mianuje go szefem teatru narodowego, więc młodzieniec kontynuował radosną twórczość jako jeden z wiodących głosów w przekazywaniu innym dobrych wiadomości o życiu czekającym ich w St Joseph. MacGregor obiecał równie ważne stanowiska wielu osadnikom: jeden miał być zastępcą gubernatora, inny szefem banku. Pewien edynburski szewc, John Hellie (albo Heely, bo źródła nie są zgodne), sprzedał dobytek i zostawił rodzinę, gdy obiecano mu, że zostanie oficjalnym szewcem księżnej Poyais.

Banknot dolarowy Poyais wydrukowany przez Gregora MacGregora w Szkocji, ponieważ nie istniało nic takiego jak Bank Poyais.

Oczywiście to, co osadnicy zastali na miejscu, było… nieco mniej imponujące. Wysiedli na brzeg na północy dzisiejszego Hondurasu, na wschodnim krańcu regionu sugestywnie nazwanego Gracias a Dios (Dzięki Bogu). Dzisiaj Czarna Rzeka nazywa się Rio Sico, a laguna różnie – Laguna de Ibans albo Laguna Ebano[6]. Okolica nadal jest odizolowana i słabo zaludniona, chociaż są tam lotnisko – no, trawiasty pas – i według przewodnika Lonely Planet dość przyjemny „hotel ekologiczny” dla turystów[7]. Razem wziąwszy, okolica prawdopodobnie jest znacznie bardziej gościnna niż to, co ujrzeli pasażerowie *Honduras Packet*.

W sumie niewiele mieli do oglądania, nie licząc połaci dżungli, odrobiny gruzów i amerykańskiego pustelnika mieszkającego w chacie. Nie było ani miasta, ani miasteczek, ani portu, ani handlu. Rzeki słynęły z braku grudek szczerego złota. Pierwsza partia osadników z *Honduras Packet* przez kilka tygodni żyła w stanie nieświadomości, próbując dociec, dlaczego plan nie wypalił, i czekając na kontakt z władzami Poyais. Przez cały ten czas koczowali na brzegu w namiotach i prymitywnych schronieniach.

Kilka tygodni później, w marcu, przybył drugi statek z kolonistami, *Kennersley Castle*, i wtedy sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Liczba osadników wzrosła z około siedemdziesięciu do ponad dwustu, co oznaczało wiele więcej gąb do wykarmienia i wiele więcej ciał do zapadania na choroby. Co gorsza, natychmiast doszło do tarć między dwiema grupami. Ci nowi – którzy przez całą drogę słuchali bajdurzenia Pickena o cudownościach St Joseph – byli wyjątkowo nieszczęśliwi z powodu tego, co zastali. Poza tym nie potrafili zrozumieć, dlaczego dowódca, pułkownik Hector Hall (rzekomy zastępca gubernatora), nie zarządził budowy trwalszych schronień ani nawet nie wyszedł im na powitanie.

Przyczyną tego stanu rzeczy było częściowo to, że pierwszym osadnikom brakowało umiejętności potrzebnych do zbudowania miasta od zera. Byli wśród nich bankier, kilku urzędników i ogrodników, jubiler, drukarz, „sługa dżentelmena” i pewna liczba meblarzy; to doskonałe zawody, gdy już czeka tętniąca życiem metropolia, ale niekoniecznie pożyteczne, jeśli najpierw trzeba skonstruować coś większego od szafy. Ale przede wszystkim chodziło o to, że pułkownik Hall zrozumiał coś, co jeszcze nie dotarło do większości kolonistów: że zostali wyrolowani na monumentalną skalę. Władze Poyais nigdy się z nimi nie skontaktują. Opuszczenie brzegu i przeniesienie się w głąb lądu będzie oznaczać pewną śmierć. Budowa osady mija się z celem. *Honduras Packet* odpłynął podczas sztormu, zabierając ze sobą większość zapasów, więc najważniejszą sprawą było szukanie ratunku. Hall podjął próbę: wyruszył na wyprawę, żeby odnaleźć zaginiony statek i nawiązać kontakt z królem Jerzym Fryderykiem Augustem, nominalnym władcą regionu Miskito, brytyjską marionetką i człowiekiem, który rzekomo przyznał MacGregorowi prawa do terytorium Poyais.

Hall szybko przekonał się, że król nie bardzo wie, o co mu chodzi. Ogarnęło go jeszcze większe przygnębienie, gdy po powrocie zobaczył, że nowi przybysze pozwolili odpłynąć *Kennersley Castle*. Osadnicy byli niewiele szczęśliwsi, ponieważ przyniósł ze sobą tylko małą beczkę rumu.

Sytuacja szybko się pogarszała; wewnętrzne tarcia obniżały morale, próby budowania domów spełzały na niczym i – najgorsze ze wszystkiego – z nastaniem pory deszczowej, czemu towarzyszyły nieprzebrane chmary moskitów, koloniści zaczęli chorować i umierać. Hall wiedział, że zostali wystrychnięci na dudka, ale zachował tę wiedzę dla siebie z obawy przed reakcją ludzi. Jego postawa dodatkowo pogłębiała nieufność między grupami, zwłaszcza gdy znikał, podejmując tajemnicze

długie misje. Biedny szewc John Hellie, zrozpaczony, że nigdy więcej nie ujrzy rodziny, zastrzelił się w hamaku[8].

Wreszcie w maju, po kilku skwarnych miesiącach, statek z Belize odkrył ich żałosne obozowisko. Przywiózł dobre i złe wiadomości. Złe były takie, że kraj, do którego wyemigrowali, nie istnieje; dobre, że mogą go opuścić. Osadnicy uznali to za najlepsze rozwiązanie, zwłaszcza że kilka dni później Hall wrócił z ostatniej ekspedycji z wiadomością od króla Jerzego Fryderyka Augusta: nadania ziemi, na które powoływał się MacGregor, były nieważne, co oznaczało, że przybysze bezprawnie wkroczyli na cudzy teren.

I tak oto zdruzgotani osadnicy zostali partiami i w strasznym tłoku przerzuceni do Belize. Niektórzy byli zbyt chorzy, żeby wyruszyć w drogę; wielu zachorowało albo ich stan się pogorszył podczas podróży. Ponad połowa zmarła: z około dwustu siedemdziesięciu osób, które wyruszyły ze Szkocji na dwóch statkach, być może tylko pięćdziesiąt wróciło do Wielkiej Brytanii.

W tym momencie prawdopodobnie warto zauważyć, że całe to przedsięwzięcie – „koloniści opuścili Szkocję, marząc o nowym raju w Ameryce Środkowej, tylko że marzenie skończyło się ruiną finansową, chorobą i śmiercią” – brzmi dość… hm… znajomo.

Bo – nie do wiary! – coś takiego zdarzyło się nie po raz pierwszy. Sto dwadzieścia pięć lat wcześniej podobny los spotkał kilka tysięcy Szkotów, którzy dali się namówić pewnemu elokwentnemu dżentelmenowi do porzucenia ojczyzny, żeby założyć nową kolonię w Darien na Przesmyku Panamskim. Wtedy było to niezupełnie oszustwo, raczej zbyt ambitna próba stworzenia imperium szkockiego i udowodnienia kilku teorii o handlu światowym, ale wynik okazał się taki sam. Mniej więcej połowa kolonistów zmarła, a wielu inwestorów zbankrutowało. Afera stała się

przyczyną narodowego upokorzenia dla Szkocji, doprowadziła gospodarkę kraju do ruiny i przyczyniła się do pchnięcia go ku ostatecznej unii z Anglią*.

To rodzi dość oczywiste pytanie: Jak, do licha, ludzie dali się nabrać dokładnie na to samo, co ponad sto lat wcześniej? Chcąc na nie odpowiedzieć, musimy się przyjrzeć MacGregorowi i postarać się zrozumieć, jak zdołał przekonać tyle osób, że nieistniejący kraj jest na tyle prawdziwy, że powinny dla niego spieprzyć sobie życie. Trafiamy tu na mały szkopuł, ponieważ pechowo zarówno dla reputacji tego człowieka, jak i dla naszych wysiłków sporządzenia jego obiektywnego portretu, MacGregor zajmuje dość niekorzystną pozycję na froncie dziedzictwa historycznego. Po prostu strasznie dużo tego, co w tamtych czasach o nim napisano, wyszło spod pióra ludzi, którzy głęboko go nienawidzili.

MacGregor miał wyjątkowy dar przypochlebiania się i przeciągania ludzi na swoją stronę. I, niestety, był absolutnie podły, gdy udało mu się dopiąć swego.

Prawdopodobnie nie będzie wielką niespodzianką, że nie tylko kraj MacGregora był fikcyjny – równie fikcyjne są wielkie połacie jego życiorysu. Owszem, pochodził z klanu Gregorów, ale na pewno nie był jego przywódcą ani bezpośrednim potomkiem Rob Roya; pochodził z mniej znamienitej gałęzi rodu. Tak, służył w armii brytyjskiej, lecz nie jako jeden z Die Hards w bitwie pod Albuerą, ponieważ ponad rok wcześniej został po cichu wykopany z pułku w następstwie czegoś, co zostało eufemistycznie opisane jako „nieporozumienie z wyższym rangą oficerem”[9]. I prawdą jest również to, że później został przeniesiony do portugalskiej armii… lecz po kilku miesiącach historia się powtórzyła.

To, gdzie i kiedy Portugalczycy mieliby go nagrodzić tytułem szlacheckim, skoro spędzał czas głównie na wkurzaniu przełożonych,

zostawiam wyobraźni czytelnika.

Problem MacGregora polegał na tym, że choć bezsprzecznie miał pewne talenty, to upodobanie do symboli pozycji społecznej znacznie przewyższało jego starania o osiągnięcie tej pozycji. Jak ujmuje to historyk Matthew Brown (który na ogół sympatyzuje z nim bardziej niż inni biografowie), MacGregor był „pretensjonalnym człowiekiem z obsesją na punkcie statusu”[10]. Wżenił się w zamożną wojskową rodzinę z licznymi koneksjami i zgodnie z długotrwałą tradycją kupował sobie awanse w szeregach wojska, z każdą kolejną belką stając się coraz bardziej nieznośny. Po wyrzuceniu ze służby w roku 1810 zamiast zrobić rachunek sumienia, nadał sobie stopień pułkownika i paradował z małżonką po Edynburgu, w najświetniejszych strojach. Jak podaje wyjątkowo brutalna biografia, opublikowana w 1820 roku przez jednego z jego wielu wrogów, cieszył się swobodą „z małą dalekowzrocznością i jeszcze mniejszą refleksją”[11].

Beztroski okres dobiegł nagłego i tragicznego końca w roku 1811, kiedy zmarła jego żona, Maria. Odcięty od majątku jej rodziny, MacGregor nie mógł już wieść wystawnego życia. Pozbawiony pieniędzy i celu, zrobił to, co w owym czasie robiło wielu byłych wojskowych: udał się do Ameryki Łacińskiej, żeby walczyć przeciwko Hiszpanii. Konkretnie prysnął do Wenezueli. To tam najbardziej się zbliżył do przerzucenia mostu nad przepaścią pomiędzy wyobrażeniem o sobie a rzeczywistymi dokonaniami. Jak wielu studentów, którzy biorą rok wolnego, wyruszył na zagraniczną wycieczkę i… odnalazł siebie. Szybko został bliskim powiernikiem wielkiego rewolucjonisty, generała Francisca de Mirandy, którego wielce podziwiał. Niepoprawny hedonista i legendarny lowelas, Miranda podzielał jego upodobanie do dodatkowych korzyści płynących z posiadania władzy; lecz w przeciwieństwie do Szkota, był geniuszem militarnym. MacGregor

miał dobre układy z Mirandą i ponownie ożenił się z kobietą z koneksjami; *señora doña* Josefa Antonia Andrea Aristeguieta y Lovera była kuzynką już owianego sławą legendarnego członka ruchu na rzecz wyzwolenia, Simóna Bolívara.

Służba wojskowa w Wenezueli nie przebiegała idealnie, ale w sumie MacGregor okazał się niezłym żołnierzem i miał na koncie co najmniej jedno dokonanie, za które słusznie go chwalono. Prawdopodobnie mogłoby być znacznie lepiej, gdyby nie pech, bo przybył akurat w okresie krytycznym dla wenezuelskich sił niepodległościowych. Poniósł kilka porażek, lecz w 1816 roku okrzyknięto go bohaterem za trwający miesiąc odwrót z Ocumare, podczas którego, dowodząc oddziałem złożonym głównie z wyzwolonych niewolników, mężnie walczył ze ścigającym ich wrogiem, a niezrównana akcja straży tylnej pozwoliła przegrupować się armii niepodległościowej. I wreszcie MacGregor zyskał upragnione uznanie – nie za sprawą wymyślonych tytułów czy szastania pieniędzmi, ale dzięki osiągnięciom kosztującym go wiele trudu.

Tak czy inaczej, niedługo później pokłócił się z Wenezuelczykami i wystąpił ze służby. Och, Gregor.

Od tego momentu zaczął działać na własną rękę i jego kariera stawała się coraz bardziej szalona. W roku 1817 próbował dokonać inwazji na Florydę i odebrać ją Hiszpanii. Przez pół roku tkwił na zdobytej małej wyspie, po czym postanowił zostawić swoich ludzi i zwiał. Później poprowadził katastrofalny atak na przesmyk Darien – to samo miejsce, w którym w minionym stuleciu Szkoci doznali wielkiego upokorzenia. MacGregor wyraźnie nawiązywał do tego niefortunnego przedsięwzięcia, gdy werbował ochotników do swojego wojska; twierdził, że uczestniczył w nim jeden z jego przodków, i przedstawiał swoje działania jako okazję do odzyskania honoru narodu. Skończyło się inaczej; w Portobelo został

w środku nocy zaskoczony przez Hiszpanów, musiał więc salwować się ucieczką, wyskakując przez okno sypialni (bez spodni) i płynąc do bezpiecznego brzegu (nie umiał pływać).

Ten okres w życiu MacGregora przyczynił się do pojawienia się niepochlebnych opinii na jego temat. Michael Rafter, który służył pod nim w Darien i którego brat został stracony przez Hiszpanów po odbiciu Portobelo, z determinacją demaskował naszego bohatera – już cytowaliśmy z napisanej przez niego biografii, która podsumowuje MacGregora w następujący sposób: „Zepsuło go powodzenie, a zmienność i wyniosłość usposobienia szybko zniszczyły jego dobre widoki na przyszłość”[12], co, szczerze mówiąc, wydaje się sprawiedliwe. Kolejna relacja z chybionego przedsięwzięcia opisuje, że MacGregor dowodził akcją, stojąc na pokładzie rufowym okrętu z kieliszkiem wina w ręce[13]. W „Jamaica Gazette” napisano w niepochlebnych – łagodnie rzecz ujmując – słowach, że „wyrusza na korsarską ekspedycję przeciwko wrogom, jak nazywali ich jego stronnicy, i kończy karierę (…) grabiąc swoich przyjaciół (…) Sprawa tego rzeczonego wielkiego przywódcy stała się zupełnie bezużyteczna, a sam bohater niegodzien jest jednej więcej wzmianki”[14].

W tym okresie MacGregor doskonalił trzy cechy, co z perspektywy czasu wydaje się przymiarką do planu Poyais. Miał talent do werbowania rodaków na swoje misje, potrafił przekonać dziesiątki żołnierzy, żeby opuścili Szkocję i wzięli z nim udział w przygodach za oceanem. Już tworzył system wymyślonych zaszczytów: Order Zielonego Krzyża przeszedł pierwszą próbę na Florydzie. Folgował swojej miłości do wydawania bzdurnych proklamacji i nadawania sobie imponująco brzmiących tytułów – Rafter pisze, że po którejś ekspedycji w „niezapomnianej chwili wyjątkowej aberracji umysłowej miał niebywałą czelność obwołać się inką Nowej Grenady!!!”[15].

Tyle że jego postępowanie nie wyróżniało się jako szczególnie dziwne na tle tego, co w owym czasie działo się na Karaibach i w Ameryce Łacińskiej[16].

To znaczy, zgoda, było trochę dziwne, chociaż niezupełnie bulwersujące. Przyznawanie sobie wymyślnych tytułów stało się niemal normą dla *caudillos* w tym regionie z upadającymi, powstającymi i generalnie tańczącymi mambo imperiami; zachodziły tam ciągłe zmiany i zawsze coś było do wzięcia. Poza tym MacGregor chyba naprawdę dostał jakieś ziemie od króla Jerzego Fryderyka Augusta – który często nadawał włości w zamian za polityczne przysługi i ochronę – chociaż może niezupełnie tak rozległe, jak MacGregor twierdził, i na pewno nie mógłby na nich stworzyć nowego kraju. Co więcej, wskazywanie skrawka ziemi i w oparciu o kruche podstawy prawne twierdzenie „To jest teraz moje”, a następnie przekonywanie podatnych na wpływy ludzi do osiedlenia się tam mimo wysokiego ryzyka śmierci, jest bezsprzecznie oszustwem na ogromną skalę, ale też nie odbiega radykalnie od mechanizmów funkcjonowania znacznej części kolonializmu.

Jeśli niedorzeczny pomysł MacGregora zdołał trafić do przekonania zaskakująco dużej liczbie ludzi, to dlatego, że był w takim samym stopniu odbiciem ówczesnych czasów, jak odstępstwem od normy.

To jednak nie w pełni odpowiada na pytanie, jak do tego doszło – ponieważ nie można powiedzieć, że do twierdzeń MacGregora nie odnoszono się sceptycznie. Rok przed startem planu Poyais ukazała się mściwa biografia Raftera, wyraźnie sygnalizująca czytelnikom, że MacGregor jest aferzystą. Ale dopiero samo przedsięwzięcie, a zwłaszcza reklamująca je książka, wywołało ogromne zdziwienie prasy.

Londyńska „Literary Gazette” z pierwszego lutego 1823 roku zrecenzowała *Sketch of the Mosquito Shore* i miała kilka pytań o pewne

„osobliwości” w opisach: „Jak rzeki mogą płynąć pod górę albo jak mogą być o setki kilometrów dłuższe niż kraj w najszerszym miejscu?”.

„Cała sprawa – kręciła nosem „Literary Gazette” – mocno trąci pirackimi i korsarskimi sprawkami sprzed dwóch stuleci”[17].

Szczególnie brutalny był „Quarterly Review”, wydawnictwo znane z mieszania polityki partii konserwatywnej z literackimi recenzjami o wręcz bezprecedensowej zajadłości. Ich recenzja *Sketch* zamieszczona w wydaniu z października 1822 roku jest, łagodnie mówiąc, mało pochlebna. Ale spoglądając z perspektywy czasu, zaledwie rok wcześniej Percy Bysshe Shelley oskarżał periodyk o poddanie Johna Keatsa krytyce tak surowej, że dosłownie go zabiła[18]. Nawet biorąc pod uwagę podwyższoną wrażliwość poetów doby romantyzmu, wciąż jest to niezłe dokonanie na polu wrednego krytycyzmu, co tym bardziej sugeruje, że kąśliwe uwagi spłynęły po MacGregorze jak woda po gęsi.

W reakcji „Quarterly Review” najbardziej godny uwagi jest nie tylko sceptycyzm. Jasne, recenzent otwarcie nazywa autorów planu spekulantami, sarkastycznie żartuje o krainie, gdzie ziarno wszelkiego rodzaju wyrasta bez siania, gdzie krowy i konie same o siebie dbają i gdzie pieczone świnie biegają z widelcami w grzbietach, krzycząc: „Chodźcie mnie zjeść!”, po czym na zakończenie sugeruje, że „cała sprawa [może być] tylko czymś, co wulgarnie zwane jest szalbierstwem”[19].

Nie, naprawdę interesujące jest to, że anonimowy recenzent dokładnie wie – bo podaje wyjątkowo drobne detale – o czym pisze. Innymi słowy, wie, co w trawie piszczy. I umie czytać mapy. „Musimy ich poinformować (…) że Poyais jest należącą do Hiszpanii osadą szałasów i chałup”, zauważa, po czym na kilku stronach szczegółowo opisuje lokalną sytuację polityczną i naturę rządzących regionem traktatów, z których ani jeden nie potwierdzał roszczeń MacGregora do ziemi. Następnie przepowiada, że

„osadnicy, zakładając, że znajdą się jacyś naiwni głupcy, będą uważani (…) za intruzów i zostaną tak potraktowani”. Kwestionuje nawet istnienie autora książki, kapitana Strangewaysa – a jeśli nawet ten istnieje, nadmienia autor artykułu, to „jego noga nie postała” na Wybrzeżu Moskitów. Na koniec zastanawia się, czy kacyk MacGregor może być tym samym człowiekiem, który kilka lat wcześniej „zaskoczony, dał dyla przez okno z sakiewką w ręce, zostawiając za sobą spodnie”.

Można by pomyśleć, że to powinno nieodwracalnie udupić MacGregora na wszystkich frontach; trudno się podnieść po takich cięgach. A jednak plan Poyais okazał się odporny na krytykę.

Musimy wziąć pod uwagę dwie możliwości. Po pierwsze, wielu osadników nie musiało być entuzjastycznymi subskrybentami „Quarterly Review”, a po drugie, wszyscy zasadniczo naprawdę, ale to naprawdę chcieli, żeby wymysły MacGregora były prawdą.

Wiara jest dość potężną siłą, o czym do dzisiaj wie każdy hochsztapler.

Rozpaczliwe pragnienie uwierzenia w fantazje miało dużą siłę przetrwania. Zdumiewające, lecz mała grupa oszukanych osadników przez długie lata utrzymywała, że MacGregor nie ponosi winy za całą aferę, że wszystkiemu tak naprawdę był winny pułkownik Hall i że MacGregor nigdy w rzeczywistości nie wypowiedział wielu z najbardziej szalonych obietnic. Wina spadła na ludzi obdarzonych zbyt bujną wyobraźnią, takich jak Picken. (Ta obrona naprawdę nie trzymała się kupy, bo nawet jeśli osadnicy liczyli na więcej, niż wciskał im MacGregor, to trudno przeoczyć jego kłamstwa wydane drukiem – jak to, że inwestorzy zyskają prawo do ziemi przez „przedstawienie tytułów własności w urzędzie katastralnym w mieście St Joseph w Poyais”).

Nie tylko ofiary MacGregora rozpaczliwie pragnęły wierzyć w jego przedsięwzięcie. Mimo wszystkich jawnych elementów przekrętu pozostaje

zasadnicze pytanie: Na ile MacGregor był aferzystą, a na ile naprawdę wierzył w swój pomysł? Pytanie jest szczególnie intrygujące, gdy weźmie się pod uwagę, co działo się po tym, jak jego plan został zdemaskowany… i stał się puentą każdego dowcipu w mieście. Otóż MacGregor zachowywał się wówczas, jak gdyby nic się nie stało.

Nie okazał cienia skruchy z powodu śmierci ludzi, którzy mu zaufali – jego jedyną reakcją na opowieści niedoszłych kolonistów po powrocie do kraju było pozwanie „Morning Herald” za zniesławienie, gdy gazeta wydrukowała ich świadectwa. Przegrał proces bez stawiania się przed sądem, ponieważ uciekł do Francji, gdzie natychmiast rozpoczął ponowną próbę sprzedawania planu Poyais.

W roku 1825, niedługo po powrocie nielicznych ocalałych kolonistów do domu, doszło do krachu na londyńskiej giełdzie, gdy pękła bańka Ameryki Łacińskiej, w znacznej mierze z powodu afery Poyais. Zbankrutowało ponad sześćdziesiąt banków, Bank Anglii musiał skorzystać z pomocy Francuzów i skutki krachu dały się odczuć na całej kuli ziemskiej. MacGregor tymczasem przebywał we Francji; pisał tam konstytucję Poyais i werbował nową gromadę osadników. Władze francuskie zwietrzyły, co się święci, gdy otrzymały niezliczoną liczbę próśb o paszporty od ludzi chcących wyjechać do kraju, którego nie było na żadnej mapie. Szkot został aresztowany i oskarżony o oszustwo, lecz sąd go uniewinnił.

Razem wziąwszy, MacGregor próbował realizować plan Poyais jeszcze przez ponad dziesięć lat, długo po tym, jak przepadły wszelkie szanse na to, że przekręt się uda.

Tamar Frankel, profesor wydziału prawa na Uniwersytecie Bostońskim, badała profile oszustów finansowych i wnioski zawarła w książce z 2012 roku, *The Ponzi Scheme Puzzle* (Zagadki piramid finansowych). Niektóre

zidentyfikowane przez nią cechy nie są zaskakujące: naciągaczom brakuje empatii, są narcystyczni, chciwi i sami się usprawiedliwiają. Złapani, wypierają się i robią uniki, obwiniając mniej więcej każdego innego, zamiast przyjąć odpowiedzialność na siebie. Często usprawiedliwiają swoje poczynania, przekonani, że po prostu naśladowali zachowanie innych – wszyscy są nieuczciwi i ofiary same są sobie winne, ponieważ były równie chciwe i zepsute jak oni. „Nie można oszukać uczciwego człowieka”, jak mówi powiedzenie. (Co za bzdura! Absolutnie można! Niektórzy uczciwi ludzie są totalnymi naiwniakami).

To nie wszystko. Poza tym naciągaczy często cechuje coś, co Frankel nazywa „uzależnieniem od nierealnych marzeń i wygórowanych ambicji”[20]; porównując ich umiejętności do aktorskich, sugeruje, że „być może naciągacz gra postać, o jakiej od dawna marzył”[21]. Marzenia MacGregora o stworzeniu całego kraju może były odrobinę bardziej nierealistyczne i katastrofalne w skutkach niż wiele innych… ale podstawy były takie same.

Ta najwyraźniej szczera wiara oszustów w powodzenie planu pomaga wyjaśnić nie tylko ich poczynania; jest również powodem, który sprawia, że ludzie im ufają. „Wiara – pisze Frankel – czyni ich godnymi zaufania”[22].

Dzisiaj, dzięki dziesiątkom lat filmów i programów telewizyjnych, które z radością przedstawiają oszustwo doskonałe, mamy pojęcie, że wszystkie przekręty operują na głęboko zakręconym poziomie złożoności i są pełne nieoczekiwanych zwrotów i podstępów. Może więc warto przypomnieć, skąd pochodzi słowo *con* (kant), dzisiaj pospolite, ale o konkretnym rodowodzie. Początkowo określenie *confidence man* (kanciarz) odnosiło się tylko do jednej osoby: niejakiego Williama Thompsona.

Thompson był cwaniakiem, który działał w Nowym Jorku pod koniec lat czterdziestych dziewiętnastego wieku, a jego przekręt cechowała cudowna prostota. Dobrze ubrany i gładki w obyciu dżentelmen podchodził do nieznajomych na ulicy. Rozpoczynał luźną pogawędkę, po czym zadawał następujące pytanie: „Czy ufa mi pan na tyle, żeby powierzyć mi do jutra swój zegarek?”[23].

Wielu ludzi, zaskoczonych niespodziewaną prośbą, po prostu się godziło, a Thompson dawał nogę z zegarkiem. Genialne!

Thompson jako pierwszy zyskał tytuł *con man*, ale oczywiście kanciarze istnieli od czasu pojawienia się frajerów, czyli od zawsze. Być może pierwszym legendarnym kanciarzem był Tom Bell, który działał w pierwszej połowie osiemnastego wieku. Wyrzucony z Harvardu z powodu „nieprzystojnego zachowania”, wykorzystał swoją wiedzę o bogatej amerykańskiej elicie, żeby przez wiele lat szachrować w całej kolonii, bezlitośnie żerując na założeniu, że osoba w eleganckim ubraniu, roztaczająca aurę przynależności do klasy wyższej, nie może być oszustem. (Równie dobrze mógł być tym facetem, który podszywając się pod nauczyciela, niejakiego Williama Lloyda, wkręcił się do domu Benjamina Franklina, skąd ukradł koszulę z żabotem i chusteczkę. Nie jest to szczególnie pomysłowy numer, ale po prostu zacząłem czuć się trochę niekomfortowo, bo już od jakiegoś czasu nie wspominałem o Franklinie).

Jeśli chcecie poznać przykład naprawdę skomplikowanego przekrętu z dalekosiężnymi konsekwencjami, nic nie przebije pomysłu Jeanne de Valois-Saint-Rémy, „hrabiny de la Motte”, wspinającej się na społeczne wyżyny francuskiej oszustki, która zrobiła dobry użytek z nadanego sobie tytułu i całkowicie zmyślonej przyjaźni z Marią Antoniną, żeby za cudze pieniądze kupić bezcenny naszyjnik z brylantami – plan w pewnym

momencie obejmował wynajęcie prostytutki, by udawała królową podczas spotkania z kardynałem (z którym zresztą Jeanne miała romans).

Jeanne de Valois-Saint-Rémy albo, jak lubiła się nazywać, hrabina de la Motte.

Przekręt prawie się udał – prawie, bo dowiedziała się o nim królowa. Jeanne stanęła przed sądem, została skazana i uwięziona za przestępstwo, ale Marii Antoninie nie wyszło to na dobre; proces skierował uwagę

publiczną na rozrzutność rodziny królewskiej, przemieniając już i tak niekoniecznie popularną królową w królową szalenie niepopularną, co kilka lat później doprowadziło do wybuchu rewolucji francuskiej i ostatecznego spotkania Marii Antoniny z gilotyną.

Podczas gdy wyżej wymienionymi kanciarzami kierowała głównie żądza pieniądza, jednemu z najbardziej fascynujących oszustów wszech czasów przyświecało coś zupełnie innego.

Opowieść zaczyna się jesienią 1951 roku w Edmundston w Kanadzie, kiedy to Mary Cyr podniosła gazetę i z zaskoczeniem przeczytała artykuł o swoim synu Josephie, przedstawionym jako bohater wojenny.

Gazeta relacjonowała, jak Joseph C. Cyr, służący w kanadyjskiej marynarce wojennej podczas wojny koreańskiej, ocalił życie wielu ciężko rannych południowokoreańskich żołnierzy. Podjęto ich z małej łodzi, bliskich śmierci, ale doktor Cyr wszystkich ocalił, przeprowadzając operacje – łącznie z usunięciem kuli, która utkwiła blisko serca – w zaimprowizowanej sali operacyjnej, podczas gdy okręt zmagał się ze sztormem. Kanadyjskie wojskowe biura prasowe, zadowolone, że mają dobre wieści z wojny, dumnie trąbiły o jego bezinteresowności i umiejętnościach.

Dla Mary doniesienie stanowiło sporą niespodziankę, ponieważ była całkiem pewna, że jej syn nie służy w kanadyjskiej marynarce i że prawie na pewno nie ma go w pobliżu wybrzeża Korei. I że właściwie powinien być w przychodni jakieś sześćdziesiąt kilometrów dalej. Uznała, że lepiej sprawdzić.

Może nie powinno dziwić, że Joseph Cyr – miły człowiek, który mając anglojęzyczną matkę i frankofońskiego ojca, biegle władał dwoma językami[24] – miał praktykę lekarską w noszącym dwujęzyczną nazwę miasteczku Grand Falls/Grand-Sault w Nowym Brunszwiku, leżącym o rzut

kamieniem od granicy Kanady ze stanem Maine. I że właśnie tam był, w spokoju ducha pilnując interesu, gdy odebrał telefon i usłyszał pytanie, czy przebywa na okręcie w Korei.

W pierwszym odruchu chciał zbagatelizować incydent, przekonany, że po prostu ktoś nosi takie samo nazwisko, ale szybko okazało się, że jest jedynym doktorem Josephem C. Cyrem w Kanadzie. Wówczas przypomniał sobie, że poprzedniej zimy zaginęło kilka jego medycznych dyplomów i innych dokumentów. I gdy się później nad tym zastanowił, zrozumiał, kto je świsnął – brat John, miejscowy mnich, z którym zaprzyjaźnił się na krótko przed jego tajemniczym zniknięciem.

Brat John oczywiście nie był bratem Johnem. Nie był też biologiem i onkologiem, doktorem Cecilem B. Hamannem, za którego podawał się przed powrotem na łono Kościoła. Nie był również doktorem Robertem Lintonem Frenchem, wykształconym w Stanfordzie psychologiem, za którego się podawał, zanim został doktorem Hamannem i doktorem Cyrem.

Brat John w rzeczywistości był Amerykaninem, nazywał się Ferdinand Waldo Demara i szybko został unieśmiertelniony jako „wielki oszust”. Demara wybija się z szeregów legendarnych oszustów dzięki temu, że nieszczególnie kierowały nim względy finansowe. To znaczy, jasne, fałszował czeki i nadużywał funduszy reprezentacyjnych, ale nigdy nie wykorzystał swoich niewątpliwych umiejętności do uganiania się za wielkim bogactwem albo prowadzenia życia na wysokiej stopie. Miał talent do inżynierii społecznej i potrafił nakłaniać urzędników do wydawania mu dokumentów tożsamości, a także przekonywać ludzi ze wszystkich środowisk, żeby powierzali mu odpowiedzialne stanowiska – taki talent mógłby wykorzystywać w strasznych celach, lecz prawie zawsze używał go do wkręcania się na całkowicie prawe i mało dochodowe posady w służbie publicznej. W ciągu długiej kariery był lekarzem, zastępcą szeryfa,

studentem prawa, strażnikiem więziennym, wiele razy nauczycielem i całą gamą zakonników, a przy tym założył wydział filozofii i uniwersytet.

Demara nie oszukiwał ludzi dla pieniędzy. Oszukiwał ludzi, żeby zyskać szacunek… ich i może też własny.

Co więcej, był nie tylko dobry w załatwianiu sobie posad; często okazywał się zaskakująco kompetentny w danym fachu. Błyskawicznie się uczył i miał cholernie dobrą pamięć fotograficzną. Jako doktor French zdołał przekonać katolickie kolegium w Pensylwanii, żeby mianowało go dziekanem nowego wydziału filozofii, a w innej szkole katolickiej wykładał ten przedmiot. (Jego tajemnica, jak twierdził, polegała na przygotowywaniu się tuż przed zajęciami – „najlepszym sposobem nauczenia się czegokolwiek jest uczenie tego innych”[25]). Jako Cecil B. Hamann / brat John, nie mając gdzie nauczać podczas nowicjatu w Instytucie Braci Chrześcijańskiego Nauczania, nakłonił zakonników i lokalne władze do założenia prywatnego uniwersytetu – i prysnął, gdy uczelni nadano nazwę, która mu się nie podobała (założony przez niego uniwersytet istnieje do dzisiaj w Ohio jako Walsh University). I oczywiście była też cudowna praca, polegająca na ratowaniu życia na pokładzie HMCS *Cayuga*, gdzie jako doktor Cyr krótko przed rozpoczęciem operacji wymknął się do swojej kajuty i przeczytał podręcznik chirurgii.

Tego rodzaju niezwykły talent służyłby mu doskonale pod jego własnym nazwiskiem – a nawet uczyniłby go sławnym – tyle że Demara chyba nigdy nie czuł się dobrze sam ze sobą. Próbował znaleźć swoje miejsce w świecie i stawanie się kimś innym – zwłaszcza kimś z kwalifikacjami, jakich mu brakowało – oferowało ścieżkę na skróty i oszczędzało mu nudy i frustracji związanych z podążaniem utartym szlakiem.

Trudno mu się było ustatkować, nigdy nie był całkowicie pewien, którym z licznych wcieleń naprawdę chciał być. Wielokrotnie wracał do nauczania; kilka razy pod różnymi nazwiskami zaciągał się do wojska (i uciekał). Wysiłki Demary, by przyjąć święcenia zakonne, pod własnym nazwiskiem i pod wieloma fałszywymi, wydają się przynajmniej częściowo oparte na szczerym pragnieniu rozwoju duchowego. Jego poszukiwanie sensu powołania przypomina ukazane w krzywym zwierciadle rozterki ludzi po dwudziestce, którzy imają się tego i owego, gdy próbują zrozumieć, kim są (do młodszych czytelników: można tak było robić przed krachem w 2008 roku i było super!).

Po zdemaskowaniu w roku 1951, kiedy się okazało, że nie jest Josephem Cyrem, sprawa stała się sensacją w całej Ameryce Północnej. Rok później Demara udzielił długiego wywiadu czasopismu „Life", opowiadając swoją (całkiem możliwe, że niezupełnie zgodną z prawdą) wersję historii, i na koniec wyraził pragnienie, że chciałby wreszcie po prostu być sobą.

To samo powtórzył w 1956 roku, kiedy aresztowano go w Teksasie, gdzie jako Benjamin W. Jones pracował w zakładzie karnym na stanowisku strażnika – jeden z więźniów rozpoznał go ze zdjęcia w starym numerze magazynu „Life"[26]. Demara przez kilka miesięcy realizował plan ustatkowania się i wiódł życie jako zwykły Ferdinand, po czym nagle został Martinem Godgartem, nauczycielem w cierpiącej na braki kadrowe szkole na dalekiej wyspie stanu Maine. Po aresztowaniu opowiedział swoją historię pisarzowi Robertowi Crichtonowi i obiecał, że w końcu wróci do uczciwego życia. Jakiś czas później znów był Godgartem; tym razem uczył eskimoskie dzieci na przylądku Barrow, najdalej wysuniętym na północ miejscu Stanów Zjednoczonych – najodleglejszym, jakie można sobie wyobrazić, jakby próbował fizycznie uciec od przeszłości. Układało mu się

nadzwyczaj dobrze, dopóki znów nie został rozpoznany ze zdjęcia w „Life”, tym razem przez trapera. Później próbował zostać inżynierem budowy mostów w Meksyku i naczelnikiem więzienia na Kubie, ale bez większych rezultatów.

Crichton przeobraził jego opowieść w bestsellerową biografię *The Great Impostor* (Wielki oszust), która stała się kanwą lekkiej komedii z Tonym Curtisem w roli głównej. Demara nie był tym dziełem zachwycony i narzekał, że film mocno rozmija się z prawdą.

W tym czasie zyskał już taki rozgłos, że nie mógł dłużej podawać się za kogoś innego. Od roku 1960, złapany w pułapkę sławy, był zmuszony żyć w więzieniu, jakie stanowiła dla niego jego własna osoba. W końcu przyjął święcenia zakonne i został pastorem – tym razem pod prawdziwym nazwiskiem – i przez dwadzieścia lat wiódł dobre, szlachetne życie w pełnym miłości otoczeniu jako Ferdinand Waldo Demara. Kiedy zmarł w 1982 roku, jego lekarz powiedział Associated Press: „Chyba nigdy nie znałem bardziej nieszczęśliwego, smutnego człowieka”[27].

Demara zmieniał tożsamość jak rękawiczki i z powodzeniem uzyskiwał odpowiedzialne stanowiska, ponieważ umiał wykorzystać strukturalne cechy ówczesnego amerykańskiego społeczeństwa. Drogę ułatwiała mu lawina listów polecających (wszystkich napisanych dla osoby, w którą akurat się wcielał) od biskupów i innych notabli, którzy przyjmowali słowa Demary na wiarę i potwierdzali jego tożsamość. Przyparty do muru, wiedział, za jakie sznurki pociągnąć, żeby umocnić swoją pozycję. Jak Crichton ujął to w swojej książce, Demara wychodził z założenia, że „w każdej organizacji zawsze są wakaty, które można objąć, nikogo do siebie nie zrażając”[28]. Szczerze mówiąc, te słowa pasują zarówno do biografii hochsztaplera, jak i do poradnika dla pracowników korporacji, pragnących posuwać się naprzód w świecie biznesu.

Dobrzy oszuści adaptują się do kultury, w której funkcjonują, a właściwie są jej tworami. Demara znalazł luki w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych lat pięćdziesiątych, a Władimir Gromow zrobił to samo w latach dwudziestych i trzydziestych w Związku Radzieckim.

Stalinowski Związek Radziecki może na pierwszy rzut oka nie wygląda na idealne miejsce dla hochsztaplera i gdyby mierzyć Gromowa taką błahą miarką jak to, że w wieku trzydziestu sześciu lat został skazany na śmierć, faktycznie można by uznać, że powinien być mądrzejszy i znaleźć sobie inny fach. Z drugiej strony, oceniany przez pryzmat tego, co zrobił, żeby zasłużyć na wyrok śmierci złagodzony dzięki wysłanej zastępcy prokuratora generalnego ZSRR sztuce o miłości bolszewika i dwa razy młodszej pięknej kapitalistki, wypada znacznie lepiej.

Gdy tylko Gromow się połapał, że klimat strachu w połączeniu z nadmiernie rozbudowaną biurokracją i ideologiczną sztywnością wczesnych lat stalinowskich dojrzał do tego, żeby wyciągnąć z niego jakieś korzyści, postanowił przystąpić do działania. Występował w wielu różnorodnych wcieleniach; podając się za doświadczonego inżyniera albo uznanego architekta, dorobił się małej fortuny.

Zdawał sobie sprawę, że sowiecka machina biurokratyczna z powodu niedającego się zaspokoić głodu dokumentów ma bardzo małą zdolność do ich weryfikowania. Dlatego zamiast działać po kryjomu, postawił na lawinowe zasypywanie systemu kradzionymi albo podrabianymi dokumentami, żeby dzięki temu przeskakiwać z jednego stanowiska na drugie. Wszelkie pytania odpierał odwoływaniem się do bolszewickiego dogmatu i kiedy już kogoś do siebie przekonał, wykorzystywał onieśmielającą siłę statusu tej osoby, by mieć pewność, że nikt inny o nic go nie zapyta – idealne sprzężenie zwrotne ściemy, wzmocnione przez bardzo autorytarną kulturę nastawioną na dławienie wykroczeń. Jak pisał

historyk Golfo Alexopoulos, Gromow „nie unikał władz, tylko bombardował je fałszywymi dokumentami zatrudnienia, prośbami o pieniądze i towar, a także złośliwymi donosami”[29].

Jego standardowy *modus operandi* polegał na tym, że legitymując się podrobionymi dokumentami, załatwiał sobie fałszywe referencje i wykorzystywał je do tego, żeby powierzono mu jakieś prominentne stanowisko w przemyśle państwowym – najlepiej gdzieś w głębi radzieckiego imperium. Oczywiście potrzebował zaliczek i pieniędzy na podróże. Gdy w kopalni węgla we Władywostoku połapano się, że ich naczelny inżynier nigdy się nie zjawi, Gromow był już gdzieś indziej w zupełnie nowej „pracy”.

Jego koronnym dokonaniem było objęcie stanowiska inżyniera architekta w nowej fabryce konserw rybnych w pobliżu granicy kazachsko-chińskiej. Może taka posada nie sprawia wrażenia najbardziej prestiżowej pod słońcem, ale w Związku Radzieckim lat trzydziestych była naprawdę ważna. Tak bardzo, że Gromowowi udało się nakłonić komisarza zaopatrzenia, Anastasa Mikojana, żeby mu przysłał ogromną sumę miliona rubli; zdołał tego dokonać, stosując chytrą sztuczkę, która polegała na wystąpieniu o dwa miliony (dla porównania, przeciętne roczne zarobki w owym czasie wynosiły nieco ponad tysiąc pięćset rubli)[30].

Kazachska fabryka była szczytem kariery Gromowa, ale, pechowo dla niego, również początkiem końca. Popełnił klasyczny błąd, porzucając sprawdzoną i godną zaufania metodę polegającą na kablowaniu na każdego, kto zaczynał go podejrzewać. Tym razem uznał, że mocno siedzi w siodle, i postanowił zostać, w pełni przyjmując fałszywą tożsamość inżyniera architekta. Przypuszczalnie, jak Demara, po prostu chciał zapuścić korzenie i zostać osobą, którą udawał. Może władza i pieniądze uderzyły mu do głowy. Alexopoulos sugeruje, że „być może Gromow w 1934 roku przestał

być oszustem nie dlatego, że internalizował albo uwierzył w swoje własne życie, ale dlatego, że zaczął postrzegać ludzi otaczających go na ogromnym projekcie budowlanym Gławryba jako zasadniczo nieróżniących się od niego”[31]. Innymi słowy, skoro wszyscy inni kantowali, dlaczego on miałby tego nie robić?

Niestety, jego pragnienie ustatkowania się nie mogło przetrwać zderzenia z brutalną rzeczywistością, ponieważ naprawdę nie miał zbyt wielu umiejętności w dziedzinie inżynierii, architektury czy puszkowania ryb. Jego taktyka denuncjowania jako wroga stalinizmu każdego, kto miał co do niego wątpliwości, była skuteczna tylko wtedy, gdy znajdował się w ciągłym ruchu. Zbyt długi pobyt w jednym miejscu oznaczał, że liczba ludzi mających do niego urazę przekroczyła masę krytyczną.

Ale nawet po aresztowaniu i skazaniu na śmierć udało mu się wywinąć, po raz ostatni, gdy wlał energię twórczą, która napędzała produkcję zamówień, faktur i telegramów, w bardziej tradycyjną postać fikcji.

Napisana przez niego w więzieniu sztuka, *Miłość i ojczyzna*, zdecydowanie nie była dobra. Gdy prokuratorzy przekazali ją szefowi związku dramaturgów, żeby dokonał profesjonalnej oceny talentu literackiego Gromowa, otrzymała taką recenzję, że każdy autor byłby zdruzgotany, nie mówiąc o kimś, kto miał nadzieję, że ten rękopis ocali go przed egzekucją. Związkowiec napisał, że „umiejętność dramatopisarska jest skrajnie niska” i że „dzieło nie ma żadnej wartości ideologicznej ani artystycznej i pod każdym względem jest nie do zaakceptowania”[32]. Chyba można śmiało powiedzieć, że John Keats nie poradziłby sobie po takiej recenzji.

A jednak, cudem, pomysł zadziałał. Wyrok śmierci został złagodzony do dziesięciu lat katorgi. Do dziś wciąż nie jest jasne, co przekonało wysokiego rangą radzieckiego urzędnika, żeby oszczędzić Gromowa

z powodu sztuki przedstawiającej wysokiego rangą radzieckiego urzędnika jako przystojnego bohatera, który bzyka seksowną dwudziestotrzyletnią paryżankę i nawraca ją na socjalizm dzięki sile swojego ideologicznego i seksualnego magnetyzmu. Cóż, przypuszczam, że jest to jedna z tych intrygujących zagadek historycznych, których nigdy nie rozwikłamy.

Jeśli ta umiejętność znajdowania luk w społeczeństwie i ich bezwzględnego wykorzystywania jest cechą wielkiego oszusta, to gwiazda naszej ostatniej opowieści wyróżnia się jako jedna z największych w panteonie.

Może Gregor MacGregor był hochsztaplerem działającym na największej scenie, ale oto opowieść o kobiecie, która dorównywała mu pod względem ambicji i tupetu, chociaż jej scena była znacznie mniejsza. Podczas gdy przekręt MacGregora wymagał wymyślenia całego kraju, ten uknuty przez Thérèse Humbert obracał się wokół zawartości jednego zamkniętego sejfu – prostego rekwizytu, który wiejskiej dziewczynie bez grosza przy duszy, ale za to obdarzonej bujną wyobraźnią zagwarantował dwadzieścia lat luksusowego życia w czasach paryskiej *belle époque*.

Sejf, jak powiadano, zawierał obligacje wartości około stu milionów franków, zapisane Thérèse Humbert przez tajemniczego amerykańskiego dżentelmena, Roberta Henry’ego Crawforda, któremu kilka lat wcześniej uratowała życie, gdy dostał ataku serca w pociągu. Wdzięczny Crawford przyrzekł ją hojnie nagrodzić – obietnicę zawarł w testamencie, który zmienił krótko przed śmiercią, żeby mogła odziedziczyć większą część jego ogromnej fortuny.

Powołując się na rychły spadek, Thérèse bez przeszkód pożyczała pieniądze, a pożyczkodawcy radośnie czekali na należne im ogromne odsetki. Nie był to skomplikowany przekręt, po prostu stary numer z „czekiem, który jest na poczcie”. I oczywiście taka sztuczka działa tylko

przez ograniczony czas – ponieważ w końcu listonosz przychodzi z pustymi rękami.

Thérèse Humbert wiedziała o tym doskonale, ponieważ miała za sobą długą historię wymyślania zamożnych dobroczyńców. Już w dzieciństwie granica między jej prawdziwym życiem i tym wyimaginowanym była zatarta, a może nawet nie istniała. Duży wpływ wywarł na nią ojciec, Auguste Daurignac, ekscentryczny i nieco żałosny marzyciel, który wierzył, że pochodzi z arystokratycznego rodu. Przez ostatnie lata życia utrzymywał, że umie czarować, i wpadł w spiralę długów, zapewniając kolejnych wierzycieli, że ma w starym kufrze dokumenty świadczące o należnym mu wielkim spadku.

Mając oderwanego od rzeczywistości ojca, zmuszona samodzielnie prowadzić gospodarstwo domowe, Thérèse Daurignac przekształciła jego fantazje w praktyczne, jakkolwiek tymczasowe źródło dochodu. Urocza i prostoduszna, zaciągała długi dosłownie u wszystkich handlarzy w okolicach Tuluzy, za każdym razem obiecując, że je spłaci, gdy tylko dostanie wyimaginowany spadek albo poślubi potomka bogatej rodziny armatorów. Jej biografka Hilary Spurling pisze: „Thérèse przez całe życie traktowała pieniądze jak iluzję: coś, co można wyłudzić albo zdobyć za pomocą magicznej sztuczki, którą trzeba opanować”[33].

Jak było do przewidzenia, ten szczególny numer przestał działać i Daurignacowie, zadłużeni po uszy, zostali wyeksmitowani. Wkrótce jednak wrócili do gry, znów dzięki szalonej wyobraźni Thérèse. Tym razem była to jedna z jej najdłużej trwających fantazji: wymyśliła Château de Marcotte, wspaniały dwór daleko na wybrzeżu, gdzie od dawna pragnęła zamieszkać.

Thérèse Humbert.

Château de Marcotte, rzecz jasna, nie istniał, ale to jej nie powstrzymało od mówienia o nim tak, jakby był najprawdziwszy pod słońcem. „Kłamała jak z nut”, powiedziała później jej znajoma[34]. Potrafiła opisywać luksusową rezydencję z marmurowymi podłogami i pięknymi ogrodami tak przekonująco, że uwierzyło jej mnóstwo ludzi. Był wśród nich jej przyszły teść, Gustave Humbert, senator i wschodząca gwiazda francuskiej polityki. Humbert nie tylko zgodził się na jej małżeństwo ze swoim synem Frédérikiem, ale też dał zielone światło córce, Alice, na zawarcie związku z bratem Thérèse, Emile’em, zorganizowano więc podwójny ślub. Może się

wydawać trochę zagadkowe, dlaczego ambitny (chociaż nie zamożny) polityk postanowił związać swoją rodzinę z gromadą dziwacznych ubogich nieudaczników, dopóki nie uwzględni się wabika w postaci wielkiego domu na wsi.

Aha, poza tym nowożeńcy byli kuzynostwem. Żona Humberta była ciotką Thérèse. To taki mały dodatkowy szczegół.

Z nowymi politycznymi koneksjami Thérèse natychmiast wróciła do gry i z pomocą senatora szybko zajęła się pożyczaniem pieniędzy, podpierając się swoim fikcyjnym *château*, a także równie fikcyjną plantacją dębu korkowego w Portugalii. Niebawem przestało jej to wystarczać i tak oto w 1883 roku na scenę wkroczył Robert Henry Crowford ze swoim wartym sto milionów franków testamentem. Pieniądze, które pożyczyła na poczet obiecanego spadku, prawdopodobnie wystarczyłyby Humbertom na kilka lat dostatniego życia, a mimo to (całkiem możliwe, że we współpracy z mężem i teściem) Thérèse postanowiła wykonać swój mistrzowski ruch.

Jeśli brytyjską słabością wykorzystaną przez MacGregora była skłonność do kolonialnych fantazji, amerykańską, wykorzystaną przez Demarę, był szacunek do referencji i beztroskie przydzielanie odpowiedzialnych stanowisk, sowiecką z kolei, wykorzystaną przez Gromowa, okazały się opresyjna ideologia i biurokracja, to francuską słabością, którą wykorzystała Humbert, był koszmarny system prawny. Ówczesna francuska machina sądownicza słynęła z wolnego, zgrzytliwego sposobu działania i tylko powierzchownego związku z pojęciem sprawiedliwości. W tym kontekście Thérèse obmyśliła plan przedłużenia życia swojemu oszustwu – tak prosty i jednocześnie przebiegły, że jestem pełen szczerego podziwu.

Pozwała samą siebie.

Albo, ściślej rzecz biorąc, wymyśliła dwóch amerykańskich bratanków fikcyjnego amerykańskiego dobroczyńcy, żeby mogli ją pozwać, próbując obalić testament. Celem nie była niczyja wygrana, najważniejsze było to, żeby nikomu nie pozwolono wygrać; po każdym werdykcie któraś ze stron wnosiła apelację i proces ciągnął się dalej w tempie najwolniejszym z możliwych. Bracia Crawfordowie nawet nie musieli pojawiać się w sądzie – wystarczyło, że listownie zza oceanu instruowali kilku najlepszych paryskich prawników. W procesie liczyło się tylko jedno, mianowicie przeciąganie go w nieskończoność, żeby Thérèse nie weszła w posiadanie spadku, od którego zdobycia dzielił ją mały krok, i dzięki temu mogła nadal pożyczać ogromne sumy pieniędzy od tłoczących się wokół niej chętnych pożyczkodawców.

I przez cały ten czas na mocy decyzji sądu dokumenty spoczywały w sejfie, bezpiecznie zamknięte i przez nikogo nieoglądane.

Humbertom udało się ciągnąć tę szopkę przez dwadzieścia cudownych lat: dwadzieścia lat ekstrawaganckiego życia w Paryżu, w czasach gdy poprzeczka ekstrawaganckiego paryskiego życia była ustawiona naprawdę bardzo wysoko. Thérèse i jej mąż zajmowali jeden z najbardziej luksusowych apartamentów przy avenue de la Grande-Armée, urządzane przez nich przyjęcia były owiane legendą i uczestniczyli w nich wszyscy najwięksi ludzie epoki, od aktorki Sarah Bernhardt po prezydenta republiki. Thérèse, naiwna wiejska dziewczyna ze zubożałej rodziny, była jedną z najbardziej wpływowych kobiet we Francji.

A jeśli od czasu do czasu któryś z wierzycieli niepokoił się o zwrot pieniędzy i zaczynał groźnie pomrukiwać, to… cóż… większość wpływowych osób, do których mógł się zwrócić o pomoc, bawiła się na przyjęciach Thérèse.

Plan runął gwałtownie z powodu prostego potknięcia zupełnie nie w jej stylu: poproszona o podanie adresu braci Crawfordów w Nowym Jorku, najzwyczajniej go zmyśliła. Może uznała, że sprawdzenie, czy pod numerem 1302 na Broadwayu mieszka ktoś o nazwisku Crawford, wymagałoby zbyt wiele zachodu, ale skoro w grę wchodziły miliony franków i coraz bardziej zdenerwowana armia wierzycieli, bariera wysiłku nagle się obniżyła. Sąd wreszcie nabrał podejrzeń i polecił sprawdzić testament.

I tak oto dziewiątego maja 1902 roku na avenue de la Grande-Armée zgromadził się dziesięciotysięczny tłum śledzący opuszczanie i otwieranie słynnego sejfu z apartamentu Humbertów. Nie mając klucza, ślusarze rozwalili drzwiczki młotkami. Ludzie z niecierpliwością zajrzeli do środka, mając nadzieję, że w końcu zobaczą ukryte wewnątrz bogactwa.

Byli niemało zaskoczeni, gdy okazało się, że w sejfie są „stara gazeta, włoska moneta i guzik od spodni”[35].

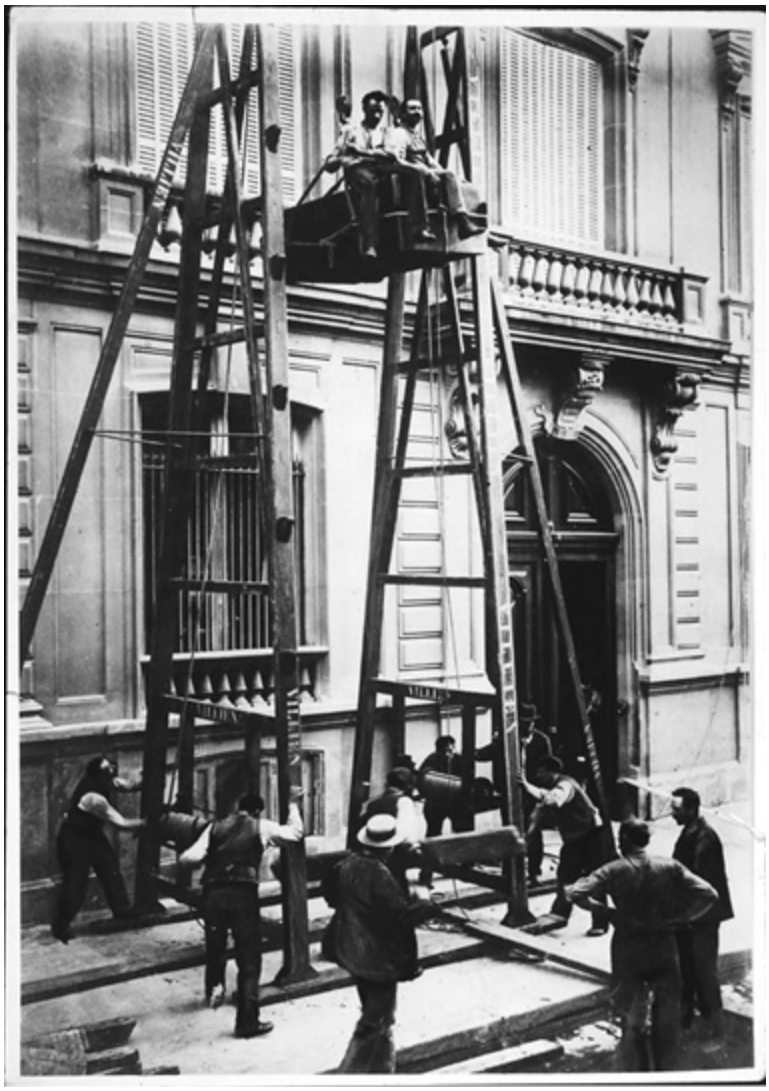

Słynny sejf opuszczany z domu Thérèse.

Thérèse Humbert udało się zamienić tę gazetę, monetę i guzik w dziesięciolecia luksusowego życia po prostu dzięki temu, że miała wrodzoną smykałkę do wykorzystywania słabości ludzi i stworzonego przez nich systemu społecznego.

Jak ujęła to jej przyjaciółka, pisząca anonimowo pod superksywką Madame X:

Tym, co przede wszystkim świadczy o geniuszu Thérèse, jest wielkość, czysty ogrom skali jej działania. Gdyby twierdziła, że ma odziedziczyć nie więcej niż cztery czy sześć milionów, nie przetrwałaby dwóch lat i z trudem zdołałaby pożyczyć żałosne kilka tysięcy franków. Ale sto milionów! Słysząc o takiej kwocie, ludzie zdejmowali kapelusze, jak przed piramidą Cheopsa, i podziw zaćmiewał im zdrowy rozsądek[36].

---

* Od autora: Jeśli chcesz przeczytać więcej o aferze Darien, znajdziesz poświęcony jej obszerny rozdział w mojej poprzedniej książce, *Ludzie. Krótka historia o tym, jak spieprzyliśmy wszystko*.

[1] *The king of con-men*, „The Economist", 22 grudnia 2012, dosttępne na https://www.economist.com/christmas-specials/2012/12/22/the-king-of-con-men.

[2] *On the first day March, 1822, the price will be advanced One Shilling and Sixpence per Acre, and in the same proportion every three months hereafter – North America*, „Perthshire Courier", 20 grudnia 1821.

[3] „The Times", 12 lipca 1822.

[4] Strangeways Thomas, *Sketch of the Mosquito Shore, Including the Territory of Poyais*, 1822.

[5] Conzemius Eduard, *Ethnographical survey of the Miskito and Sumu Indians of Honduras and Nicaragua*, „Bureau of American Ethnology Bulletin", 1932, cytowane w: von Hagen V. Wolfgang, *The Mosquito Coast of Honduras and Its Inhabitants*, „Geographical Review", tom 30, nr 2, 1940.

[6] Porównaj mapę w: *Sketch of the Mosquito Coast* z mapami współczesnymi i tą w: von Hagen V. Wolfgang, *The Mosquito Coast of Honduras and Its Inhabitants*, „Geographical Review", tom 30, nr 2, 1940.

[7] *Laguna de Ibans*, Lonely Planet, dostępne na https://www.lonelyplanet.com/honduras/laguna-de-ibans.

[8] „Manchester Guardian”, 25 października 1823, wznowione jako *Settlers duped into believing in ‘land flowing with milk and honey’*, „The Guardian”, 25 października 2013, dostępne na https://www.theguardian.com/theguardian/2013/oct/25/gregor-macgregor-poyais-settlers-scam.

[9] Rafter Michael, *Memoirs of Gregor M’Gregor: Comprising a Sketch of the Revolution in New Grenada and Venezuela*, J.J. Stockdale, 1820.

[10] Brown Matthew, *Inca, Sailor, Soldier, King: Gregor MacGregor and the Early Nineteenth-Century Caribbean*, „Bulletin of Latin American Research”, tom 24, nr 1, 2005.

[11] Rafter Michael, *Memoirs of Gregor M’Gregor: Comprising a Sketch of the Revolution in New Grenada and Venezuela*, J. J. Stockdale, 1820.

[12] Tamże.

[13] Weatherhead W.D., *An Account of the Late Expedition Against the Isthmus of Darien Under the Command of Sir Gregor M’Gregor*, Longman, Hurst, Rees, Orme and Brown, 1821.

[14] „Jamaica Gazette”, 17 lipca 1819, cytowane w: *Brown Matthew, Inca, Sailor, Soldier, King: Gregor MacGregor and the Early Nineteenth-Century Caribbean*, „Bulletin of Latin American Research”, tom 24, nr 1, 2005.

[15] Rafter Michael, *Memoirs of Gregor M’Gregor: Comprising a Sketch of the Revolution in New Grenada and Venezuela*, J.J. Stockdale, 1820.

[16] Więcej na ten temat w: Brown Matthew, *Inca, Sailor, Soldier, King: Gregor MacGregor and the Early Nineteenth-Century Caribbean*, „Bulletin of Latin American Research”, tom 24, nr 1, 2005.

[17] „London Literary Gazette and Journal of Belles Lettres, Arts, Sciences, Etc.”, nr 315, 1 lutego 1823.

[18] Prawdopodobnie warto zacytować obszernie: „Miażdżąca krytyka jego *Endymiona*, która ukazała się w »Quarterly Review«, wywarła gwałtowny wpływ na jego wrażliwy umysł; spowodowane tym wzburzenie zakończyło się pęknięciem naczynia krwionośnego w płucach; szybko wynikła gruźlica i późniejsze wyrazy uznania ze strony uczciwszych recenzentów nie zdołały uleczyć rany zadanej bez żadnych skrupułów”. Shelley Percy B., wstęp do: *Adonais: An Elegy on the Death of John Keats, Author of Endymion, Hyperion, etc.*, 1821.

[19] *Art. VIII*, „Quarterly Review”, tom XXVIII, październik 1822 i styczeń 1823.

[20] Frankel Tamar, *The Ponzi Scheme Puzzle*, Oxford University Press, 2012.

[21] Tamże.

[22] Tamże.

[23] Konnikova Maria, *The Confdence Game: The Psychology of the Con and Why We Fall for It Every Time*, Canongate Books, 2016.

[24] Kerenyi Norbert, *Stories of a Survivor*, Xlibris, 2011.

[25] McCarthy Joe, *The Master Impostor: An Incredible Tale*, „Life”, 28 stycznia 1952.

[26] *„Master Impostor” Now May Try to Be Just Himself*, „Minneapolis Sunday Tribune”, 8 stycznia 1956.

[27] Associated Press, *Ferdinand Waldo Demara, 60, An Impostor In Varied Fields*, „New York Times”, 9 czerwca 1982.

[28] Crichton Robert, *The Great Impostor*, Random House, 1959.

[29] Alexopoulos Golfo, *Portrait of a Con Artist as a Soviet Man*, „Slavic Review”, tom 57, nr 4, zima 1998.

[30] Zaleski Eugene, *Stalinist Planning for Economic Growth, 1933–1952*, University of North Carolina Press, 1980, cytowane w: Alexopoulos Golfo, *Portrait of a Con Artist as a Soviet Man*, „Slavic Review”, tom 57, nr 4, zima 1998.

[31] Alexopoulos Golfo, *Portrait of a Con Artist as a Soviet Man*, „Slavic Review”, tom 57, nr 4, zima 1998.

[32] Tamże.

[33] Spurling Hilary, *La Grande Thérèse, The Greatest Swindle of the Century*, Profile Books, 2000.

[34] Cytowane w: Spurling Hilary, *La Grande Thérèse, The Greatest Swindle of the Century*, Profile Books, 2000.

[35] Martin Benjamin F., *The Hypocrisy of Justice in the Belle Epoque*, Louisiana State University Press, 1984.

[36] Cytowane w: Spurling Hilary, *La Grande Thérèse, The Greatest Swindle of the Century*, Profile Books, 2000.

6

Kłamstwo w państwie

Jeśli jest coś, co wszyscy wiedzą o politykach, to na pewno to, że kłamią. Kłamią w poważnych sprawach, kłamią w błahych sprawach i we wszystkich pomiędzy. W rankingach zawodów cieszących się największym i najmniejszym zaufaniem politycy regularnie plasują się na samym dole, poniżej agentów nieruchomości i nawet – Boże uchowaj – dziennikarzy. Jak w kawale z długą brodą: Po czym poznać, że polityk kłamie? Po tym, że porusza ustami.

Jest jednak pewien problem: Większość polityków wcale nie kłamie tak bardzo, jak myślicie! Wiem, może zabrzmi to trochę niewiarygodnie, zwłaszcza biorąc pod uwagę [tu machnięcie ręką w stronę współczesnego świata] ostatnie wydarzenia, ale musicie mi uwierzyć, bo na poważnie zajmuję się weryfikowaniem tego, co mówią politycy. Kłamstwa naprawdę stanowią znacznie mniejszą część ich codziennych obowiązków, niż wynika to ze stereotypów, w które chcielibyście wierzyć.

Nie powiem, żeby politycy (i w ogóle nasi przywódcy czy wręcz cały aparat państwowy) byli szlachetnymi, prawymi i absolutnie godnymi zaufania osobnikami, bezinteresownie oddanymi prawdzie mówionej w każdych okolicznościach.

Nie… to byłby kompletny absurd, chociaż może nie bardziej mylny niż przekonanie, że politycy są niczym więcej, jak tylko gniazdem wijących się żmij wiecznego oszustwa. Do czego zmierzam? Do tego mianowicie, że jeśli myślicie, że polityka jest niczym więcej, jak tylko biznesem polegającym na mówieniu najbardziej przekonujących kłamstw, to macie wypaczony obraz tego, jak się nami rządzi.

Nasi przywódcy kłamią, oczywiście. Jak w przypadku ogółu populacji, notorycznie kłamie niewielki odsetek polityków – kłamstwa są dla nich bardziej pierwszą deską ratunku niż ostatecznym rozpaczliwym odwrotem i ich kłamanie często bawi. Prawdopodobnie każdy może bez zastanowienia wymienić więcej niż kilku polityków zaliczających się do powyższej kategorii (wybór prawdopodobnie będzie uzależniony od preferencji politycznych).

W rzeczywistości większość z nich kłamie tylko od czasu do czasu, jeśli w ogóle, i kiedy to robią, to często z takich samych głupich, prozaicznych powodów jak my wszyscy: żeby uwolnić się od niezręcznej rozmowy, zamaskować fakt, że w zasadzie improwizujemy w pracy, albo ukryć uprawianie seksu z kimś, kto – obojętnie z jakiego powodu – nie chce, żeby uprawianie z nim seksu stało się publicznie znane.

Sformułowanie „to nie przestępstwo, to tuszowanie” zyskało status truizmu, ponieważ całkiem często przyczyną upadku polityków są kłamstwa, które mają na celu ukrycie tego, co, łagodnie mówiąc, jest odrobinę żenujące (to powiedzenie wywodzi się z afery Watergate, w której – o czym za jakiś czas krótko wspomnę – na pewno w grę wchodziło tuszowanie, ale poza tym cała fura przestępstw).

Więc dlaczego w naszych umysłach kłamstwo i polityka są tak nierozerwalnie połączone? Problem jest dwojakiej natury. Po pierwsze, polityka niekoniecznie przyciąga wyższy odsetek notorycznych kłamców niż inne zawody (jestem świadom, że na ten temat nie ma żadnych badań – ktoś powinien je przeprowadzić), ale na pewno tym, którzy mają skłonności do kłamania, oferuje doskonałą okazję do robienia tego w ekstremalnie publiczny sposób. Coś takiego byłoby niemożliwe, gdyby pracowali, powiedzmy, w małej firmie logistycznej w rolniczej Kumbrii.

Polityk codziennie ma okazję, żeby skłamać mniej więcej sześć razy przed śniadaniem – i, co ważniejsze, jego kłamstwa trafiają na podatny grunt i znajdują chętnych słuchaczy. Zawsze jest ktoś, kto chce usłyszeć podnoszącą na duchu albo doprowadzającą do szału nieprawdę: że wchodzimy w cudowną nową epokę, że inni są sprawcami naszych problemów, że świat wcale nie jest skomplikowany i szary, tylko prosty i monochromatyczny (i jeśli myślisz, że to zdanie dotyczy innych ludzi, a nie ciebie, to prawdopodobnie chodzi właśnie o ciebie).

Po drugie, jeśli kłamiesz, gdy jesteś głową państwa, to radykalnie komplikuje sprawę.

Przede wszystkim oznacza to, że w tych marginalnych decyzjach, które człowiek podejmuje, żeby obrać ścieżkę uczciwą albo nieuczciwą, na polityka często oddziałują silniejsze bodźce zniechęcające do uczciwości. Jeśli zapomnisz odpowiedzieć na maila jako pracownik kumbryjskiej firmy logistycznej, wtedy kilka owiec może utknąć w Ambleside. To zła wiadomość dla hodowcy owiec i twoja firma może stracić klienta; prawie na pewno będziesz musiał wysłać załodze maila w rodzaju „Przepraszam, zawaliłem”. To niełatwe, mimo to prawdopodobnie będziesz gotów się przyznać i przyjąć opieprz na klatę. Jeśli zapomnisz odpowiedzieć na maila jako minister spraw wewnętrznych odpowiedzialny za paszporty i kontrolę graniczną, wtedy sto czterdzieści tysięcy wybitnie wściekłych wyborców może utknąć na lotnisku Gatwick, „Daily Mail” przypuści na ciebie frontalny atak, a mail o treści „Hej, błądzić jest rzeczą ludzką; mam nadzieję, że możemy przejść nad tym do porządku” prawdopodobnie nie do końca załatwi sprawę. Wszyscy chcemy, żeby politycy byli uczciwsi, ale generalnie nie pokazujemy, że jesteśmy skłonni docenić to, że w ramach tej uczciwości padną słowa „A niech mnie – tak, rzeczywiście dałem ciała. Dostałem nauczkę i następnym razem sprawię się lepiej”.

Poza tym, gdy nasi przywódcy kłamią, czasami naprawdę umiera wiele osób. Dochodzi do wojen i tak dalej. A tego rodzaju rzeczy z reguły zapadają w pamięć.

Polityczne kłamstwo towarzyszy nam tak samo długo jak polityka (nie jest jasne, kiedy dokładnie wynaleziono politykę, ale można śmiało powiedzieć, że dość dawno temu). Weźmy tylko jeden przykład. Do najznakomitszych kłamców w historii należał niejaki Titus Oates, któremu w roku 1678 dzięki wyjątkowo przejrzystym kłamstwom udało się doprowadzić Anglię i Szkocję do stanu trwającej trzy lata dzikiej antykatolickiej histerii.

Warto nadmienić, że nie było to niczym niezwykłym. Przez większą część dziejów spowodowanie wybuchu antykatolickiej histerii było mniej więcej równie trudne jak nakłonienie psa, żeby dostał kręćka na punkcie własnego ogona. Mimo to jest godne uwagi, że przez kilka lat najbardziej wpływowi ludzie w kraju byli zniewoleni przez człowieka, który kazał się wyświęcić na wikarego, kłamiąc, że jest absolwentem Cambridge, a później przez prawie dziesięć lat uciekał przed oskarżeniami o krzywoprzysięstwo i homoseksualizm.

Kiedyś opisany jako „niepiśmienny matoł, nierokujący poprawy”[1], Oates był tępym, nieszczęśliwym dzieckiem żyjącym w cieniu apodyktycznego ojca, wyrzuconym ze szkoły za machlojki z czesnym. Podjął naukę w dwóch różnych kolegiach w Cambridge, jednak nie ukończył studiów – jak podaje *Oxford Dictionary of National Biography*, „słynął z głupoty, homoseksualizmu i obłudnego fanatyzmu”[2] (co nie znaczy, że te rzeczy były w Cambridge czymś wyjątkowo rzadkim).

W 1677 roku po krótkim okresie służby na stanowisku kapelana okrętowego w Królewskiej Marynarce Wojennej – krótkim, bo oskarżono go o pederastię – i co najmniej dwukrotnej ucieczce z więzienia, gdzie

siedział za krzywoprzysięstwo, Oates uznał, że nadszedł czas przejść na katolicyzm. W tym samym czasie spiknął się z prawdopodobnie obłąkanym antykatolickim zwolennikiem teorii spiskowych, Israelem Tongiem.

Titus Oates, nierokujący poprawy.

Ta niezwykła kombinacja wpływów przygotowała Oatesa do wniesienia najbardziej haniebnego wkładu w historię: rozpuszczenia fałszywych twierdzeń, jakoby istniał spisek papistów mający na celu zabicie króla Karola II.

Plan obejmował sfabrykowanie liczącej sześćdziesiąt osiem stron broszury naszpikowanej rzekomymi dowodami i nazwiskami ponad stu konspiratorów. Oates i Tonge podrzucili rzeczony dokument w domu sir Richarda Bakera – antykatolickiego zeloty – gdzie Tonge „przypadkowo”

znalazł go następnego dnia. Tak, to nie ma sensu. Dlaczego akurat tam miałby być ten dokument? Dlaczego katolicy mieliby opracować spisek, a później przypadkowo zostawić dowód w domu kogoś, kto ich nienawidził? Ale przecież teorie spiskowe nie muszą być logicznie spójne, prawda?

Tonge kazał przyjacielowi powiadomić o spisku króla. Trzeba zaznaczyć, że Karol II – człowiek wybitnie nielubiący fałszywych wiadomości i kawiarń – nie dał temu wiary i uznał całą sprawę za bzdurę. Ale nie można tego samego powiedzieć o jego ministrach ani o członkach parlamentu, którzy bezkrytycznie uwierzyli w wymysły. Oates został wezwany do złożenia zeznań przed królewską Tajną Radą, która – mimo że sam Karol II sceptycznie wziął go w krzyżowy ogień pytań – zadecydowała, że mówi prawdę. Ilekroć Oates potykał się w swoich zeznaniach, wymyślał zupełnie nowe spiski i oskarżał kolejne osoby; mówił zgromadzonym dygnitarzom dokładnie to, co chcieli usłyszeć, a fakt, że jego argumentom brakowało wewnętrznej spójności, nie miał większego znaczenia. W pewnym momencie król przyłapał go na wyjątkowo bezczelnym kłamstwie i kazał aresztować, parlament jednak uchylił decyzję i nie tylko uwolnił Oatesa, ale także nagrodził go domem i pensją. Wśród osób oskarżonych o spiskowanie przeciwko królowi byli królowa (portugalska katoliczka, niezbyt popularna w Anglii), pamiętnikarz Samuel Pepys i dyrektor szkoły, który wyrzucił Oatesa rok wcześniej.

Rezultatem tej ściemy był wybuch histerii. Aresztowano i postawiono przed sądem dziesiątki katolików i dwudziestu dwóch stracono. Wypędzono katolików z Londynu. Społeczeństwo podsycało strach i dokładało własne wymysły; panika wywołana przez rzekome katolickie spiski i podejrzane postacie szerzyła się jak pożoga. Minęło kilka lat, zanim histeria wygasła i sceptycznie spojrzano na Oatesa; w końcu, gdy wszyscy poczuli się

zażenowani całą tą aferą, poproszono go o wyprowadzkę z podarowanego mu przez rząd domu.

Jak to się stało, że Oates, człowiek o koszmarnej reputacji i pozbawiony umiejętności logicznego rozumowania, działający w komitywie z wariatem, przez kilka lat miał wpływ na politykę całego kraju… mimo że nie wierzyła mu osoba będąca rzekomym celem spisku? Jak w przypadku wielu współczesnych teorii spiskowych, Oates wykorzystał panujące już nastroje i miał za sobą mnóstwo popleczników: ludzie chcieli wierzyć, a to oznacza, że sprzeczności i niekonsekwencje nikomu nie przeszkadzały. A on sam, nieatrakcyjny i nieokrzesany, na przekór wszystkiemu miał najwyraźniej magnetyczną władzę nad swoimi słuchaczami. Mówiąc wprost, był niezwykle utalentowanym ściemniaczem, który wprawdzie nie był wiarygodny, ale za to potrafił bawić. Jak ujął to pisarz sir John Pollock, „jego odrażająca powierzchowność miała komiczną cechę. Umiał zmyślać, a gdy sytuacja przyjmowała nieoczekiwany obrót, błyskawicznie adaptował ją dla własnych celów. Jego ordynarny język nie był pozbawiony dowcipu. Ilekroć pojawiał się na scenie (…) publika mogła liczyć na dobrą rozrywkę”[3].

Nie można mówić o politycznym kłamstwie bez wzmianki o aferze Watergate, chociaż uważam, że dzięki poświęconym jej hollywoodzkim filmom została wystarczająco nagłośniona. Przypuszczam, że mniej więcej znacie tę historię; jeśli nie, przyjrzyjcie się jej – jest rewelacyjna. I można w niej dostrzec parę aspektów, które zasługują na ponowny rzut okiem. Jedną z najbardziej interesujących rzeczy w aferze Watergate jest to, jak bardzo, naprawdę bardzo mało brakowało, żeby wszystko uszło sprawcom na sucho. Artykuły w „Washington Post”, które odegrały główną rolę w jej ujawnieniu, nieśpiesznie sączyły pozornie mdłą historię i sytuacja mogła rozwinąć się inaczej – ludzie po prostu wzięliby afery z przeszłości za rzecz

oczywistą, poprawili swoją wewnętrzną poprzeczkę wskazującą, jaka nieuczciwość przekracza miarę, i tak oto sprawa nigdy nie urosłaby do wstrząsającego światem skandalu.

Najbardziej interesujące jest to, jak wszystkie zamieszane w niego osoby były zdumiewająco kiepskie w kłamaniu.

Mówię poważnie, były naprawdę koszmarnie, wprost szokująco niekompetentne. Na początek mamy podstawowy, słynny fakt, że Nixon nagrywał rozmowy prowadzone w Gabinecie Owalnym, gdzie rozmawiano o wszystkich złych rzeczach, jakie robiono. Nixon nie był pierwszym prezydentem, który nagrywał swoje rozmowy – wyprzedził go Franklin Delano Roosevelt – ale on pierwszy robił to rutynowo, co dziwi o tyle, że prawdopodobnie poruszał znacznie gorsze tematy niż większość innych użytkowników tego gabinetu. (To znaczy… może jednak nie. Skąd mamy wiedzieć?). Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie takiego zachowania pochodzące z serialu *Doktor Who* – mianowicie, że robił to, co robił, żeby zwalczyć skutki kasowania pamięci przez kosmitów – pewnie daje pojęcie, jakie to było nadzwyczaj głupie i niewytłumaczalne.

Ale naprawdę dobre jest zniknięcie osiemnastu minut nagrania z ranka dwudziestego czerwca 1972 roku, kiedy to Nixon rozmawiał z szefem personelu, H.R. Haldemanem, trzy dni po spartaczonym włamaniu do biur w Watergate. Zważywszy, że zachowane nagrania były wystarczające do pogrążenia Nixona, można założyć, że te „przypadkowo” skasowane fragmenty mogły zawierać coś podobnego do poniższej rozmowy:

NIXON: *Możesz przekazać mi najświeższe wiadomości o przestępstwach, które popełniamy?*

HALDEMAN: *Tak, hm… Tak… przestępstwa*.

NIXON: *Przestępstwa! Jakie były? Te, które poleciłem ci popełniać. Opowiedz mi o ich.*

HALDEMAN: *Przestępstwa, hm… [niesłyszalne] zdarzały się przestępstwa. Popełnialiśmy przestępstwa, których akurat żądałeś.*

NIXON*: OK, dobrze. Cieszę się z nich, z tych przestępstw, które wyraźnie kazałem ci popełniać i które zgodziłeś się popełnić. To dobrze, że przestępstwa się zdarzyły [niesłyszalne]. Serio, uwielbiam je.*

HALDEMAN*: OK, ale poszło nie tak jak trzeba. Dowiedzieli się o nich. To źle.*

NIXON*: Wcale nie. Teraz musimy popełnić więcej przestępstw, żeby ludzie nie dowiedzieli się o tych poprzednich.*

HALDEMAN*: Tak, OK… OK, tak, więcej przestępstw. Rozumiem. Natychmiast zacznijmy razem popełniać przestępstwa.*

NIXON*: OK, tak, dobrze. Dziękuję ci za przestępstwa, nasze wspólne przestępstwa. [niesłyszalne] Nienawidzę komunistów. Ha, chłopie, muszę się napić.*

Najsmakowitszym kąskiem nieudanego zatuszowania afery Watergate jest cudownie kretyńska próba wyjaśnienia, w jaki sposób taśma została wyczyszczona. Sekretarka Nixona, Rose Mary Woods, publicznie przyjęła na siebie winę za „przypadkowe” skasowanie nagrania. Powiedziała, że spisywała je, gdy przeszkodził jej dzwonek telefonu. Sięgając po słuchawkę, niechcący wcisnęła klawisz NAGRYWAJ na magnetofonie i przez całą pięciominutową rozmowę stopą przytrzymywała pedał pozwalający na przesuwanie się taśmy. Zignoruj na chwilę fakt, że to nie wyjaśnia zniknięcia pozostałych trzynastu minut, że skasowane fragmenty

nie stanowiły jednego bloku, tylko cztery czy pięć różnych, i że ten model magnetofonu nie działał w taki sposób[4]. Zamiast tego skup się na tym, że ktoś wpadł na pomysł, żeby w celu sprawdzenia wiarygodności i prawdopodobieństwa tej wersji poprosić pannę Woods, żeby zademonstrowała fotografom prasowym, jak przypadkowo skasowała nagranie.

Rose Mary Woods w wyjątkowo naturalnej pozie, odbierająca telefon i przez pięć minut trzymająca stopę na pedale.

Pomimo heroicznego reporterskiego śledztwa Woodwarda i Bernsteina jest całkiem możliwe, że to właśnie ten nazwany przez prasę „ćwiczeniem rozciągającym Rose Mary” wizerunek kobiety w średnim wieku, która w karkołomnej pozie jednocześnie sięga do telefonu i pedału, dał amerykańskiemu społeczeństwu do myślenia i skłonił je do refleksji: „Hm, coś tutaj jest nie w porządku”.

Jeśli jest taki czas, kiedy nieuczciwość naszych przywódców naprawdę wchodzi na nowy poziom, to wtedy, gdy ktoś chce ruszyć na wojnę. Naprawdę wiele wojen wybuchło w następstwie incydentów zapalnych, które, patrząc z perspektywy czasu, były mniej niż dokładnie zrelacjonowane. Jak później się okazało, drugi incydent w Zatoce Tonkińskiej, będący oficjalną przyczyną przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny wietnamskiej, sprowadzał się do całkowicie fikcyjnego ataku na amerykański okręt. Bezpośrednim pretekstem do wybuchu wojny hiszpańsko-amerykańskiej w 1898 roku było zatonięcie USS *Maine* w Hawanie, o co wściekła amerykańska prasa obwiniła Hiszpanów – mimo że początkowo uważano to za wypadek i późniejsze śledztwo wykazało, że prawdopodobną przyczyną był pożar w bunkrze węglowym. I oczywiście jest też bajka o Iraku produkującym broń masowej zagłady, którą można rozmieścić w czterdzieści pięć minut.

Czołowe miejsce na niesławnej liście wymyślonych powodów rozpoczęcia wojny zajmuje kryzys sueski. W czasie gdy powstawała ta książka, w Wielkiej Brytanii Suez przechodził coś w rodzaju retorycznego renesansu dzięki częstemu używaniu takich zwrotów, jak „to najgorszy kryzys od czasu Suezu”. Wprawdzie obecna brytyjska polityka w żaden sposób nie przypomina polityki z tamtego okresu (przede wszystkim dlatego, że wówczas wchodziła w grę współpraca z Francuzami), ale incydent wart jest krótkiego omówienia choćby tylko po to, żeby przypomnieć o jego zakończeniu: Naród został upokorzony, premier złożył rezygnację z urzędu, a ludzie zupełnie nie mieli pojęcia, ile kitu im wciśnięto.

A więc był rok 1956; epoka imperialna dobiegała końca i Wielka Brytania nie radziła sobie najlepiej z rozpadem imperium. Zamiast wybrać uświęcone wieloletnią tradycją podejście polegające na opatuleniu się

pledem, pogryzaniu przekąsek i słuchaniu Alanis Morissette, Wielka Brytania postanowiła ruszyć na wojnę. Po wycofaniu wojska z Egiptu Angole czuli się dość mocno urażeni, gdy pułkownik Naser dokonał zamachu stanu, przejął władzę i natychmiast znacjonalizował Kanał Sueski – ważną trasę handlową pomiędzy Morzem Czerwonym i Śródziemnym, do czasu nacjonalizacji należącą do Wielkiej Brytanii i Francji.

Pytanie brzmiało, co z tym fantem zrobić. Brytyjski premier Anthony Eden był nakłaniany do przyjęcia twardej linii, zwłaszcza przez część prasy – przede wszystkim przez dziennik „The Times”, prawdopodobnie pamiętający o swoim fatalnym poparciu dla polityki ustępstw przed drugą wojną światową. Podobna sytuacja miała miejsce we Francji. Ale nie było jasne, czy działania militarne, po pierwsze, przyniosą zamierzony skutek, a po drugie, czy będą bardzo popularne w innych krajach. Posunięcie Nasera może było irytujące, ale niezupełnie nielegalne: udziałowcy Kompanii Kanału Sueskiego zostali spłaceni po cenach rynkowych. I tak oto przez kilka miesięcy trwał nerwowy impas pełen napięcia.

Sytuacja zmieniła się pod koniec października, kiedy siły izraelskie wtargnęły do Egiptu. To oczywiście groziło wybuchem wielkiej i krwawej wojny, która mogła ogarnąć cały Bliski Wschód. Wojska brytyjskie i francuskie ruszyły z szybką interwencją, przyjmując na siebie rolę rozjemców, żeby rozdzielić siły izraelskie i egipskie. Oczywiście zupełnie przypadkowo ten stan rzeczy oznaczał, że przy okazji przejmą również kontrolę nad Kanałem Sueskim.

Niektórzy uznali, że było to dość… dogodne.

Nastroje w Wielkiej Brytanii zaczęły się zmieniać. Wojna wciąż miała poparcie, ale twarda linia, wcześniej ciesząca się aprobatą na praktycznie całej scenie politycznej, stawała się przedmiotem coraz większej krytyki.

Nastawienie prasy ulegało zmianie; „The Times” zalecał ostrożność, a „Manchester Guardian” sugerował wprost, że dzieje się coś podejrzanego. Reakcja międzynarodowa była gorsza: potępienie całego świata i – w nokautującym ciosie dla planów Edena – kategoryczna odmowa wsparcia interwencji przez Stany Zjednoczone oraz groźba sankcji obejmujących dostawy ropy, jeśli Wielka Brytania nie zmieni stanowiska. Tak, Ameryka przeciwna wojnie na Bliskim Wschodzie! To były inne czasy.

Skutkiem tej szalenie błędnej oceny postimperialnej zdolności Wielkiej Brytanii do narzucenia światu swojej woli było poniżające wycofanie się z Egiptu kilka tygodni po rozpoczęciu konfliktu. Eden uparcie twierdził w parlamencie, że Wielka Brytania nie wiedziała o inwazji planowanej przez Izrael, ale szybko tracił autorytet i podupadał na zdrowiu. W styczniu 1957 roku podał się do dymisji.

Mimo powszechnych podejrzeń społeczeństwo nie znało jednak całej historii. Prawda ujrzała światło dzienne kilkadziesiąt lat później, kiedy w końcu ujawniono, że Wielka Brytania nie tylko wiedziała o inwazji, ale też brała udział w jej zaplanowaniu. Zaprzeczenia Edena były gołosłowne. W rzeczywistości Wielka Brytania, Francja i Izrael z wyprzedzeniem opracowały każdy etap wojny – uderzenie Izraela i „pokojową” misję sił sprzymierzonych. Decyzja zapadła tydzień przed atakiem na tajnym spotkaniu we Francji, gdzie trzy strony podpisały dokument precyzujący rolę każdej z nich w tej geopolitycznej pantomimie. Wielka Brytania zniszczyła swoją kopię. Pechowo dla historycznej reputacji Edena, Izrael własną zachował, całkiem rozsądnie nie ufając, że dwa europejskie kraje dotrzymają swoich części umowy.

To również wyjaśnia trochę niespodziewaną zmianę nastrojów na łamach „The Times”. Starsi redaktorzy zostali wprowadzeni przez rząd w plany wojny, zanim do niej doszło[5]. Rozumiejąc, że to straszny pomysł,

szybko zmienili front. Oczywiście nie kwapili się z ujawnieniem, że wiedzieli, że u podłoża wojny leżało kłamstwo.

Kłamstwa rządów kwitną nie tylko na początku konfliktów zbrojnych, które z reguły nie słyną z produkowania wiarygodnych informacji; mgła wojny sprawia, że doniesienia pochodzące z pola bitwy są w najlepszym wypadku mało miarodajne. Co więcej – i co ważniejsze – wojna jest paliwem, które podsyca mieszaninę pogłosek, mitów i propagandy, powodując dzikie, niekontrolowane eksplozje fałszu.

Widać to w doniesieniach z frontu pierwszej wojny światowej – tych, które tak bardzo zirytowały H.L. Menckena, o czym pisałem w jednym z wcześniejszych rozdziałów. Jego ocena, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent doniesień wojennych w owym czasie było wyssane z palca, prawdopodobnie jest odrobinę przesadzona, ale nie ulega wątpliwości, że ten bezprecedensowy konflikt zrodził mnóstwo całkowicie nieprawdziwych historii.

Przykładem może być szeroko rozpowszechniana opowieść o kanadyjskim oficerze, którego niemieccy żołnierze ukrzyżowali w pobliżu Ypres, przybijając go bagnetami za ręce i nogi. Szczegóły się różniły: według „The Times” został przybity do ściany; według „Toronto Star” przywiązany do drzewa; według „Morning Post” przyszpilony do drzwi. Ukrzyżowania się mnożyły, z jednego zrobiły się dwa, a później znacznie więcej. Pogłoski wywołały niepokoje na ulicach Londynu i pytania w Izbie Gmin, łącznie z tym, które wzbogaciło zbrodnię o bardziej groteskowe szczegóły: „Niemcy zdjęli figurę Chrystusa z dużego krzyża w wiosce i przywiązali do niego żywego sierżanta”[6].

Czy ukrzyżowany Kanadyjczyk w ogóle istniał? Z pewnością w owych czasach nie brakowało doniesień niepopartych żadnymi dowodami, chociaż to nie powstrzymywało sprzymierzonych od obracania ich w płodną

propagandę. Późniejsze śledztwa wskazały możliwych kandydatów na pechowego żołnierza, ale nie zostało to nigdy zweryfikowane.

Ta ponura historia była jednak niczym w porównaniu z „mistrzowską ściemą” z czasów pierwszej wojny światowej, dotyczącą niemieckich „fabryk trupów”. Jej źródło nie jest jasne (często utrzymywano, że była to robota brytyjskiego wywiadu, i prawdopodobnie była, chociaż to też może być mitem), a szczegóły regularnie się zmieniały. Zasadniczy wątek zawsze brzmiał tak samo: Niemcy zwozili z linii frontu swoich poległych do fabryki, gdzie z rozczłonkowanych i gotowanych ciał uzyskiwano wszelkiego rodzaju produkty – mydło, materiały wybuchowe, nawozy. Fabryka nawet miała nazwę. „Wielka Przetwórnia Padliny (*Kadaververwertungsanstalt*)”, napisano w „The Times”[7].

Najbardziej prawdopodobnym autorem tej historii jest szef brytyjskiego wywiadu, generał brygady John Charteris, który, jak donoszono, w 1925 roku przy kolacji w Nowym Jorku chwalił się jej wymyśleniem. Po powrocie do Wielkiej Brytanii wściekle temu zaprzeczał, może dlatego, że został zbesztany za kłapanie dziobem – albo dlatego, że samo doniesienie było zmyślone.

Makabryczne opowieści z czasów pierwszej wojny światowej nie były pierwszymi, które mówiły o okropnościach wojny – ich historia jest znacznie dłuższa. W kwietniu 1782 roku, pod koniec wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, w dodatku do „Boston Independent Chronicle” ukazała się szokująca historia. Otóż kapitan Samuel Gerrish z milicji w Nowej Anglii dokonał przerażającego odkrycia. Przechwycono osiem dużych paczek w tranzycie do gubernatora Kanady. Po sprawdzeniu okazało się, że zawierały one niewyobrażalnie koszmarny ładunek: łącznie prawie tysiąc ludzkich skalpów.

Kapitan Gerrish relacjonował, że skalpy przez ponad trzy lata zbierali Indianie z plemienia Seneków, na rozkaz brytyjskiego rządu skalpujący amerykańskich pechowców. Paczki miały zostać wysłane z Kanady do samego króla Jerzego, jako dar ku pokrzepieniu serc.

Gazeta opisała znalezisko, nie szczędząc ponurych detali. Paczki zawierały trzysta pięćdziesiąt dziewięć skalpów farmerów zamordowanych na polach albo w domach, przy czym osiemnaście świadczyło o tym, że ich właściciele zostali spaleni żywcem. Czterdzieści trzy skalpy należały do amerykańskich żołnierzy, zastrzelonych w zasadzkach. Osiemdziesiąt osiem skalpów zdarto z głów kobiet. W artykule odnotowano, że duża liczba skalpów należała do dzieci: stu dziewięćdziesięciu dwóch chłopców, dwustu jedenastu dziewczynek i – to pewnie najgorsze ze wszystkiego – dwudziestu dziewięciu płodów „wyrwanych z brzuchów matek”[8].

Inne gazety w miastach od Londynu po Nowy Jork i Filadelfię podchwyciły tę szokującą, skandaliczną historię i przez wiele miesięcy drukowały własne wersje. W Wielkiej Brytanii panowała konsternacja, a w Ameryce narastała wściekłość na Brytyjczyków, na których rozkaz dokonano tych straszliwych zbrodni.

W tym wszystkim, jak już na pewno odgadliście, tkwił tylko jeden haczyk: Historia została zmyślona. Nie było w niej ani krzty prawdy. Kapitan Gerrish nie istniał, podobnie jak nie istniały makabryczne paczki z ludzkimi skalpami, wyprawione w drogę do krwiożerczego króla Jerzego.

Co więcej, została sfabrykowana nie tylko sama historia – to samo odnosi się do całej gazety, a raczej tego wydania. „Boston Independent Chronicle” naprawdę się ukazywała; jej pełna nazwa brzmiała „Boston Independent Chronicle and Universal Advertiser” (osiemnastowiecznym gazetom nie zależało zbytnio na chwytliwych tytułach). Ale tak zwany „dodatek” był spreparowany od początku do końca. Historia o skalpach na

pierwszej stronie była fikcją, podobnie jak zamieszczony dalej list od bohatera wojennego Johna Paula Jonesa i ogłoszenia drobne o „wielkiej połaci ziemi” i „podwórzu garbarni”, zapełniające dół strony drugiej. Całość była wyjątkowo przekonującym fałszerstwem, dziełem wykonanym profesjonalnie, z pietyzmem, a może nawet z miłością. Podejrzane pochodzenie dodatku stawało się oczywiste dopiero w trakcie skrupulatnego badania i to przez kogoś, kto musiał być osiemnastowiecznym maniakiem typograficznym. Gdybyście byli osiemnastowiecznymi maniakami typograficznymi, to – poza tym, że dziękowalibyście opatrzności, że urodziliście się dwieście lat przed wymyśleniem kroju Comic Sans – być może zauważylibyście, że metalowe czcionki użyte do wydrukowania gazety nie były w stylu amerykańskim ani angielskim. Były francuskie.

Ponieważ gazeta została wydrukowana nie w Bostonie, ale w podparyskim Passy, w owym czasie idyllicznym, zamożnym miasteczku z dość przyjemnym spa. Jej twórca nie miał nic wspólnego z prawdziwą „Independent Chronicle” i od kilku lat nawet nie mieszkał w Ameryce. Autorem fałszerstwa był nie kto inny jak ambasador Stanów Zjednoczonych we Francji – jeden z ojców założycieli, omnibus i osiemnastowieczny maniak typograficzny, Benjamin Franklin.

No właśnie, znowu on.

Co mogło pchnąć Franklina, człowieka nauki i epistolografii, jedną z najbardziej szanowanych postaci swojej epoki, do wymyślenia tego bulwersującego oszustwa? Praktyczna odpowiedź jest całkiem prosta: Był to akt propagandowy skierowany przeciwko Brytyjczykom. W czasie gdy Franklin wykręcił numer z dodatkiem do „Independent Chronicle”, wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych dobiegała końca; pół roku wcześniej siły francusko-amerykańskie odniosły zwycięstwo w bitwie pod

Yorktown i już rozpoczęły się paryskie rozmowy pokojowe. Kawał nie był szczególnie rozpowszechniany w Ameryce; Franklin wysłał dodatek swoim sprzymierzeńcom w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Holandii. Jego celem – który osiągnął – było zaszczepienie opowiastki w prasie brytyjskiej z nadzieją, że wpłynie na opinię publiczną i spowoduje wypłacenie reparacji Ameryce za okrucieństwa, jakich dopuszczali się Brytyjczycy.

Ale za tym bezpośrednim, pragmatycznym powodem krył się drugi, głębszy… i sądzę, że bardziej satysfakcjonujący: Benjamin Franklin wykręcił ten numer, ponieważ cholernie uwielbiał kłamać. Zdecydowanie nie mógł nasycić się kłamstwami. Jak widzimy, od nastolatka do dni przed swoją śmiercią w wieku osiemdziesięciu czterech lat był konsekwentnym, radosnym autorem szalonych i ekstrawaganckich kawałów, na dużą i małą skalę. Jedne służyły celom politycznym, inne zyskowi finansowemu, czasami u ich podłoża leżała małostkowość, a często po prostu czysta, niczym nieskażona radość z robienia sobie jaj. Niektóre z tych kłamstw mogły wprowadzać w błąd i pociągnąć za sobą poważne konsekwencje, ale tak czy inaczej, Ben Franklin przeszedł do historii jako jeden z najbardziej płodnych, zręcznych i innowacyjnych blagierów.

Nie jest jasne, czy spodziewał się, że ludzie będą brać jego wymysły na serio. Udoskonalenie prasy drukarskiej doprowadziło do eksplozji tego, co możemy nazwać „treścią”, i ludzie wciąż mieli kłopot ze zrozumieniem, że jedne wydrukowane teksty mogą być prawdziwe, a inne zmyślone. Zaledwie kilka lat przed rokiem 1722, kiedy to Franklin stworzył wdowę Silence Dogood (o czym wspominałem w rozdziale drugim), Daniel Defoe opublikował *Robinsona Crusoe* – mocnego kandydata na pierwszą w dziejach angielską powieść – w stylu autobiografii opartej na faktach i powszechnie wierzono, że jest to autobiografia. Mniej więcej w tym samym czasie Jonathan Swift był zajęty wynajdowaniem nowoczesnej

satyry. Czy Franklin miał zamiar rzeczywiście oszukiwać, czy po prostu eksperymentował z nowymi formami literackimi, których granice etyczne nadal były trochę rozmyte?

Granica pomiędzy oszustwem i kawałem zaciera się nawet w dzisiejszych czasach, a prawie wszystkie wymysły Franklina stanowiły ujście dla jego szatańskiego, satyrycznego i krańcowo wybujałego poczucia humoru. Krótko mówiąc, był jajcarzem do kwadratu. Według niekoniecznie prawdziwej anegdoty Thomas Jefferson powiedział, że Franklina nie zaproszono do udziału w tworzeniu Deklaracji niepodległości, „ponieważ nie mógłby się powstrzymać od umieszczenia w niej żartu”. Sądzę, że wiele osób podzieli moje zdanie, gdy powiem: Jaka to straszna szkoda, że straciliśmy szansę na poznanie alternatywnej, zabawniejszej Deklaracji niepodległości autorstwa Benjamina Franklina.

Nie zrozumcie mnie źle, deklaracja w obecnym kształcie jest oczywiście kawałkiem solidnej roboty, chociaż niezupełnie słynącym z dowcipu. Nie zaszkodziłoby wrzucenie tam paru śmiesznych tekstów, tak dla poprawienia nastroju.

Ale podczas gdy celem wielu kawałów Franklina niezaprzeczalnie było rozbawianie (przynajmniej siebie… możliwe, że również innych), nie można tego samego powiedzieć o opowieści o skalpowaniu. Tutaj nad satyrycznym celem, który zwykle mu przyświecał, przeważył gniew. Co więcej, na tym etapie kariery Franklin musiał zdawać sobie sprawę, że ludzie uwierzą w jego historię, i doskonale wiedział, jak ją zamieścić w prasie jednego kraju w taki sposób, żeby zyskała międzynarodowy zasięg, kopiowana przez gazety i przekazywana za kolejne granice. Dopuścił się rozmyślnego oszustwa w celu politycznym i zrealizował je z wyjątkową starannością: dodatek miał taki sam numer, jak opublikowane miesiąc wcześniej wydanie „Independent Chronicle”, zawierał nazwisko

rzeczywistego redaktora i od strony wizualnej wyglądał niemal jak oryginalna gazeta. Chociaż, jak wielu fałszerzy w historii, Franklin nie mógł się oprzeć pokusie lekkiego poprawienia oryginału. Wykorzystał elegancką, ale charakterystyczną czcionkę, wykonaną na zamówienie italikę, której używał do drukowania w Passy[9]. I kiedy wysłał dodatek Johnowi Adamsowi, uciekł się do starej sztuczki, udając, że jest sceptyczny co do prawdziwości fałszerstwa, które sam stworzył kilka godzin wcześniej[10].

Ale mimo że celem dezinformacji byli Brytyjczycy, opowiedziana przez niego historia wyrządzała krzywdę komuś zupełnie innemu: rdzennym Amerykanom, którzy padli ofiarą czegoś, czego nie można opatrzyć inną nazwą, jak tylko kolosalne rasistowskie kłamstwo. W swoim pościgu za makabrycznymi szczegółami i sensacją, chcąc przykuć uwagę czytelników, Franklin powtórzył, wzmocnił i ubarwił fałszywe opinie o Indianach, na długi czas zniekształcając ich wizerunek.

Dla jasności, do skalpowania jako aktów wojennych z pewnością w Ameryce dochodziło i prawie na pewno było stosowane przez rdzenne ludy na długo przed przybyciem europejskich kolonistów. Ale od samego początku amerykańskiej wojny o niepodległość silnie oddziałujące połączenie strachu, pogłosek i propagandy rozdmuchało ten makabryczny zwyczaj, jakby był wciąż obecnym zagrożeniem, nieproporcjonalnie wielkim w stosunku do rzeczywistej sytuacji. Rozpowszechniano zmyślone opowieści o masakrach i masowym skalpowaniu przez Indian, rzekomo zachęcanych przez Brytyjczyków wypłacających nagrody za skalpy białych Amerykanów – wzmianka o bezlitosnych dzikich Indianach trafiła nawet do Deklaracji niepodległości[11] (żarty byłyby zdecydowanie lepsze). Tymczasem skalpowanie nie było zarezerwowane dla Indian. Praktykowała je każda strona podczas wojny, także siły wyzwoleńcze często oferujące

wysokie nagrody za indiańskie skalpy. Co więcej, zaledwie kilka tygodni przed spreparowaniem przez Franklina dodatku do gazety w Gnadenhutten w stanie Ohio doszło do prawdopodobnie największej okropności tej wojny, kiedy rewolucyjna milicja zgromadziła w stodołach ponad dziewięćdziesięciu nieuzbrojonych jeńców – indiańskich mężczyzn, kobiety i dzieci – po czym zatłukła ich pałkami i oskalpowała.

Może gdyby blaga Franklina została tam, gdzie miała zostać – w londyńskiej prasie wiosną 1782 roku – dzisiaj byłaby tylko przypisem w historii. Niestety, wiodła życie pozagrobowe jeszcze długo po ostatecznym podpisaniu traktatu pokojowego w roku 1783. Ponieważ na tym polega kłopot z naprawdę przykuwającymi uwagę kłamstwami: Raz wypuszczona w świat fałszywa informacja nie umiera cichutko po spełnieniu zamierzonej roli. Kłamstwa są jak zombie, nie chcą umrzeć i atakują mózgi.

Tak się stało z wymyśloną przez Franklina mistyfikacją, która z rykiem i wielkim hukiem wróciła do życia ponad dwadzieścia lat po jego śmierci. W okresie poprzedzającym kolejne starcie Stanów Zjednoczonych z Brytyjczykami w wojnie 1812 roku – z kilkoma plemionami walczącymi po stronie Brytyjczyków – opowieść niespodziewanie zmartwychwstała. I tym razem jej siła oddziaływania była znacznie większa.

Gdy Franklin rozpuścił swoją historię, podjęło ją osiem amerykańskich gazet. W drugiej rundzie pomiędzy rokiem 1806 i 1814 jej wersje opublikowało nie mniej niż dwadzieścia siedem gazet, w tym dwanaście – od Karoliny Południowej po Vermont – w ciągu zaledwie siedmiu miesięcy w 1813 roku. Mit wsączył się w świadomość amerykańskiego społeczeństwa, ugruntowując postrzeganie Indian jako bezlitosnych dzikusów. Franklin w swoich listach przyznał się do bujdy i w końcu ten fakt stał się publicznie znany, mimo to wciąż od czasu do czasu powtarzano

jego wymysł jako prawdę, nawet w obecnym stuleciu. Nigdy się nie dowiemy, jak bardzo to skandaliczne, głęboko utrwalone kłamstwo przyczyniło się do brutalnego traktowania Indian, ale z pewnością odegrało niebagatelną rolę.

---

[1] Almond Cuthbert, *Oates's Plot* w: *Catholic Encyclopedia*, dostępne na https://www.catholic.com/encyclopedia/oatess-plot.

[2] Marshall Alan, *Titus Oates* w: *Oxford Dictionary of National Biography*, 3 stycznia 2008, dostępne na https://www.oxforddnb.com/view/10.1093/ref:odnb/9780198614128.001.0001/odnb-9780198614128-e-20437.

[3] Pollock John, sir, *The Popish Plot: A Study in the History of the Reign of Charles II*, Duckworth & Co., 1903.

[4] Kopel David, *The missing 18 1/2 minutes: Presidential destruction of incriminating evidence*, „Washington Post", 16 czerwca 2014, dostępne na https://www.washingtonpost.com/news/volokh-conspiracy/wp/2014/06/16/the-missing-18-12-minutes-presidential-destruction-of-incriminating-evidence/.

[5] McDonald Iverach, *The History of the Times: Volume V, Struggles in Life and Peace, 1939–1966*, Times Books 1984.

[6] *CRUCIFIXION OF CANADIANS (ALLEGED)*, „Hansard", 19 maja 1915, dostępne na https://api.parliament.uk/historic-hansard/commons/1915/may/19/crucifxion-of-canadians-alleged#S5CV0071P0-08398.

[7] *Through German Eyes*, „The Times", 16 kwietnia 1917.

[8] Dodatek do: „Boston Independent Chronicle", [przed 22 kwietnia 1782], Founders Online, National Archives, ostatnio modyfikowane 13 czerwca 2018, dostępne na http://founders.archives.gov/documents/Franklin/01-37-02-0132 [oryginalne źródło: Cohn Ellen R. (red), *The Papers of Benjamin Franklin*, tom 37, 16 marca – 15 sierpnia 1782, Yale University Press, 2003].

[9] Mulford Carla, *Benjamin Franklin's Savage Eloquence: Hoaxes from the Press at Passy, 1782*, „Proceedings of the Amercian Philosophical Society", tom 152, nr 4, 2008.

[10] „Załączam gazetę, co do prawdziwości której mam pewne wątpliwości, aczkolwiek dotyczące formy, nie zaś samej treści, albowiem wierzę, że Indianie oskalpowali wielu ludzi w tej morderczej wojnie…" Patrz: *From Benjamin Franklin to John Adams, 22 April 1782*, Founders Online, National Archives, ostatnio modyfikowne 13 czerwca 2018, dostępne na http://founders.archives.gov/documents/Franklin/01-37-02-0133. [Oryginalne źródło: Cohn Ellen R. (red.), *The Papers of Benjamin Franklin, tom 37,* 16 marca – 15 sierpnia 1782, Yale University Press, 2003].

[11] Dowd Gregory Evans, *Groundless: Rumors, Legends and Hoaxes on the Early American Frontier*, Johns Hopkins University Press.

7

Kombinatorzy

Wszędzie tam, gdzie można zarobić, zawsze znajdzie się ktoś, kto właśnie w tym celu chętnie przekręci prawdę. W zasadzie to nic nowego pod słońcem. Stworzyliśmy świat, w którym pieniądze są ważne: pozwalają żyć, spełniać pragnienia i – jeśli ma się ich pod dostatkiem – mieć władzę. Kiedy zgromadzisz dość pieniędzy i władzy, możesz zmuszać ludzi do robienia tego, co chcesz, i zmieniać świat wokół siebie. A w pewnym momencie władza staje się tak wielka, że możesz uznać, że jesteś w stanie kształtować rzeczywistość według własnego uznania. Już nie musisz naginać prawdy, żeby zdobyć pieniądze; pieniądze wypracują prawdę za ciebie. Jeśli wszyscy traktują cię jak największego biznesmena pod słońcem, to prawie na pewno oznacza, że nim jesteś. Otwierają się przed tobą okazje zamknięte dla innych. Uchodzą ci na sucho porażki, które zrujnowałyby kogoś innego. Możesz być Gatsbym pełną gębą, jeżeli tego chcesz. Thérèse Humbert, uważając, że pieniądze są iluzją – „magiczną sztuczką, którą trzeba opanować” – niezupełnie się myliła.

Zasadniczo trzeba ściemniać, dopóki się nie uda.

W tym rozdziale przyjrzymy się różnym sposobom ściemniania na przestrzeni dziejów – z powodzeniem, choć często krótkotrwałym – w pogoni za pieniędzmi.

Warto zauważyć, jak wielką rolę w tym procederze odgrywa wiedza po fakcie. W biznesie sposób myślenia „Ściemniaj, dopóki ci się nie uda” jest nie tylko tolerowany – jest również ważną lekcją przedsiębiorczości, wraz z niesamowitymi anegdotami o hucpach krążącymi wśród ludzi, których ulubionym serwisem społecznościowym jest LinkedIn. Na przykład

Microsoft wystartował, gdy Bill Gates, podający się za współzałożyciela przedsiębiorstwa, Paula Allena, zadzwonił do prezesa firmy produkującej nowatorski komputer Altair i powiedział, że napisali dla niego oprogramowanie. Prezes, Ed Roberts, był pod wrażeniem i poprosił o prezentację. I świetnie, tylko że… w deklaracji Gatesa nie było ani trochę prawdy. Nie dość, że nie mieli skończonego produktu, to nawet nie zaczęli go tworzyć; napisali oprogramowanie w ciągu dwóch miesięcy pomiędzy rozmową a prezentacją. Nie posiadali komputera Altair, więc nie mogli niczego przetestować i do dnia próby nie mieli bladego pojęcia, czy program w ogóle działa[1].

Zdecydowanie nie jest to jedyny przykład zakończonych powodzeniem historii „Ściemniaj, dopóki ci się nie uda”, nawet jeśli ograniczymy się do „globalnie dominujących amerykańskich firm technologicznych”. Kiedy w 2007 roku Steve Jobs w niezapomniany sposób dokonywał odsłony iPhone’a, zapowiadając „rewolucyjne magiczne urządzenie”, które wstrząśnie naszym wyobrażeniem o telefonie, miał jeden mały problem: Apple jeszcze nie udało się wyprodukować działającego iPhone’a. Prototypy tłukły się, zawieszały i zrywały połączenia. Kiedy Jobs prezentował iPhone’a pełnemu zachwytu tłumowi w Moscone Centre w San Francisco, pozornie przypadkowo zmieniając aplikacje na ekranie dotykowym, w rzeczywistości podążał sztywno wytyczoną „złotą ścieżką” – uruchamiał aplikacje w ściśle określonej, starannie opracowanej przez inżynierów kolejności, bo inaczej wszystko by się posypało[2].

Oczywiście Gates i Jobs mają swoje miejsce w programach nauczania szkół biznesowych na całym świecie z tego prostego powodu, że najpierw ściemniali, a następnie osiągali zamierzony cel. Podjęli decyzję na podstawie czegoś, co okazało się idealnie trafną oceną ich zdolności do spełniania obietnic. Powstający Microsoft dowiódł siły charakteru Gatesa

i stał się potęgą na rodzimym rynku komputerowym; Apple naprawiło problemy z pamięcią iPhone’a dzięki nowemu, robionemu na zamówienie mikroukładowi i na zawsze zmieniło sposób, w jaki ignorujemy ludzi w pociągach. BARDZO WAŻNA UWAGA DLA CZYTAJĄCYCH TO PRAWNIKÓW: WCALE NIE MÓWIĘ, ŻE BILL GATES I STEVE JOBS BYLI OSZUSTAMI ALBO NACIĄGACZAMI, ALBO KIMŚ W TYM RODZAJU. Byli dobrzy w tym, co robili! Ta książka jest napisana w Wordzie na macbooku pro! Dzięki, chłopaki.

Rzecz w tym, że dopiero po fakcie dowiadujemy się, czy dana historia podpada pod „ściemnianie”, czy pod „osiąganie”, więc nie stanowi zbyt przydatnego poradnika, jak działać teraz. Podejście typu „Śmiało, zrób coś wariackiego, bo w przyszłości odniesiesz sukces i cała sprawa będzie po prostu zabawną anegdotą” nie jest generalnie akceptowane jako etyczne przez główne religie świata, poza kapitalizmem, i w znacznej mierze wymaga odniesienia sukcesu, żeby usprawiedliwić wcześniejsze ściemnianie.

Drugą stroną medalu jest oczywiście dokonanie złej oceny własnych możliwości spełnienia obietnic. Wtedy zamiast jakiegoś Microsoftu albo Apple dostajesz „jednorożca” w rodzaju Theranosa – to przedsiębiorstwo biotechnologiczne wyceniane na dziesięć miliardów dolarów, zbudowane na rewolucyjnej metodzie badania krwi, tyle że później okazało się, że przeprowadzanie badań tą nowatorską metodą jest niemożliwe. Był to klasyczny przykład nakładania ściemy na ściemę i skończyło się na oskarżeniu o oszustwo. Ale przed ostatecznym upadkiem media wychwalały pod niebiosa młodą założycielkę firmy, Elizabeth Holmes, jako pionierkę nowej technologii, nie szczędząc jej zdjęć na okładkach, pochlebnych opinii i porównań do Steve’a Jobsa. Zamiast wchodzić w szczegóły, proponuję lekturę *Bad Blood: Secrets and Lies in a Silicon*

Valley Startup (Zła Krew. Sekrety i kłamstwa w start-upie z Doliny Krzemowej) Johna Carreyrou, dziennikarza, który w 2015 roku zdemaskował przekręty Theranosa; dosłownie szczęka opada.

Ujmując to w inny sposób: Czy gdyby Gregor MacGregor spędzał mniej czasu na projektowaniu orderów i systemu przyznawania przywilejów, a trochę więcej na werbowaniu ludzi z umiejętnościami potrzebnymi do zbudowania miasta w środku dżungli, pojawiłby się w rozdziale piątym? Może odniósłby sukces i teraz byłby sławny jako bohaterski pionier; od jego nazwiska nazywano by różne rzeczy i powstałyby książki, w których sugerowano by, że może jednak miał trochę podejrzaną reputację, co spowodowałoby incydenty dyplomatyczne w ambasadach Poyais, a dziennikarze pisaliby pełne złości felietony potępiające studentów za składanie petycji o usunięcie jego pomników.

Jak wąskie bywają te marginesy, można zobaczyć na przykładzie Whitakera Wrighta.

Wright był pod każdym względem wzorcowym superbogatym przemysłowcem z końca epoki wiktoriańskiej – wychowany w biedzie, zawdzięczał wszystko wyłącznie sobie i popisywał się bogactwem w coraz bardziej ostentacyjny sposób. Kiedy mówię „ostentacyjny”, naprawdę dokładnie to mam na myśli. Miał wszystko: wielką posiadłość wiejską, rezydencję w najmodniejszej części Londynu, ogromny jacht, którym ścigał się ze swoim przyjacielem, kajzerem Wihelmem II. W jego posiadłości Witley Park były sztuczne jeziora i jedno z nich skrywa coś, co sprawia wrażenie wyjętego z kart steampunkowej powieści: podwodną palarnię. Wysoka na pięć i pół metra szklana kopuła z mozaikową posadzką, ulokowana na dnie jeziora i dostępna przez stumetrowy tunel, pozwalała gościom Wrighta palić papierosy, pić drinki, tańczyć i patrzeć na pływające ryby. Nazywana przez ówczesną prasę „zanurzoną bajeczną komnatą”,

a przez Wrighta „kryształową grotą”[3], była wentylowana przez usta posągu Neptuna nad powierzchnią wody, a szkło kopuły regularnie czyściła grupa specjalnie wynajętych nurków. Powtórzmy: PODWODNA PALARNIA. Jeśli nie masz podwodnej palarni, czy możesz powiedzieć, że odniosłeś sukces?

Od dawna porzucona podwodna palarnia Whitakera Wrighta (strój kobiety świadczy o tym, że zdjęcie pochodzi z lat siedemdziesiątych).

Ale problem w tym, że całe imperium biznesowe Wrighta opierało się na kłamstwach.

Wright był Brytyjczykiem, ale zbijał majątek początkowo w Ameryce, a później w Australii i Kanadzie. Najpierw wyemigrował z rodziną do Ontario, gdy drukarnia, którą założył z bratem w Halifaxie, po roku splajtowała – ten wczesny smak porażki najwyraźniej sprawił, że Wright był zdeterminowany nigdy więcej go nie doświadczyć. Na początku lat

siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, w czasie boomu gospodarczego, przeniósł się do Filadelfii. Początkowo jego działalność w znacznej mierze miała legalny charakter, wspierana przez kombinację głębokiej wiary w siebie, uroku osobistego i daru wymowy, a także kilku wymyślonych referencji. Wright wprawdzie zakończył edukację w wieku piętnastu lat, ale przyznał sobie stopień magistra i twierdził, że studiował geologię na prestiżowym uniwersytecie w Heidelbergu. Zapewne uznał, i słusznie, że bariera wysiłku sprawdzenia tych kwalifikacji okaże się zbyt wysoka.

W pewnym momencie dostał obsesji na punkcie górnictwa i zadecydował, że w tym leży jego przyszłość. Obdarzony prawdziwym talentem do oceniania jakości rudy, wyruszył na zachód, żeby dołączyć do szalonego wyścigu o cenne metale. Zaczął od kopalni srebra w Leadville, mieście, które w poprzednich latach widziało napływ tysięcy poszukiwaczy, z kopalniami przynoszącymi miliony dolarów zysku rocznie. Było to dzikie i niebezpieczne miejsce (Oscar Wilde, odwiedzający je kilka lat później, napisał: „Z trwogą zauważyłem, że tutaj średni biceps jest grubszy niż moja talia”[4]), zaludnione przez ekstrawaganckich nuworyszy i znacznie więcej tych, którzy rozpaczliwie pragnęli choć trochę się wzbogacić.

Wright z początku obrał tę samą ścieżkę co większość innych: biedne życie na skalistych zboczach i polowanie na sugestię bogactwa. Szybko jednak wszedł w komitywę z niejakim George’em D. Robertsem, cieszącym się złą sławą potentatem górniczym o wątpliwych zasadach etycznych; Roberts sam dziesięć lat wcześniej padł ofiarą słynnego oszustwa (wielkiego przekrętu diamentowego z 1872 roku, kiedy dwóch poszukiwaczy, Philip Arnold i John Slack, obsiało pole w Kolorado samorodkami diamentów, żeby przekonać inwestorów, że w tej ziemi czeka na wykopanie ogromna fortuna). Roberts – a później również Wright – doszedł do wniosku, że taka trasa do sukcesu finansowego jest znacznie

łatwiejsza; zamiast zadawać sobie trud szukania bogatej żyły srebra, wystarczy przekonać chętnych inwestorów, że odkryło się bogatą żyłę srebra, i z wdzięcznością przyjąć ich pieniądze. Zanim ktoś się połapie, że w rzeczywistości kupił niewiele więcej niż dziurę w ziemi, ty będziesz już gdzieś indziej, z całą możliwą do kupienia za pieniądze władzą, wpływami i odpornością na konsekwencje.

Pod wieloma względami największym i najchętniej eksploatowanym bogactwem Leadville wcale nie było srebro – byli nim ludzie i ich głód łatwego pieniądza.

Wright szybko znalazł receptę na sukces, która miała mu dobrze służyć przez całe życie: posługiwanie się wrodzonym urokiem, żeby namówić osobę o nieskazitelnej opinii i wysokiej pozycji społecznej do dołączenia do jego przedsięwzięcia, a następnie wykorzystanie reputacji jelenia i własnej imponującej osobowości do stworzenia wrażenia – zwłaszcza w podatnej na zmanipulowanie prasie – że przedsięwzięcie cieszy się pełnym poparciem. Jego pierwszą tego rodzaju ludzką tarczą był wybitny amerykański paleontolog, Edward Drinker Cope, człowiek, który niesamowicie dużo wiedział o wykopywaniu różnych rzeczy z ziemi, ale trochę mniej o ludzkich zdolnościach do rozmijania się z prawdą. Z jego pomocą Wright zdołał rozprowadzić akcje pierwszej kopalni za pięć milionów dolarów – za znacznie więcej, niż naprawdę była warta.

Później trzymał się tego schematu, przechodząc od jednego przedsięwzięcia do następnego, nie przejmując się tym, że zostawia za sobą gromadę rozczarowanych inwestorów. Miał w kieszeni uległe media, które przedstawiały go jak bohatera romansów Harlequina. „Rosły, krzepki, pewny siebie mężczyzna; wszystko w jego charakterze mówi o harcie ducha, energii, ambicji”, napisała gazeta „Albany Review”, strasznie się przy tym wysilając[5]. Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych do Anglii

Wright założył London and Globe Company, która miała wynieść jego talent do promowania wątpliwych akcji górniczych na nowe poziomy, i dopilnował, żeby w radzie nadzorczej zasiadły tuzy londyńskiej socjety, łącznie z wieloma arystokratami. Wszystko to miało na celu zagwarantowanie, że społeczne naciski powstrzymają ciekawskich od zadawania zbyt wielu pytań.

Jak na ironię, przyczyną ostatecznego upadku Wrighta nie było marudzenie jakiegoś malkontenta, że kopalnie nie zawsze były takie bogate, jak je przedstawiano. Zgubiło go zupełnie inne przedsięwzięcie, związane z kopaniem tuneli: Wright postanowił zbudować metro.

Zdając sobie sprawę, że jego imperium jest jak dom zbudowany przynajmniej częściowo na piasku, musiał zdywersyfikować portfel, a poza tym uznał, że działania dla dobra publicznego mogą umocnić jego wiarygodność, i właśnie dlatego w roku 1900 skierował uwagę na wstrzymaną budowę kolei podziemnej Baker Street i Waterloo. Budowa tego odcinka trwała od wczesnych lat dziewięćdziesiątych, wciąż spowalniana przez przestoje i problemy finansowe (wiem, budowa linii metra w Londynie przekroczyła budżet i nie została ukończona na czas – wprost nie do uwierzenia!). Wright zadecydował, że może pomóc, i wypuścił obligacje, żeby sfinansować prace budowlane.

Nie wypaliło. Nie było chętnych do kupna akcji i Wright nie mógł nic zrobić, żeby przyśpieszyć budowę. Reszta imperium biznesowego ucierpiała finansowo, co – w desperackiej próbie zachowania fasady, że wszystko układa się jak najlepiej – skłoniło go do przerzucania pieniędzy w skomplikowanych seriach pożyczek między firmami i sztucznego nadmuchiwania ich kont. Ta finansowa żonglerka nie uszła uwagi i doprowadziła do wszczęcia śledztwa; Wright został aresztowany,

oskarżony o oszustwo i w 1902 roku skazany. Popełnił samobójstwo w holu sądu kilka minut po ogłoszeniu werdyktu.

W tym samym roku budowę kolei podziemnej Baker Street i Waterloo przejęła nowa firma. Szybko ukończono prace i linia istnieje do dzisiaj: to oczywiście linia Bakerloo.

Whitaker Wright jest prawdopodobnie jednym z najbardziej ostentacyjnych przykładów balansowania na cienkiej linii pomiędzy sukcesem biznesowym a jawnym szwindlowaniem, ale wykorzystywany przez niego mechanizm baniek spekulacyjnych był powszechny w historii.

W Londynie w 1720 roku wybuchło tak szalone zainteresowanie inwestowaniem w Kompanię Mórz Południowych, że pewna grupa cwaniaków z powodzeniem sprzedawała akcje „kompanii realizującej przedsięwzięcie, które przyniesie wielkie korzyści, chociaż nikt nie wie jakie”.

Kilka miesięcy później w Paryżu wypuszczono więźniów, pożeniono ich z prostytutkami i wysłano hurtem do Luizjany, na tereny rozpaczliwie potrzebujące osadników, ponieważ wielu ludzi inwestowało w akcje z przekonaniem, że lada dzień dojdzie tam do cudu gospodarczego.

Wright nie był również pierwszym, który wszedł w biznes kolejowy na wątpliwych podstawach. W latach czterdziestych dziewiętnastego wieku luminarze tak się między sobą różniący jak Karol Darwin, siostry Brontë i William Makepeace Thackeray pompowali pieniądze w fikcyjną kolej, a brytyjski parlament prawie co tydzień wydawał nową ustawę zatwierdzającą budowę następnych odcinków, które nigdy nie powstały – i w niektórych przypadkach w ogóle nie było możliwości, by powstały.

Może się wydawać, że tego rodzaju ostre praktyki biznesowe są niedawnymi wynalazkami i że kłopoty powodowane przez szemrane interesy są czymś, z czym w przeszłości ludzie nie mieli do czynienia.

Możemy sądzić, że spędzanie połowy życia na składaniu zażaleń obojętnemu pracownikowi ochrony praw konsumenta jest nowym zjawiskiem i że gdy na Twitterze narzekamy na jakąś firmę, to doświadczamy „problemów Pierwszego Świata”. Możemy uważać, że bezwstydne kłamstwa ludzi biznesu są zasadniczo współczesnym wynalazkiem.

Ale ci, którzy tak myślą, powinni poznać historię Ea-nasira.

Ea-nasir był właściwie takim Whitakerem Wrightem, z tą różnicą, że żył trzy i pół tysiąca lat wcześniej, około 1750 roku przed naszą erą. Kupiec mieszkający w Ur, jednym z największych miast w starożytnej Mezopotamii (na terenie dzisiejszego południowego Iraku), był kimś w rodzaju kombinatora, który handluje wszystkim, od nieruchomości po używane ubrania, jeśli tylko można wycisnąć z tego zysk. Ale największa część jego biznesu polegała na importowaniu miedzi z głównego centrum handlowego w Dilmunie, kawałek dalej nad Zatoką Perską.

Każdy robi w życiu coś, czego później się wstydzi, ale lubimy myśleć, że jeśli w ogóle będziemy pamiętani, to z tych dobrych rzeczy. Przykład Ea-nasira zadaje druzgoczący cios tej nadziei. Bo prawie cztery tysiące lat po tym, jak chodził po ziemi, jego imię – jedno ze względnie niewielu znanych nam imion z owych czasów – wpisało się w annały dzięki temu, że był kanciarzem i oszukiwał w handlu miedzią.

Wiemy o tym, ponieważ archeolodzy odkopali jego dom, gdzie znaleźli archiwum korespondencji – gliniane tabliczki z wiadomościami od klientów, którzy kontaktowali się z nim przez zawodowych pośredników. Zdaje się, że Ea-nasir na początku nieźle sobie radził w interesach, handlował nawet w imieniu króla.

Jednak z biegiem czasu w przysyłanych mu wiadomościach zaczął się wyłaniać pewien motyw przewodni. Z grubsza parafrazując, brzmi

następująco: „Co zrobiłeś z moimi pieniędzmi, ty pozbawiony skrupułów łajdaku?”.

Te gliniane tabliczki z sumeryjskim pismem klinowym – jednym z pierwszych języków pisanych w historii – są najstarszym znanym zażaleniem klienta na jakość usług.

Autorami czterech głównych skarg są panowie: Nanni, Abituram, Appa i Imqui-Sin. Z kontekstu ich listów wynika, że wsparli finansowo biznesowe podróże Ea-nasira do Dilmunu, a on im obiecał, że w zamian otrzymają sztaby doskonałej miedzi.

Kiedy Nanni wysłał pośredników po odbiór towaru, musiał się poczuć mocno urażony, bo Ea-nasir zaproponował im ładunek gównianych sztab; posłużył się starą zagrywką „Bierz albo nie, kolego” i odmówił zwrotu pieniędzy.

Warto przeczytać jedną ze skarg Nanniego, ponieważ (mimo dziwnych rzeczy wynikających z tłumaczenia bezpośrednio z sumeryjskiego) naprawdę daje pojęcie o tym, jak niewiele się zmieniło w ciągu ostatnich czterech tysięcy lat, jeśli chodzi o ciskanie gromów na nieuczciwych kontrahentów:

> *Powiedz Ea-nasirowi: Nanni przesyła następującą wiadomość: Gdy do mnie przyszedłeś, powiedziałeś mi, co następuje: „Dam Gimil-Sinowi (gdy ten przyjdzie) miedziane sztaby dobrej jakości”. Potem odszedłeś i nie zrobiłeś tego, co obiecałeś. Położyłeś sztaby złej jakości przed moim posłańcem (Sit-Sinem) i powiedziałeś: „Jeśli chcesz je wziąć, to bierz, jeśli nie chcesz, to odejdź”. Za kogo mnie masz, skoro traktujesz mnie z taką pogardą?*

Ea-nasir najwyraźniej obrał klasyczną taktykę „Jeśli nie chcesz moich sztab miedzi, to spieprzaj”, w odpowiedzi na co Nanni zagrał starą kartą

„Nie wiesz, kim ja jestem”. Wyjaśnił, że wysłał „panów takich jak my sami, żeby zabrali worek z moimi pieniędzmi”, ale Ea-nasir „potraktował mnie z pogardą, kilka razy odsyłając ich do mnie z pustymi rękami, i to przez terytorium wroga”. Kończy ultimatum:

> *Przetrzymałeś moje pieniądze na terytorium wroga, teraz do ciebie należy zwrócenie mi całej sumy. Wiedz, że nie przyjmę od ciebie miedzi, która nie będzie doskonałej jakości. Od tej pory sam będę wybierać sztaby na moim podwórzu i będę miał prawo do ich odrzucenia, ponieważ traktowałeś mnie z pogardą*[6].

Niestety, nie znamy odpowiedzi na te zażalenia – Ea-nasir miał u siebie tylko napływającą korespondencję i nigdy nie znaleziono wysyłanych przez niego listów. Czy były sumeryjskim odpowiednikiem „Pańska opinia wiele dla nas znaczy, przykro nam, że nasze usługi nie spełniły pańskich oczekiwań”? A może były sumeryjskim odpowiednikiem „Ha, ha! No to masz przekichane, frajerze”?

Nie wiemy tego na pewno, ale jakąś orientację dają nam wiadomości od Abiturama i Appy. Abituram, jak się wydaje, miał lekką przewagę nad Nannim, jakąś dodatkową kartę przetargową w kontaktach z Ea-nasirem, bo jeden z jego pierwszych listów zawiera coś w rodzaju groźby ustanowienia hipoteki na nieruchomościach, jeśli Ea-nasir nie przekaże towaru pośrednikowi, gościowi zwanemu Nigga-Nanna.

„Srebro i zysk z niego przekaż Nigga-Nannie – tak Abituram zaczyna pierwszy list, po czym przechodzi do pogróżki: – Dlaczego nie dałeś miedzi? Jeśli jej nie dasz, ustanowię zastaw”[7].

W następnym liście kontynuuje w tym samym stylu: „Dlaczego nie dałeś miedzi Nigga-Nannie?”, i kończy (na wypadek, gdyby wiadomość nie dotarła): „Daj miedź Nigga-Nannie”.

Później do zwady dołącza Appa: „Daj moją miedź Nigga-Nannie, dobrą miedź, żeby moje serce się nie martwiło”.

Następnie wkracza Imqui-Sin i podejmuje refren. „Daj dobrą miedź Nigga-Nannie… – pisze, po czym dla krystalicznej jasności powtarza: – Daj mu dobrą miedź, żeby twoje serce się nie martwiło”.

Tysiące lat dzielą nas od tego kupca z Ur, ale każdy, kto czekał dwie godziny na połączenie z dostawcą internetu, natychmiast rozpozna żałosny ton, jakim zadaje pytanie: „Czy nie wiesz, jak bardzo jestem tym zmęczony?”.

Czy krętactwo opłacało się Ea-nasirowi? Wydaje się, że jak w przypadku Wrighta przez pewien czas działało idealnie, ale nagle wszystko zaczęło się sypać.

Jak już wspomnieliśmy, mamy te tabliczki dzięki temu, że w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku archeolodzy odkopali dom Ea-nasira. Leonard Woolley, kierownik wykopalisk, zwrócił uwagę na coś interesującego. Ea-nasir miał dużą, luksusową chatę, jak przystało na grubą rybę biznesu, ale pod koniec okresu jego działalności większa jej część została zaanektowana i przyłączona do domu sąsiada. Wniosek Woolleya? Nasz przyjaciel dość nagle i pilnie musiał zmniejszyć swoją siedzibę i przyjąć oszczędniejszy styl życia – przypuszczalnie w końcu dopadły go negatywne opinie wystawiane latami przez niezadowolonych klientów, użytkowników starożytnej mezopotamskiej wersji serwisu Yelp.

Historia Ea-nasira mówi nam, jak bardzo mało nowego dzieje się pod słońcem. Odkąd mamy cywilizację, mamy też kanciarzy wypatrujących okazji, żeby wykorzystać innych. Odkąd mamy pieniądze, mamy ludzi, których główna umiejętność polega na przekonywaniu pechowców, żeby się z nimi rozstali. I odkąd mamy pismo, wkurzeni wysyłamy listy

z zapytaniem, gdzie, do cholery, podziewa się nasza miedź i właściwie dlaczego nie została przekazana Nigga-Nannie.

Oczywiście nie można mówić o oszukańczych praktykach biznesowych bez wspominania o królu wyciskania forsy z kitu: P.T. Barnumie, „największym showmanie na świecie”. Barnum jest sławny nie tylko ze swojego cyrku i wystaw, dzięki którym w połowie dziewiętnastego wieku stał się bogatym człowiekiem, ale również ze swoich – jak to ująć? – skomplikowanych relacji z prawdą.

Barnum był notorycznym mistyfikatorem. Wśród jego eksponatów znajdowały się takie kurioza, jak „syrena z Fidżi” (górna część ciała małpy zszyta z tylną połową ryby, nawet niepochodzącą z Fidżi – uważa się, że powstała w Japonii, zanim w końcu trafiła w ręce Barnuma[8]) i „gigant z Cardiff”, w gruncie rzeczy niebędący jego pomysłem. Rzekomy trzymetrowy „skamieniały człowiek” wykopany w Cardiff w stanie Nowy Jork był rzeźbą, którą zakopali dwaj przedsiębiorczy kuzyni, George Hull i William Newell, żeby następnie dokonać „odkrycia”. Później wystawiali olbrzyma publicznie, czerpiąc z tego niezłe zyski. Barnum chciał go odkupić, a gdy kuzyni odrzucili jego propozycję, po prostu zrobił własną fałszywą wersję fałszywego olbrzyma i głośno twierdził, że to tamten jest fałszywy.

Ta mistyfikacja nie przeszkadzała Barnumowi w demaskowaniu innych mistyfikatorów, przy czym szczególnie pomstował na media i spirytystów. W 1865 roku nawet napisał o tym książkę, *The Humbugs of the World* (Humbugi świata), traktującą o „iluzjach (…) szarlatanerii, oszustwach i oszustach” w dziejach. Dobry pomysł na książkę, jeśli chcecie wiedzieć.

Ale skupmy się na tym, jak Barnum, wówczas będący pomocnikiem w sklepie, rozpoczął karierę w branży rozrywkowej od wystawy, która debiutowała w Niblo’s Garden w Nowym Jorku dziesiątego sierpnia 1835

roku – tylko dwa tygodnie przed tym, jak Richard Adams Locke przyciągnął uwagę świata swoim wielkim przekrętem księżycowym. Barnum miał jeden eksponat: niejaką Joice Heth, która liczyła sobie sto sześćdziesiąt jeden wiosen i była piastunką Jerzego Waszyngtona. Barnum reklamował ją jako „najbardziej zdumiewającą i interesującą osobliwość na świecie!”.

Oczywiście Joice Heth ani nie miała żadnego związku z Waszyngtonem, ani stu sześćdziesięciu jeden lat – miała pod osiemdziesiątkę, zniedołężniała i ślepa. Była też niewolnicą. Ponieważ w Nowym Jorku posiadanie niewolników zostało zakazane, Barnum po prostu ją „wynajął”.

Ekspozycja okazała się hitem, dodatkowo nakręcanym przez żądną sensacji prasę groszową. Po sukcesie w Nowym Jorku Barnum zabrał Heth na tournée po Nowej Anglii, gdzie przyciągał tłumy pragnące zobaczyć i dotknąć jego żywej relikwii. Trasa była wyczerpująca i wysiłek okazał się zbyt wielki dla słabego ciała; kobieta zmarła w lutym 1836 roku. Ale Barnum jeszcze z nią nie skończył. Naglony przez gazety, w odpowiedzi na sceptyczne uwagi dotyczące jej wieku, zaaranżował publiczną sekcję zwłok i sprzedał bilety po pięćdziesiąt centów widowni złożonej z tysiąca pięciuset osób, które przyglądały się rozcinaniu ciała Joice Heth[9].

Chirurg przeprowadzający sekcję oświadczył, że to oszustwo – kobieta miała nie więcej niż osiemdziesiąt lat. Ta wiadomość nie dosyć, że nie zaszkodziła Barnumowi, to go wykreowała. Wykorzystał zdarzenie, żeby się rozreklamować, i przez wiele miesięcy opowiadał nowojorskiej prasie historyjkę za historyjką: Heth w rzeczywistości żyje, zwłoki należały do innej kobiety, Barnum dał się nabrać, Barnum nabrał innych. Rozumiał działanie nowych mediów lepiej niż ktokolwiek inny (swego czasu powiedział, że ma dwudziestu sześciu dziennikarzy na swojej liście płac)

i szybko zdał sobie sprawę, że prawda i wiarygodność nie są kluczami do sukcesu; lepsze są zła sława i umiejętność zapewniania rozrywki.

O dziwo, wszystko to zostało pominięte w niewytłumaczalnie popularnym filmie biograficznym z Hugh Jackmanem.

Barnum potrafił również wykorzystywać obsesje epoki – był to czas fascynacji medycyną, od prawdziwych przełomów do politycznie motywowanych teorii rasistowskich i oczywiście szarlatanerii. Nic dziwnego: jeśli chcesz zarobić pieniądze i nie masz większych skrupułów, jest niewiele lepszych sposobów niż leczenie ludzkich dolegliwości. Historia medycyny jest pełna sprzedawców wężowego oleju i innych cudownych leków. Zdarzało się, że owe panacea reklamowano jako naprawdę wężowe, jak rozprowadzaną przez Clarka Stanleya wężową maść, która w 1916 roku została przebadana na zlecenie amerykańskiego Biura Chemii i która, jak stwierdzono, zawierała dokładnie zero procent węża. Pan Stanley zapłacił grzywnę w wysokości dwudziestu dolarów i od tego czasu na nazwanie oszusta czy szarlatana pojawiło się w języku angielskim nowe określenie: *snake oil salesman* (sprzedawca wężowego oleju).

Stanley nie był jednak osamotniony. Weźmy na przykład hadacol, powszechnie znaną cuchnącą brązową miksturę, którą w latach czterdziestych i pięćdziesiątych sprzedawano jako lekarstwo na całą gamę dolegliwości, podczas gdy tak naprawdę zawierała kilka witamin i – co prawdopodobnie miało wpływ na wysokość sprzedaży – dwanaście procent alkoholu.

Ale biznes fałszywych lekarstw sięgał o wiele dalej (i był znacznie dziwaczniejszy) niż proste wkręcanie naiwnych w kupowanie butelek płynów, które z niczego nie leczyły. Do grona najwybitniejszych – i odnoszących sukcesy – szarlatanów dwudziestego wieku należał „doktor”

John R. Brinkley, lepiej znany współczesnym jako Doktor Koźle Jaja. Dlaczego tak go nazywano? Ha. Ciekawe pytanie.

Tak, bo wszczepiał facetom koźle jądra. Żeby leczyć impotencję.

John R. Brinkley przy radiu, zapewne rozmyślający o koźlich jądrach.

Brinkley nie był doktorem, chociaż tak się tytułował. Nie ukończył żadnej uznawanej szkoły medycznej, co jednak wcale nie znaczy, że nie próbował. Zawsze czuł powołanie do profesji lekarza i podejmował studia na kilku uczelniach, ale okoliczności finansowe i hm… skomplikowane życie osobiste (w pewnym momencie porwał swoją córkę i wywiózł ją do Kanady) sprawiły, że żadnej z nich nie ukończył.

Ale nie zamierzał pozwolić, żeby taki drobiazg stanął mu na drodze do spełnienia marzenia o praktykowaniu medycyny, i tak oto otworzył gabinet

lekarski w Kansas. Początkowo była to całkiem przyzwoita praktyka – spisał się nieźle, lecząc ofiary epidemii grypy w 1918 roku. Niedługo później wpadł na pomysł, który miał go uczynić bogatym.

Gdy zgłosił się do niego pacjent narzekający na spadek sprawności seksualnej, jakoś skończyło się na tym, że wszczepił mu w mosznę dwa koźle jądra. To oczywiście nic nie dało, poza tym, że ów dżentelmen zyskał dodatkową parę jaj (które z czasem zanikły) i odnowione poczucie pewności siebie. Mimo to metoda leczenia impotencji stała się szalenie popularna, rozpropagowana przez agresywną kampanię reklamową i szczęśliwy (dla Brinkleya) zbieg okoliczności: żona jednego z pierwszych pacjentów zaszła w ciążę. Dla informacji: dziecko było człowiekiem, nie koszmarną kozio-ludzką hybrydą.

Brinkley może nie zaliczał się do dobrych lekarzy, ale był doskonałym pionierem reklamy. Jako jeden z pierwszych zrozumiał potencjał względnie nowego środka masowego przekazu, jakim było radio. Założył w Kansas własną rozgłośnię, którą wykorzystywał do przekonującego zachwalania swoich metod leczenia. Kiedy Federalna Komisja Radiowa w końcu odebrała mu licencję (krótko po tym, jak Izba Lekarska Kansas pozbawiła go prawa wykonywania zawodu), po prostu przeniósł się za granicę do Meksyku i nadawał stamtąd, używając nadajnika wysokiej mocy.

W rezultacie tych dwóch decyzji Brinkley postanowił wejść do świata polityki i mało brakowało, a zostałby gubernatorem Kansas. Startując w wyborach w 1930 roku jako kandydat dopisany do listy, prawdopodobnie by zwyciężył, gdyby nie prawo stanowiące, że głosy są ważne tylko wtedy, gdy nazwisko kandydata jest napisane w jeden określony sposób, przez co dziesiątki tysięcy oddanych na niego głosów uznano za nieważne.

Aha, poza tym wielu jego pacjentów zmarło, ponieważ nie był zbyt dobrym lekarzem. To nie działało na jego korzyść, gdy postanowił pozwać

o zniesławienie jakiegoś krytykanta przeszczepów jąder; przegrał, sromotnie przegrał, i w następstwie lawiny pozwów – w tym wielu za spowodowanie śmierci – ogłosił bankructwo.

Wprawdzie wielu szarlatanów zbiło fortuny, ale przynajmniej jeden z nich naprawdę – jakkolwiek przypadkowo – dokonał uznanego odkrycia medycznego, nazwanego od jego nazwiska. Był to doktor Franz Anton Mesmer, który w osiemnastym wieku dzięki swojej innowacyjnej metodzie leczenia i jej nadzwyczajnym efektom znalazł się na ustach wyższych sfer najpierw w Wiedniu, a następnie w Paryżu.

Mesmer promował teorię „magnetyzmu zwierzęcego” – przekonanie, że wszechświat jest przepełniony niewidzialnym wszechobecnym fluidem, łączącym wszystkie żywe istoty z ciałami niebieskimi. Podpierając tą teorią swoją pracę, przyjmował ludzi na specjalnych konsultacjach, które zwykle polegały na tym, że na nich patrzył, pocierał ich i kazał im trzymać żelazny pręt. Te zabiegi wywierały niewiarygodne skutki, więc przedstawiciele zamożnych elit Europy tłumnie zjeżdżali na kuracje do Mesmera.

Wszystko to osiągnęło apogeum w roku 1778 w Paryżu.

Król Ludwik XVI był wielce zatroskany, gdyż jego małżonka – osławiona promująca ciastka influencerka Maria Antonina, kilka lat wcześniej uwikłana w aferę naszyjnikową z Jeanne de Valois-Saint-Rémy – stała się oddaną zwolenniczką mesmeryzmu, grała rolę patronki doktora i robiła mu darmową reklamę; członkowie arystokracji ściągali do jego kliniki, żeby dotykano ich żelaznymi różdżkami. W tej sytuacji Ludwik zrobił to, co zrobiłby każdy oświecony król: zebrał komisję najświetniejszych umysłów Francji i nakazał sprawdzenie prawdziwości teorii Mesmera. Komisja uznała, że teorie są guzik warte, i Austriak uciekł z miasta. Lecz to nie powstrzymało jego teorii, które żyły długo po nim i dziesiątki lat później odrodziły się w Ameryce.

Oczywiście odkrycie Mesmera nie miało związku z teorią magnetyzmu biologicznego ani nic w tym stylu. Tym, na co tak naprawdę się natknął – i przyczyną głębokich efektów jego kuracji, a także tego, że dziś wciąż mówimy o mesmeryzmie – była w rzeczywistości hipnoza. Mesmer odkrył, że umysł ludzki jest bardzo dziwny i łatwo go oszukać, i co więcej, często może oszukiwać sam siebie, nawet do tego stopnia, że wywiera wpływ na organizm.

O czym, dziwnym trafem, będzie następny rozdział.

---

[1] Manes Stephen, *Gates: How Microsoft's Mogul Reinvented an Industry – and Made Himself the Richest Man in America*, Cadwallader & Stern, 1993 (Kindle edition).

[2] Merchant Brian, *The One Device: The Secret History of the iPhone*, Bantam Press, 2017 (Na nagraniu wideo z promocji daje się zauważyć, że gdy Jobs przeprowadza ustawione rozmowy telefoniczne z Jonym Ive'em i Philem Schillerem, żaden z nich nie korzysta z iPhone'a – obaj mają oldskulowe komórki z klapką. Patrz: https://www.youtube.com/watch?v=9hUIxyE2Ns8 od 25.34.).

[3] MacRory Henry, *Ultimate Folly: The Rises and Falls of Whitaker Wright*, Biteback Publishing (Kindle edition).

[4] Cytowane tamże.

[5] Cytowane tamże.

[6] Oppenheim A. Leo, *Letters from Mesopotamia*, University of Chicago Press, 1967.

[7] Wszystkie cytaty w tym fragmencie z: Rice Michael, *The Archaeology of the Arabian Gulf*, Routledge, 2002.

[8] Levi Steven C., *P.T. Barnum and the Feejee Mermaid*, „Western Folklore", tom 36, nr 2, 1977.

[9] Reiss Benjamin, *P.T. Barnum, Joice Heth and Antebellum Spectacles of Race*, „American Quarterly", tom 51, nr 1, 1999.

8

Zwykłe złudzenia

W Wielkiej Brytanii w okresie poprzedzającym Boże Narodzenie 2018 roku duży węzeł komunikacyjny zwany lotniskiem Gatwick został zamknięty na trzy dni z powodu świateł na niebie. Było to oczywiście ogromnie niepokojące dla mieszkańców kraju: drugie pod względem wielkości londyńskie lotnisko zostało sparaliżowane, ponieważ ktoś dostrzegł latającego wokół niego drona. Odwołano jakieś tysiąc lotów i sto czterdzieści tysięcy ludzi zostało uziemionych. Dla już zaniepokojonego narodu – rozdartego przez wewnętrzne dyskusje polityczne i stojącego w obliczu najbardziej dramatycznej zmiany na scenie międzynarodowej od wielu dziesięcioleci – nie mogło się to zdarzyć w gorszym czasie.

Możliwe, że niektórzy czytelnicy już o tym słyszeli.

„O rany, ależ fascynującą i mało znaną perełkę wykopałeś z uprzednio nietkniętego pola historii starożytnej”, myślą sobie pewnie niektórzy z was.

Z perspektywy czasu wypadki tamtych trzech dni przypominają… wątek zaczerpnięty z thrillera lotniskowego. Dron z Gatwick był historią o duchach dla naszej epoki techno-paniki. Ktokolwiek za nim stał, miał niesamowitą, wręcz nadnaturalną, wiedzę o tym, co się dzieje; jak filmowy superzłoczyńca zawsze był o krok przed wszystkimi. Za każdym razem, gdy zauważono drona, ten znikał, zanim władze mogły go wytropić; za każdym razem, gdy zbliżało się otwarcie lotniska, w ostatniej chwili, jakby za sprawą czarów, na niebie pojawiały się dziwne światła. Prasa była pełna opowieści o szyderczym zachowaniu drona, który przemykał wokół wieży kontroli ruchu tuż przed ponownym zniknięciem; setki ludzi widziały drona, a jednak nawet w czasach, kiedy każdy nosi w kieszeni połączony

z internetem aparat o wysokiej rozdzielczości, dron nie dał się uwiecznić na czymkolwiek poza dwoma kompletnie niezweryfikowanymi nagraniami, ukazującymi maleńką, niewyraźną szarą plamkę na tle wielkiego szarego nieba.

Poruszam ten temat dlatego, że kilka miesięcy po incydencie, gdy policja nie była ani o krok bliżej złapania winnego, Chris Woodroofe – dyrektor do spraw operacyjnych Gatwick – udzielił wywiadu BBC. W trakcie rozmowy z wielkim zapałem odpierał coś, co BBC przemądrzale opisała jako „krążącą w sieci teorię, że w ogóle nie było żadnego drona”[1]. (W BBC dziwnie ignorowano fakt, że oryginalnym źródłem tej „teorii w sieci” było… doniesienie BBC, że według oficjalnego oświadczenia policji istnieje „możliwość, że nad lotniskiem nie było żadnej tego typu aktywności”[2]).

Dowodem na obecność drona było, według BBC, odnotowanie przez policję „stu trzydziestu odrębnych przypadków zauważenia drona przez łącznie sto piętnaście osób, z których wszystkie poza sześcioma były profesjonalistami, takimi jak funkcjonariusze policji, ochroniarze, personel kontroli ruchu i piloci”. Byli to ludzie, którym pan Woodroofe ufał, i dlatego powiedział: „Oni wiedzą, że widzieli drona. I ja wiem, że go widzieli”[3].

Hm.

Moim celem nie jest dowodzenie, że nad Gatwick zdecydowanie nie było drona. Prawdopodobnie był! Drony nie są niczym niepospolitym i każdy miałby ochotę posłać drona nad lotnisko! Prawdopodobnie wrogie państwo przeprowadzało jazdę próbną przed jakimś niemożliwym do ustalenia aktem zła albo producent sprzętu antydronowego chciał rozreklamować mały interes, a może po prostu jakiś jełop postanowił się zabawić.

Chcę, żeby moje stanowisko było bardzo, ale to bardzo jasne, ponieważ dam sobie rękę uciąć, że w dniu wyjścia tego tekstu drukiem w każdej gazecie w kraju pojawi się nagłówek: PODEJRZANY O SPARALIŻOWANIE GATWICK ARESZTOWANY, PRZYZNAŁ SIĘ DO WSZYSTKIEGO I DOSTARCZYŁ DROBIAZGOWE DOWODY ŚWIADCZĄCE O TYM, ŻE ZDECYDOWANIE BYŁ TAM DRON. Ostatecznie to książka i w przeciwieństwie do internetu nie można później wrócić i skasować żenujących kawałków. Co, pozwolę sobie dodać, jest do bani.

A jednak… za każdym razem, gdy czytam tłumaczenia, dlaczego musiał być dron, nie daje mi spokoju pewne małe podejrzenie. Ponieważ jednym z naszych najbardziej uporczywych błędów jest przecenianie wiarygodności świadków – i naszej wiary, że „więcej świadków” oznacza „więcej wiarygodnych świadków”, co, łagodnie rzecz ujmując, niekoniecznie musi być prawdą.

Jak już wykazałem w tej książce, na nieograniczonym polu – słowami naszego ulubionego szesnastowiecznego francuskiego eseisty Michela de Montaigne’a – odwrotnej strony prawdy bywamy wprowadzani w błąd przez wielu ludzi. Media nas oszukują, mapy nas okłamują, oszuści robią nas w konia, politycy nami manipulują, biznesmeni nas okradają, a szarlatani nas zabijają. Ale co robią nam naprawdę głęboko zakorzenione nieprawdy? Nic nam nie robią; sami coś sobie robimy. I to moje dręczące podejrzenie jest tym silniejsze dlatego, że… cóż… sprawa z dronem wydaje się dość znajoma.

Wiosną 1913 roku mieszkańcy wiejskich terenów Wielkiej Brytanii widzieli światła na niebie. Były to niespokojne czasy, na krawędzi poważnego wstrząsu międzynarodowego, pełne lęku przed nowymi

wynalazkami. Wtedy wybuchła wielka panika wywołana przez widmowe statki powietrzne.

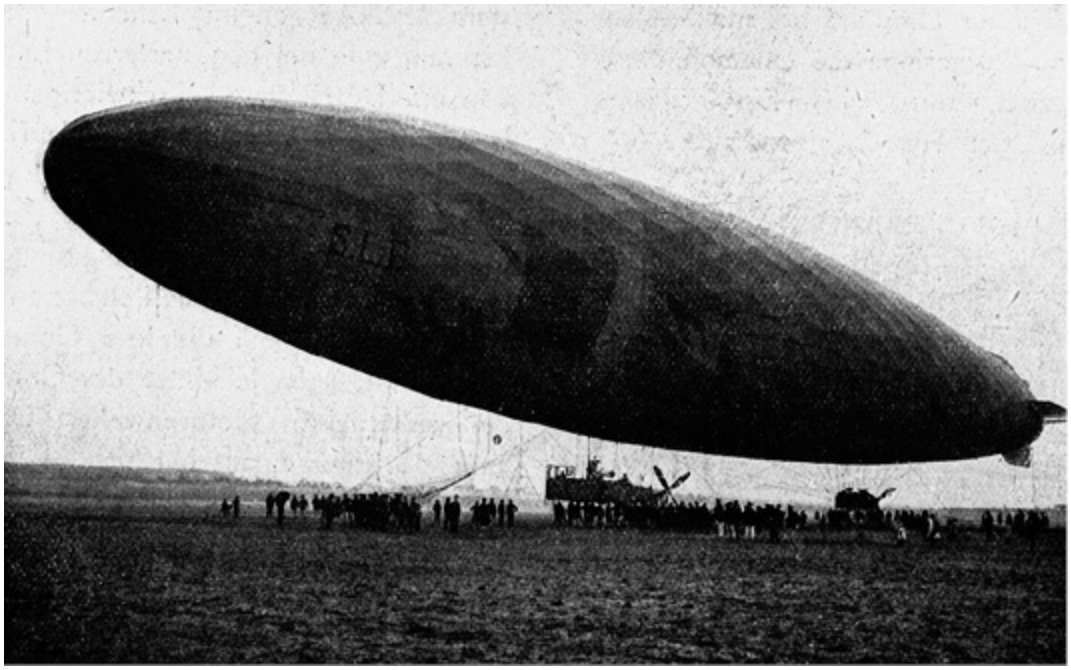

Niemiecki sterowiec z 1912 roku.

Przez kilka miesięcy z różnych stron Wielkiej Brytanii i Irlandii napływały doniesienia o tajemniczym statku powietrznym. Widziały go tysiące ludzi, od krańca do krańca obu wysp, od Dover w Kent po Bovisand Bay w Devon; od Sanday w Orkney do Galway w Irlandii i wszędzie pomiędzy; widziano go w Kircaldy, Leeds, Londynie i Portsmouth, w Hornsea, Carnarvon, Cromer, Shepton Mallet, Ilfracombe i Chatham, i w wielu innych miejscach[4].

Zaczęło się zimą 1912 roku, kiedy w Wielkiej Brytanii panował głęboki powszechny niepokój. Wszyscy wiedzieli, że wojna wisi w powietrzu. Niektórzy – zwłaszcza dziennikarze z pewnej części prasy – najbardziej przekonani, że nadciąga wojna, jednocześnie nie szczędzili starań, żeby pchnąć ku niej kraj.

Francis Hirst, wówczas redaktor „The Economist”, w swojej książce *The Six Panics* (Sześć powodów do paniki) z 1913 roku napisał, że „po kilku dniach »Daily Mail« ogłosił: Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że sterowce jakiegoś wrogiego mocarstwa, przypuszczalnie Niemiec, dokonują regularnych i systematycznych przelotów nad naszym krajem”[5].

W rzeczywistości nic nie zostało ustalone ponad wszelką wątpliwość. Fakt, w owym czasie Niemcy mieli co najmniej jeden sterowiec, ale ze wszystkich dokumentów historycznych wynika, że żaden ani razu nie zbliżył się do Wielkiej Brytanii. I na pewno nie odbył setek podróży do różnych zakątków Anglii i Irlandii w ciągu kilku miesięcy. Możliwe, że ten i ów rzeczywiście widział statek powietrzny; wszak były to początki ery lotnictwa i odbywały się loty eksperymentalne samolotów konstruowanych pod patronatem państwa albo przez amatorów. Ale ogromna większość tych „widzeń” – wszystkie te światła na niebie dostrzeżone przez tysiące świadków – nie mogła być niczym więcej jak wielką, ogólnokrajową zbiorową halucynacją.

Zabawne w tej panice wywołanej przez widmowe sterowce jest to, że nie była jedyna. W 1909 roku mieliśmy jej mniejszą poprzedniczkę i w tym samym roku doszło do podobnej zbiorowej halucynacji w Stanach Zjednoczonych.

Spowodował ją niejaki Wallace Tillinghast, który poinformował „Boston Herald”, że skonstruował „pierwszą godną zaufania latającą maszynę cięższą od powietrza” i że przeleciał nią pięćset kilometrów z Worcester w stanie Massachusetts do Nowego Jorku, a stamtąd do Bostonu i z powrotem. Nikt nie zauważył jego lotu, w trakcie którego okrążył Statuę Wolności, ponieważ leciał w nocy (Tillinghast nie chciał nikomu pokazać swojego pojazdu).

Głębokie nieprawdopodobieństwo tego wszystkiego nie powstrzymało mieszkańców Nowej Anglii, którzy przez następne tygodnie zgłaszali, że widzieli na niebie ustrojstwo Tillinghasta, co chętnie podchwytywała prasa. Zaczęło się dwudziestego grudnia od człowieka, który powiedział, że widział światła sunące nad Zatoką Bostońską, o czym „Boston Globe" informował na pierwszej stronie pod nagłówkiem „Nieznany statek powietrzny odbywa nocny lot". Nazajutrz na dwunastej stronie ukazało się znacznie mniej wyeksponowane sprostowanie, że mężczyzna istotnie widział statek, tyle że nie powietrzny, ale zwyczajny, płynący po wodzie.

Do dwudziestego drugiego grudnia ponad dwa tysiące osób z okolic Worcester doniosło, że widziało światła krążące po niebie. Kolejne zgłoszenia sprawiły, że nazajutrz jakieś pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców wyległo na ulice miasta. W Wigilię zgłoszono trzydzieści trzy odrębne „widzenia" w miejscach tak daleko położonych od siebie jak Nowy Jork, Vermont i Rhode Island. Wspaniały pojazd pana Tillinghasta niewątpliwie musiał mieć niezły zasięg.

Ludzie widzieli nie tylko światła – wielu świadków twierdziło, że zobaczyło samolot, a nawet dwóch siedzących w nim mężczyzn. Sam Tillinghast natychmiast włączył się do gry; zachowywał się bardzo tajemniczo, znikał na długi czas, a po powrocie prezentował ogorzałą twarz człowieka wysmaganego przez wiatr.

Ale, jak w przypadku Szalonego Gazownika z Mattoon, o którym mówiłem w jednym z wcześniejszych rozdziałów, nastrój prasy nagle się zmienił. W Boże Narodzenie jedna gazeta otwarcie nazwała to złudzeniem, pisząc, że „epidemiczne zaburzenia widzenia, które przewróciły Massachusetts do góry nogami, wczoraj pod koniec dnia z wielkim hukiem zaatakowały miasto". Kilka dni później cała prasa zrobiła zwrot o sto

osiemdziesiąt stopni i radośnie wyszydzała łatwowiernych, że dali się nabrać na kawał.

Będziecie zdumieni, gdy usłyszycie, że nigdy nie wyłoniły się żadne dowody świadczące o tym, że Tillinghast naprawdę miał samolot.

Powyższe przykłady stanowią ilustrację prostej prawdy – mimo wielkiego znaczenia, jakie przywiązujemy do relacji naocznych świadków, osobistych doświadczeń i licznych doniesień o tym samym fenomenie, niekoniecznie muszą być one wiarygodne. Mamy niesłychaną skłonność do oszukiwania samych siebie: jesteśmy omylni, podatni na sugestie i boimy się wystąpić przeciwko racji tłumu. To sprzężenie zwrotne ściemy na społeczną skalę; gdy kolejne doniesienia przydają więcej wagi stwierdzeniu, że coś musi być prawdą, dochodzi do wspomnianych wcześniej aktów „spontanicznego kłamania” i nikt nie chce przyznać, że może od samego początku nic takiego się nie wydarzyło.

Silna wiara w coś, co nie istnieje, leży u podłoża dziwacznych manii, które często się pojawiały na przestrzeni dziejów. Nasza skłonność do zaraźliwej irracjonalności, podsycana przez pogłoski i najsilniej objawiająca się w postaci zbiorowych urojeń, dochodzi do głosu przede wszystkim wtedy, gdy wiąże się z czymś, co budzi w nas lęk. Koncepcja „paniki moralnej” jest całkiem niedawnym wynalazkiem, ale samo zjawisko istnieje od wielu stuleci. I to, co zdarzało się w przeszłości, wydaje się dziwnie podobne do tego, co widzimy dzisiaj.

Tematy zaskakująco się powtarzają, na przykład nagły i szeroko rozpowszechniony strach, że jakaś zła zewnętrzna siła powoduje kurczenie się albo nawet zanik męskich narządów płciowych. Zjawisko znane jest z różnych okresów historycznych i różnych kultur (fachowy termin medyczny to „koro”). W 1967 roku, gdy wybuchła panika kurczących się penisów w Singapurze, jeden ze szpitali zgłosił, że podczas jej

największego nasilenia przyjmowano dziennie siedemdziesięciu pięciu mężczyzn przekonanych, że ich fiuty robią się coraz mniejsze i w końcu zupełnie znikną. W Nigerii w 1990 roku wybuchła epidemia znikających penisów, przypisywana czarom[6]. W średniowiecznej Europie powszechny był strach przed wiedźmami kradnącymi penisy (i czasami umieszczającymi je w drzewach[7]).

Ludzie są dziwni.

Kolejną ważną kategorią jest panika dotycząca skażonej żywności i napojów. Przykłady są powszechne: od uporczywych pogłosek o zatrutych słodyczach po pogłoski, które pod koniec lat dziewięćdziesiątych zalały część Bliskiego Wschodu, że guma do żucia jest nafaszerowana afrodyzjakami powodującymi niekontrolowane zachowania seksualne[8]. Ale nic nawet się nie zbliża do skali i skutków strachu przed zatrutą wodą, paniki, która zawładnęła Francją siedemset lat temu.

Obecnie istnieją (całkiem uzasadnione) obawy związane z rolą aplikacji takich jak WhatsApp w rozprzestrzenianiu pogłosek i podburzaniu do przemocy w wielu krajach na świecie. I łatwo jest wpaść w pułapkę myślenia, że już samo korzystanie z komunikatorów w związku z jakimś wydarzeniem musiało być jego przyczyną.

W kwietniu 1321 roku w mieście Périgueux w południowo-zachodniej Francji wybuchła panika. Gruchnęła plotka, że zawiązano spisek mający na celu zatrucie miejskiej studni. Wówczas, w średniowieczu, zatruwanie zasobów wody było bardzo bliskim odpowiednikiem stosowania broni masowej zagłady.

Krótkie wprowadzenie dla zilustrowania tła: W latach poprzedzających wybuch tej paniki kontynent dotknęła wielka klęska głodu, która pochłonęła niesłychaną liczbę ofiar. Śmierć wciąż wisiała w powietrzu i ludzie, czemu trudno się dziwić, żyli w ciągłym strachu.

W Périgueux plotkarze znaleźli winnych: trędowatych. Burmistrz kazał ich wszystkich aresztować. Dziesięć dni później każdy jeden spłonął na stosie, a ich dobytek zawłaszczono i sprzedano miejscowym panom.

Panika nie zatrzymała się jednak w Périgueux. Kilka dni później oskarżono trędowatych o zatruwanie studni w Martel na wschód od Périgueux, w Lisle-sur-Tarn, ponad trzysta kilometrów na południowy wschód, i w Pamiers, prawie trzysta kilometrów na południe[9].

Teoria mówiła, że trędowaci próbują rozprzestrzenić chorobę na niezarażoną większość, co budziło obłędny strach nie tylko przed chorobą, ale również przed zamianą ról. Trędowaci „spiskowali przeciwko zdrowiu społeczeństwa – napisał inkwizytor Bernard Gui – żeby zdrowi ludzie przez picie lub używanie wody zarazili się i zostali trędowatymi albo umarli, albo zostali zniszczeni od środka; i w ten sposób liczba trędowatych wzrośnie, a wszyscy zdrowi ludzie wyginą”[10].

W ciągu trzech miesięcy panika rozprzestrzeniła się z regionu Tuluzy na większą część Francji, przenoszona z osoby na osobę, z miasta do miasta. Przekroczyła granicę i zawitała na tereny dzisiejszej Hiszpanii. Na początku czerwca król Jakub II Sprawiedliwy, obawiając się przenikania zagranicznego zagrożenia na swoje ziemie, rozkazał zamykać trędowatych wchodzących do królestwa do czasu wyjaśnienia sprawy. Pod koniec czerwca zadecydował, że to za mało, i kazał aresztować wszystkich cudzoziemców.

W lipcu król Francji nakazał aresztowania i torturowanie trędowatych. Zginęły setki ludzi. W Tuluzie w oficjalnych sprawozdaniach z tego roku pojawiła się cała nowa rubryka poświęcona dochodom ze skonfiskowanych majątków straconych trędowatych.

Nieco później tego lata teoria spisku zmutowała. Coś, co zaczęło się jako szerzony przez plotkę zwykły strach przed chorobą, weszło do

królestwa polityki – a kiedy plotka staje się polityczna, potężni ludzie próbują dostosować ją do swoich planów. Najbardziej godna uwagi zmiana, jaka wówczas zaszła, dotyczyła winnych. Nagle przestali nimi być trędowaci; winą obarczano żydów albo muzułmanów.

W Chinon stracono stu sześćdziesięciu Żydów.

W końcu, gdy lato zbliżało się do końca, ludziom wreszcie zaczęło świtać, że tak naprawdę nikt nie zatruwał studni. Król Francji Filip rozkazał uwolnić z więzień trędowatych, co prawdopodobnie nie stanowiło większej pociechy dla tych, którzy zostali straceni.

Jednakże plotka nie umarła. Panika może się skończyła, ale pomysł, że ludzie zatruwają studnie, szerzył się w Europie; czasami drzemał przez lata, zanim znów się pojawiał. Wrócił ze zdwojoną siłą w roku 1348, gdy kontynent pustoszyła dżuma i panował paniczny strach przed zarazą. W rezultacie tego nawrotu w cesarstwie niemieckim spalono do gołej ziemi setki żydowskich osad.

Warto pamiętać, że działo się to nie tylko przed erą mediów społecznościowych, ale też na długo przed erą jakichkolwiek mediów. Prawie trzysta lat przed wydaniem pierwszej gazety. Wówczas najszybsze informacje mogły się przemieszczać z prędkością konia.

Mimo to wiele elementów wydaje się znajomych. Zaczyna kursować całkowicie bezpodstawna plotka – fake news, jeśli wolicie. Rozchodzi się lotem błyskawicy. Staje się wirusowa, można by rzec. Przekracza granice, z czasem mutuje, pojawia się co jakiś czas i ma straszne konsekwencje. Jak widzieliśmy, strach, że jakaś złowieszcza siła kombinuje coś przy naszym jedzeniu i piciu, powracał na przestrzeni dziejów; w naszych czasach wirusowe plotki o zatrutej żywności stanowią jedną z największych kategorii na Facebooku.

Oczywiście, skoro mówimy o nagonkach na rzekomych winnych, nie wolno zapomnieć o nagonce wszech czasów, czyli prawdziwym polowaniu na czarownice. Istnieje mnóstwo przykładów, którymi można zilustrować to szaleństwo panujące w Europie przez kilka stuleci, ale skupmy się na pewnym królu.

W porównaniu z większością historycznych przywódców Jakub VI, król Szkocji (vel Jakub I, król Anglii i Irlandii), w gruncie rzeczy wcale nie był takim złym facetem. W miarę przy zdrowych zmysłach, zdołał utrzymać w kupie kraje rozdarte przez spory religijne, nigdy nie wydawał się przesadnie zaangażowany w prześladowania katolików, wchodzące przecież w zakres jego obowiązków; prawie na pewno notorycznie uprawiał seks ze swoimi ulubionymi dworzanami. Punkt dodatkowy: Biblia Króla Jakuba, która jest bardzo ładnie napisana.

Problem z Jakubem polegał na tym, że dostał świra na punkcie czarownic.

Nie świra typu „Miał kasetę ze *Szkołą czarownic*, farbował włosy na czarno i był fanem Neila Gaimana”. Bardziej chodziło o „osobiste nadzorowanie tortur”. Jakub zaszczepił w Szkocji ideę polowania na czarownice, zapoczątkowując trwające dziesiątki lat prześladowania w całym kraju. Nie tylko zarządził przeprowadzanie procesów o czary na wielką skalę, ale też napisał o nich książkę. Sprzedała się dość dobrze (w sumie nic dziwnego, był przecież pieprzonym królem) i podsyciła narodową obsesję, która doprowadziła do zamordowania bardzo wielu kobiet, a także całkiem niemałej liczby mężczyzn.

Jakub podłapał swoje śmiercionośne hobby w obłąkanej na punkcie czarów Danii, dokąd wyskoczył po nową nastoletnią pannę młodą, Annę, siostrę duńskiego króla. Zła pogoda uniemożliwiła Annie podróż do Szkocji, gdzie miało zostać zawarte małżeństwo, więc Jakub wybrał się po

nią osobiście. Sztormy sprawiły, że utknął tam na dłużej. Wyruszywszy w drogę w październiku 1589, wrócił do Szkocji dopiero w maju następnego roku i w tym czasie para zdążyła się pobrać, zaliczyć miesiąc miodowy, pozwiedzać, popolować z pijącym na umór genialnym astronomem Tycho Brahem i generalnie całkiem nieźle się bawić.

Ale Jakub zawsze był lekkim paranoikiem (nie bez racjonalnych powodów, zważywszy, że mnóstwo ludzi naprawdę chciało go zabić) i po powrocie do Szkocji głęboko dumał o frustrujących podróżach. Zastanawiając się nad pytaniem „Jak to możliwe, że przez całą zimę była taka zła pogoda?”, naturalnie znalazł odpowiedź: „Przez czarownice, ponieważ mieszkasz w przeklętej Szkocji”. „O tak – zawtórowali mu nowi duńscy przyjaciele, mądrze kiwając głowami – zdecydowanie przez czarownice. Klasyczne czarownice”.

I tak oto w North Berwick zaczęły się procesy nie mniej niż siedemdziesięciu osób oskarżonych o różne aspekty działalności związanej z czarami. Głównych „winnych” zmuszano do zeznań torturami, przy czym w kilku takich sesjach Jakub uczestniczył osobiście. Według broszury *Newes from Scotland*, w której król chełpi się swoim triumfem, nieszczęśnicy przyznawali się między innymi do całowania pośladków diabła, pozwalania diabłu na lizanie intymnego miejsca, spółkowania z diabłem i spowodowania burzy przez wrzucanie kota do morza.

Król Jerzy przesłuchujący czarownice na rycinie z jego dzieła *Demonologia.*

Szacuje się, że przez następne pięć czy sześć dziesiątków lat w Szkocji stracono za czary tysiąc pięćset osób. Mnóstwo, ale ta liczba blednie w porównaniu z niemieckojęzycznymi obszarami Świętego Cesarstwa Rzymskiego, gdzie skazano na śmierć dwadzieścia pięć tysięcy ludzi – głównie kobiet. Możliwe, że w całej Europie w okresie tego szaleństwa zginęło łącznie pięćdziesiąt tysięcy osób. Może warto o tym pamiętać, gdy następnym razem ktoś zasugeruje, że padł ofiarą „największej nagonki w dziejach”.

Dlaczego? Do licha, co oni sobie myśleli? Zaproponowano mnóstwo wyjaśnień, przy czym wiele z nich nawiązuje do faktu, że siedemnasty wiek

na całym kontynencie był okresem skrajnego religijno-społeczno-politycznego chaosu pod hasłem „Raz się żyje” (czasami opatruje się go nazwą „ogólnego kryzysu” z powodu całego tego gówna, które rozlało się po Europie; przypomnijcie sobie sporządzoną przez Roberta Burtona melancholijną listę wydarzeń, które po prostu nie chcą się przestać zdarzać). Czy polowanie na czarownice było spowodowane przez kryzys gospodarczy? Przez małą epokę lodowcową? Czy było próbą wyeliminowania jednej płci? A może po prostu przebiegłym sposobem na pozbycie się nielubianych osób?

(To nie żart – naprawdę istnieje taka teoria wysunięta przez kilku bardzo szanowanych antropologów. Krótka wersja: Z analizy angielskich procesów o czary wynika, że większość oskarżonych była wrednymi sąsiadami, a wszyscy inni niezwykle się radowali, że na zawsze się od nich uwolnili).

Wyniki pewnych niedawnych badań dowodzą nawet, że polowania na czarownice zostały zaaprobowane i spotęgowane przez rywalizujące Kościoły – katolicki i protestancki – jako skuteczna technika sprzedaży. (Jak ujmuje to samo opracowanie: „Europejskie procesy o czary odzwierciedlają konkurencyjność niecenową między Kościołem katolickim i protestanckim o udziały na rynku religijnym w rywalizujących częściach świata chrześcijańskiego”[11]). Innymi słowy, na obszarach, gdzie katolicy i protestanci prowadzili bezpośrednią rywalizację, wytoczono mnóstwo procesów o czary, a tam, gdzie Kościół katolicki zachował dominację, było ich niewiele. Nie mam możliwości osądzić, na ile poprawna jest ta teoria, ponieważ nie jestem ekonomistą od czarownic.

Ale bez względu na to, czy wybierzecie jedno wyjaśnienie europejskich polowań na czarownice, czy zadecydujecie, że prawdopodobnie w grę wchodziło wiele różnych czynników, nigdy nie powstanie jednolita teoria

tych polowań. Ponieważ oczywiście nie ograniczały się one tylko do europejskiej przeszłości. W zależności od tego, jak definiuje się „czarownice” i „polowanie”, można przyjąć, że do polowań na czarownice dochodziło w takim czy innym momencie historii dosłownie w każdej kulturze na świecie.

W ostatecznym rozrachunku może się to więc sprowadzać do dość podstawowego problemu, jaki mają ludzie: skonfrontowani z mieszającą w głowie złożonością świata i frustracjami życia, potrafimy wskazać palcem grupę tych, którzy nie są nami, i krzyknąć: „To ich wina!”. I jeśli nawet sami tego nie zrobimy, zwykle znajdą się inni, którzy odniosą korzyści z mówienia nam, kogo obwinić. Czarownice były historycznie popularnym wyborem, ale wśród innych kozłów ofiarnych są imigranci, Żydzi, komuniści, iluminaci – a czasami wszystkie te cztery kategorie w jednym, gdy ma się szczęście.

Problem oczywiście dotyka wiary u samych podstaw i nie powinno dziwić, że religia może formować kręgosłup naszych co dzikszych wyobrażeń. Przytoczę tylko jeden wybitnie groteskowy przykład. W 1962 roku dwóch braci z Yerba Buena w Meksyku postanowiło zrobić przekręt. Uznali, że ich współobywatele są łatwowierni i dadzą się nabrać na oszustwo związane ze starożytnym skarbem Inków i powrotem bogów. W tym celu wynajęli w pobliskim mieście zubożałą prostytutkę, Magdalenę Solís, i namówili ją do odgrywania reinkarnacji inkaskiej bogini, która miała stanąć na czele kultu. Niestety, Solís do tego stopnia wczuła się w rolę, że jak to często bywa z boginiami, zaczęła wierzyć, że jest boginią, i żądać krwawych ofiar. Zamordowano co najmniej cztery osoby, żeby Solís i jej wyznawcy mogli wypić ich krew.

Lubimy myśleć, że zanim staliśmy się nowocześni i wyrafinowani, zostawiliśmy potwory naszej wyobraźni w przeszłości, w minionych

stuleciach, gdy wszystko było cieniem i mrokiem. Ale potwory podróżują z nami, tylko czasami nadajemy im nowe twarze albo inne imiona.

Dlatego na przykład zimą 1929 roku grupa złożona z dwudziestu uzbrojonych mężczyzn wyruszyła w sosnowe lasy New Jersey na poszukiwanie prawdziwego potwora. Potworem w tym wypadku był Diabeł z New Jersey – osławiony bohater lokalnego folkloru. „New York Times", który zrelacjonował te szczególne łowy, opisał go jako „tajemniczą zjawę, skrzydlatą i kudłatą, dyszącą ogniem, wyposażoną w kły i ścinającą krew w żyłach"[12].

Zainteresowanie Diabłem z Jersey żyło dzięki połączeniu plotki i pogłoski, podsycane przez stałą uwagę prasy. Polowanie z 1929 roku sprowokowały dwa zdarzenia: pewien farmer znalazł w lesie zaszlachtowaną świnię i odciski stóp o czterech palcach, a dwóch uczniów któregoś popołudnia natknęło się na „kudłatego, czarnego potwora ze świńskim ryjem, wydającego niesamowite krzyki"[13].

Wezwano policję. Posłano w las psy, żeby zwietrzyły bestię. Myśliwi się skrzyknęli i ruszyli w knieję, niczego jednak nie znaleźli.

To chyba oczywiste, ponieważ nie ma czegoś takiego jak Diabeł z New Jersey. Lecz wiara i stały strumień opowieści powołały go do istnienia i utrzymywały przy życiu. Ludzie regularnie widywali go w dziewiętnastym i dwudziestym wieku; bez wątpienia Diabeł z New Jersey wkroczy też w obecne stulecie. W rzeczywistości jego korzenie sięgają daleko w przeszłość – według miejscowej legendy zaczął terroryzować okolicę w roku 1735, kiedy to niejaka Ma Leeds z Burlington w New Jersey powiła strasznego potwora. Początkowo nie nazywano go Diabłem z New Jersey; był znany po prostu jako Diabeł Leeds.

Ci, którzy czytają tę książkę w tradycyjny sposób, od początku do końca, może zauważą coś znajomego w pewnych szczegółach powyższego

akapitu.

1735. Burlington, New Jersey. Leeds.

Zgadza się! Diabeł z New Jersey był pierwotnie mitem związanym z rodziną Leedsów i narodził się dokładnie w tym samym roku, w którym Benjamin Franklin z wyprzedzeniem ogłosił śmierć Titana. Chciałbym powiedzieć, że to sam Franklin stworzył legendę. Opowieść zatoczyłaby koło i byłoby to fantastyczne zakończenie książki. Niestety, nie mogę. To znaczy, sądzę, że Franklin mógł zainicjować narodziny Diabła, ale prawdopodobnie tego nie zrobił i nie ma żadnych dowodów ani za, ani przeciw tej teorii. Historia nie zawsze układa się tak elegancko, dlatego muszę zakończyć ten rozdział bez satysfakcjonującego comebacku Bena Franklina. Za to całkiem możliwe, że Franklin i twórcy legendy po prostu reagowali na te same stare kalumnie rzucane na Daniela Leedsa, „zwiastuna szatana", i że lokalny małostkowy konflikt doprowadził do tego, że dwa stulecia później ludzie ze strzelbami skradali się po lesie i szukali diabła istniejącego tylko w ich wyobrażeniach.

---

[1] Rowlatt Justin, *Gatwick drone attack possible inside job, say police*, BBC News, 14 kwietnia 2019, dostępne na https://www.bbc.co.uk/news/uk-47919680

[2] *Gatwick drones pair no longer suspects*, BBC News, 23 grudnia 2018, dostępne na http://web.archive.org/web/20181223172230/ https://www.bbc.co.uk/news/uk-england-46665615 (BBC później przeredagowało artykuł, żeby usunąć wypowiedź policji).

[3] Rowlatt Justin, *Gatwick drone attack possible inside job, say police*, BBC News, 14 kwietnia 2019, dostępne na https://www.bbc.co.uk/news/uk-47919680.

[4] Patrz mapa interaktywna w: Holman Brett, *Mapping the 1913 phantom airship scare*, dostępne na https://airminded.org/2013/05/03/mapping-the-1913-phantom-airship-scare/.

[5] Hirst Francis Wrigley, *The Six Panics and Other Essays*, Methuen, 1913.

[6] Bartholomew Robert E., *Hoaxes, Myths, and Manias: Why We Need Critical Thinking*, Prometheus Books, 2003 (Kindle edition).

[7] Mattalaer Johan J. i Jilek Wolfgang, *Koro – The Psychological Disappearance of the Penis*, „Journal of Sexual Medicine", tom 4, nr 5, 2007.

[8] Bartholomew Robert E., *A Colorful History of Popular Delusions*, Prometheus Books, 2015.

[9] Barzilay Tzafrir, *Well-Poisoning Accusations in Medieval Europe: 1250–1500*, Columbia University thesis, 2016, dostępne na https://academiccommons.columbia.edu/doi/10.7916/D8VH5P6T.

[10] Gui Bernard, *Vita Joannis XXII*, cytowane w: Barzilay, *Well-Poisoning Accusations in Medieval Europe: 1250–1500*.

[11] Leeson P.T. i Russ J.W., *Witch Trials*, „The Economic Journal", tom 128, nr 613, 2018.

[12] *Posse Sets Out as 'Jersey Devil' Reappears*, „New York Times", 19 grudnia 1929.

[13] Tamże.

Zakończenie

Ku prawdziwszej przyszłości

Na początku 2018 roku stałem w ruinach Tulum, dawnego miasta Majów, i patrzyłem, jak mały, rozkoszny ssak radośnie pałaszuje miąższ kokosa. Zwierzątkiem był koati, znany również jako mrównik brazylijski – krewny szopa pracza, ale słodszy, emanujący mniejszą aurą czarów. Byłem zachwycony, że go zobaczyłem, bo mrównik brazylijski jest zwierzęciem, które piekielnie dużo mówi nam o prawdzie i o tym, jak kiepsko sobie z nią radzimy.

Z koati mianowicie wiąże się wyjątkowa ciekawostka. Otóż ten zwierzak wcale nie jest znany jako mrównik brazylijski… a przynajmniej nie był do 2008 roku, kiedy wszystko się pokręciło.

Dylan Breves, student z Nowego Jorku, pojechał na wakacje do Brazylii, zobaczył kilka koati i uznał – bardzo niesłusznie – że są to mrówniki. Nie chcąc się wstydzić swojego godnego ubolewania braku wiedzy o ssakach, dla żartu umieścił na stronie Wikipedii drobną adnotację, że (jak już się domyśliliście) koati są również zwane mrównikami brazylijskimi.

O ile nam wiadomo, do tej pory – dokładnie przed 23.36 czasu brazylijskiego jedenastego lipca 2008 roku – nikt nigdy nie użył określenia „mrównik brazylijski”. Nikt nigdy nie wpisał zlepku tych słów do wyszukiwarki, nikt nigdy nie umieścił ich w opracowaniu naukowym ani nie wydrukował w książce[1].

Normalnie drobny wandalizm w Wikipedii zostałby szybko wyłapany i usunięty przez zawsze czujną armię ochotniczych redaktorów, ale z niewiadomego powodu, mimo że mrówniki nie występują w Ameryce

Południowej i dosłownie nikt nigdy przed Dylanem nie wspomniał o nich słowem, „mrównik brazylijski” prześliznął się przez sito.

Ponieważ informacja znajdowała się w internecie, a ludzie ufają Wikipedii, niedługo później zaczęto na poważnie nazywać koati „mrównikiem brazylijskim”.

W 2014 roku Eric Randall w „New Yorkerze” napisał, że od tamtej pory gazety takie jak „Daily Mail”, „Telegraph” i „Independent” podchwyciły nazwę i bezkrytycznie ją powtarzały[2]. Użyło jej również BBC[3]. „W Marlow wyrwał się na wolność mrównik brazylijski”, krzyczał nagłówek lokalnej gazety w Buckinghamshire, gdy koati uciekł właścicielowi. „Więc tak wygląda mrównik”, informuje nagłówek w lokalnej gazecie w Worcester, umieszczony nad zdjęciem koati, który ani trochę nie przypomina mrównika[4]. Zdjęcia koati z podpisami „mrównik brazylijski” można znaleźć również na stronach internetowych „Time’” i „National Geographic”, a „Scientific American” poszedł jeszcze dalej, zmieniając tradycyjną kolejność podawania nazw w artykule o ochronie środowiska, pisząc: „Mrównik brazylijski, lokalnie zwany koati”[5]. Wyssana z palca nazwa została użyta co najmniej w jednym poważnym piśmie naukowym i pojawiła się w publikacjach co najmniej dwóch wiodących wydawnictw akademickich na świecie[6]. Jednym jest University of Chicago Press („Koati, znany również jako ostronos rudy albo mrównik brazylijski”[7]); drugie, Cambridge University Press, w cudowny sposób powtarza błąd w akapicie o wielkim osiemnastowiecznym przyrodniku Buffonie, który krytykował innych przyrodników za powtarzanie błędów poprzez kopiowanie tekstów swoich kolegów. „Powielanie błędów było jedną z najpospolitszych cech osiemnastowiecznej historii naturalnej”[8]. W istocie.

Wszystko to rodzi pytanie: Czy nazwa nadal jest niewłaściwa? Czy obecnie koati naprawdę są znane również jako mrówniki brazylijskie? Czy durny żart zmienił nazwę zwierzęcia tylko dzięki temu, że jeśli coś jest w Wikipedii, to będzie się rozchodzić po świecie, dopóki nie stanie się swego rodzaju prawdą?

Odpowiedź, jak to często bywa, brzmi „E… może”. Informacja, że koati zwany jest mrównikiem brazylijskim, zniknęła z Wikipedii, ponieważ brakowało dowodów potwierdzających powszechne używanie tej nazwy. A od 2014 roku, kiedy ukazał się artykuł w „New Yorkerze” i błędna nazwa została usunięta, trochę rzadziej się ją przywołuje (jedna wzmianka pojawiła się w „Guardianie” w 2017 roku, chociaż możliwe, że był to dowcip dla wtajemniczonych[9]). Nie ma jednak wątpliwości, że mrównik brazylijski zaistniał i że jeśli wszyscy zgodzimy się nazywać koati mrównikiem, to wtedy, cholera, tak właśnie będzie nazywany.

Mrównik brazylijski pałaszujący smakołyk w Tulum w Meksyku.

Może zabrzmi to jak zamierzony kiepski żart kosztem Wikipedii, chociaż tak nie jest, ale trzeba przyznać, że pod żadnym względem nie był to jedyny incydent związany z tą internetową encyklopedią. Mamy godny ubolewania przypadek wynalezienia nowoczesnej prostownicy do włosów, kiedy to Madam C.J. Walker, afroamerykańska pionierka biznesu, w sierpniu 2006 roku została zastąpiona przez „Ericę Feldman (z buzią niemowlaka robiącego kupkę)". Administratorzy Wikipedii szybko wykryli wandalizm… i usunęli tylko słowa „buzię niemowlaka robiącego kupkę", pozostawiając jednak zasługę wynalezienia prostownicy Erice Feldman, kimkolwiek ta, u licha, jest. Problem w Wikipedii został dawno zlikwidowany, ale jeśli dziś wpiszesz w Google „Erica Feldman hair straightener", wyskoczy mnóstwo stron radośnie informujących o wkładzie tej pani w afroamerykańską pielęgnację włosów.

Aha, był również przypadek, gdy w raporcie Leveson Inquiry (zleconym przez sędziego Levesona badaniu „kultury, praktyk i etyki brytyjskiej prasy") wymieniono dwudziestopięcioletniego kalifornijskiego studenta Bretta Strauba jako jednego z założycieli gazety „Independent", ponieważ jego kumpel postanowił dla żartu umieścić jego nazwisko w Wikipedii[10]. Stwierdzenie, że brytyjska prasa miała ubaw po pachy, byłoby małym niedopowiedzeniem.

Co więcej, Wikipedia nawet stworzyła listę podobnych incydentów, zatytułowaną *citogenesis* – termin ten został ukuty przez Randalla Munroego, autora komiksu internetowego *xkcd* – obejmującą takie perełki jak ta, że produkcję kartonowych pudeł na skalę masową rozpoczął w 1817 roku Anglik, sir Malcolm Thornhill (obecnie ta mistyfikacja jest replikowana w całym internecie), i jak całkowicie wymyślona choroba zwana „glucojasinogen", której nazwa później występowała w wielu artykułach naukowych[11].

Czytelnicy o dobrej pamięci może pamiętają, że na początku rozdziału drugiego obiecałem, że nie będę stosować metody kopiuj-wklej z Wikipedii[12]. Mogę tylko przeprosić. Skłamałem. Pogódźcie się z tym.

Ale we wszystkich tych przypadkach problemem jest nie tyle Wikipedia, ile ludzie na ślepo kopiujący informacje z jednego źródła i zakładający, że są poprawne (i kolejni ludzie biorący to nowe źródło za dowód, że pierwsze było poprawne, i tak dalej). Jak wielokrotnie wykazywałem w tej książce, tego rodzaju fałszywe potwierdzenia nie są czymś, co jest ograniczone do ery internetu; sprzężenie zwrotne ściemy towarzyszy nam od wynalezienia druku, a prawdopodobnie znacznie dłużej. Przyrodnik Buffon narzekał dokładnie na to samo pod koniec osiemnastego wieku, co sugeruje, że sprzężenie zwrotne ściemy nie jest genialnym wynalazkiem Jimmy'ego Walesa.

Łatwo jest nam winić Wikipedię (albo Twittera, albo telefony, albo prasy drukarskie) za istniejący od dawna systemowy problem związany z gromadzeniem i przekazywaniem wiedzy, ponieważ obwinianie nowości jest łatwe i zabawne. Ale takie podejście raczej mija się z celem. Zostało to wykazane w bezczelnym eksperymencie, który w 2009 roku przeprowadził irlandzki student Shane Fitzgerald, kiedy świat obiegła wiadomość, że zmarł francuski kompozytor Maurice Jarre. Zdając sobie sprawę, że dziennikarze zajrzą do Wikipedii, Fitzgerald sfabrykował cytat mistrza zbyt dobry, żeby go nie wykorzystać – „Kiedy umrę, w mojej głowie zabrzmi ostatni walc, który tylko ja będę słyszeć" – i umieścił go na stronie poświęconej Jarre'owi. Ten szczególny akt wandalizmu szybko został wykryty i usunięty, ale podczas krótkiego istnienia cytat zdążył trafić do wielu czołowych gazet świata. I w przeciwieństwie do Wikipedii żadna z nich się nie połapała; sprostowania zaczęły ukazywać się miesiąc później,

kiedy Fitzgerald poinformował gazety, co zrobił. Jego test wykazał, że Wikipedia jest naprawdę znacznie bardziej wiarygodna niż prasa.

Wikipedia – i generalnie internet – wręcz pozwala nam odsłaniać prawdę o tego rodzaju błędach, które popełniamy od bardzo długiego czasu. Każdy z dostępem do danych może na własne oczy zobaczyć, kiedy, z dokładnością co do minuty, w świat wyszła fałszywa informacja o koati zwanych mrównikami brazylijskimi. Przed erą internetu wytropienie takiego humbugu mogło być tematem na całą pracę magisterską.

To prawdziwy problem z historią – jest mnóstwo tego, co wiemy, i mnóstwo tego, o czym myślimy, że wiemy, a o czym w rzeczywistości możemy nie wiedzieć, tyle że, niestety, po prostu nie wiemy, czego w rzeczywistości nie wiemy.

Weźmy na przykład historię niewiarygodnego zbiegu okoliczności, który doprowadził do wybuchu pierwszej wojny światowej. Do zabójstwa arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie dwudziestego ósmego czerwca 1914 roku doszło wskutek tego, że zamachowiec Gawriło Princip przypadkiem wstąpił po kanapkę do delikatesów Moritza Schillera – i jadł ją, gdy zobaczył przejeżdżającą limuzynę (która zboczyła z zaplanowanej trasy). Skorzystał z okazji i reszta jest… cóż, historią. Gdyby akurat w tej chwili Princip nie miał ochoty wrzucić czegoś na ząb albo może zadecydował, że chce przekąsić coś innego, wtedy sposobność oddania brzemiennego w skutki strzału przeszłaby mu koło nosa i może kontynent nie pogrążyłby się w wojnie.

To wspaniała opowieść o tym, jak najmniejsze drobiazgi mogą spowodować kolosalne skutki. Poza tym jest zupełnie nieprawdziwa.

Wygląda na to, że jej źródłem był wyemitowany w 2003 roku program dokumentalny BBC, ponieważ zawierał motyw z kanapką – chociaż według dziennikarza Mike’a Dasha, który tropił pochodzenie kanapkowej historii,

reżyser programu nie pamięta, skąd się wziął akurat ten szczegół – i opowieść rozeszła się lotem błyskawicy. Teraz występuje w internecie i nawet trafiła do książki szanowanego dziennikarza BBC, Johna Simpsona, zatytułowanej… otóż to… *Unreliable Sources* (Niepewne źródła).

Nie jest to nowe zjawisko. Jeśli jesteś fanem baniek finansowych, może poczułeś się zaskoczony, że wymieniając ich przykłady kilka rozdziałów temu, nie wspomniałem o „tulipomanii" z 1637 roku. Możliwe, że była to najsłynniejsza bańka wszech czasów, kiedy cena tulipanów w Holandii najpierw szybowała ku niebu, a później runęła na łeb na szyję, doprowadzając do bankructwa wielu spekulantów tulipanowych. Stało się to przyczynkiem do dyskusji o ludzkiej skłonności do głupoty, odkąd w 1841 roku ukazała się książka Charlesa Mackaya, *Extraordinary Popular Delusions and the Madness of Crowds* (Nadzwyczajne złudzenia i szaleństwa tłumów), z której bezwstydnie ściągnąłem tytuł rozdziału ósmego… i zasadniczo pomysł na tę książkę. Niestety, jak się zdaje, zawarta w niej historia jest jeśli nie zupełnie fałszywa, to przynajmniej szalenie przesadzona; Mackay czerpał informacje z pamfletów przeciwników spekulacji finansowych i w rzeczywistości nikt nie zbankrutował z powodu wzrostu i spadku ceny tulipanów.

Problem w tym, że mnóstwo rzeczy, o których myślimy, że je wiemy, opiera się na drżących fundamentach, również nie ogranicza się do przeszłości. Obecnie nauka przechodzi „kryzys replikacji" – odkrywamy, że mnóstwo elementów wiedzy, które według nas mają solidne podwaliny, jest w rzeczywistości zupełnie iluzorycznych. To wszystko sprowadza się do jednego z podstawowych elementów „metody naukowej" (uwaga do socjologów nauki: owszem, wiem, że nie ma czegoś takiego jak jedyna metoda naukowa; odczepcie się). Jest faktem, że eksperymenty naukowe są tak skonstruowane, żeby każdy inny mógł je powtórzyć – dlatego

uczniowie są przyuczani do podejmowania prób udowodnienia prawa Newtona z wykorzystaniem klasycznej formy celów, metod, wyników i wniosków.

Kłopot w tym, że w większości wypadków nikt tak naprawdę nie zawraca sobie głowy powtarzaniem już raz przeprowadzonych ważnych eksperymentów. Częściowo powodem jest system motywacji w nauce: nikt nie dostanie dużych grantów ani prestiżowych stanowisk na uniwersytecie za kopiowanie tego, co ktoś już kiedyś zrobił. Jeśli chcesz na uczelni posuwać się do przodu, musisz opracować coś nowego i oryginalnego, coś, co poszerzy naszą wiedzę. To, niestety, oznacza, że nikt nie zadaje sobie fatygi, żeby zweryfikować ogrom tego, co uważamy za naszą istniejącą wiedzę.

Jest to wyjątkową bolączką w dziedzinie psychologii, w której podjęte na szeroką skalę próby powtórzenia uznanych eksperymentów, powszechnie cytowanych i umieszczanych w wielu odnośnikach, doprowadziły do niepokojącego wniosku, że w około pięćdziesięciu procentach nie można tego dokonać – może po prostu od początku rezultaty były przypadkowe. Co jeszcze bardziej interesujące, wydaje się, że eksperci w tej dziedzinie mają nosa, gdy chodzi o obstawianie podejrzanych wyników. Eksperymentatorzy poprosili dużą grupę niezależnych specjalistów o wytypowanie, które z badań można powtórzyć, a które nie. Ich wskazania okazały się zaskakująco trafne, co może jest dobrą wiadomością dla fanów zakładów bukmacherskich, ale już gorszą dla systemu *peer review*, czyli oceny cudzych dokonań naukowych przez innych uczonych o podobnym lub lepszym dorobku.

Aha, i jeśli ktoś zamierza powiedzieć „Przecież to tylko psychologia, nawet nie prawdziwa nauka”, to mam zabawną wiadomość: w fizyce też nastał kryzys replikacji. Niech pan to sobie wsadzi w fajkę i popyka, panie

Einstein. (Dla informacji, obecnie uważa się, że jakieś dwadzieścia procent opublikowanych prac Einsteina zawiera błędy. Wygląda na to, że jakoś dochodził do właściwych wniosków, mimo że pracował na błędnych założeniach. To ci dopiero geniusz!).

Więc dokąd to wszystko prowadzi? Czy nastał kryzys prawdy? Czy jesteśmy skazani na życie we mgle dezinformacji? Czy w rzeczywistości jesteśmy prawie jak koati, skaczący po ruinach starożytnej cywilizacji, z turystą wskazującym na nas palcem i mówiącym: „Patrz, Doris, to mrównik brazylijski”?

Myślę, że nie. Jasne, zdaję sobie sprawę, że wszyscy pływamy w morzu półprawd i kłamstw, ponieważ świat jest durny i skomplikowany, nikt dokładnie nie wie, co się dzieje, i po prostu w taki sposób są skonstruowane nasze mózgi. Ale to nie kryzys. Tak się sprawy zawsze miały.

Cytat, od którego zacząłem tę książkę, zaczerpnięty z pracy lekkomyślnego badacza Arktyki, Vilhjalmura Stefanssona – „Najbardziej uderzającą sprzecznością naszej cywilizacji jest głoszony przez nas fundamentalny szacunek do prawdy i głębokie lekceważenie, z jakim ją praktykujemy” – może brzmi, jakby pochodził z dzieła, które będzie lamentować nad naszym niepowodzeniem dorastania do standardów prawdy. W rzeczywistości autor obiera przeciwny kurs, sugeruje bowiem, że może nie powinien nas zbytnio zaskakiwać fakt, że prawda należy do rzadkości. „Jest pewną naiwnością ze strony filozofów, którzy na podstawie niedostatku prawdy stawiają diagnozę, że świat cierpi na nieuleczalną chorobę – pisze. – Czy nie jest możliwe, że nie mogą nas wyleczyć z tej prostej przyczyny, że nie jesteśmy chorzy?”

Sądzę, że to pierwsze, co musimy zrobić, jeśli chcemy przesunąć igłę kompasu z powrotem od nieprawdy w kierunku prawdy: nie dajmy się zwariować. Musimy być świadomi, że kit zawsze będzie z nami i że

najlepsze, na co możemy liczyć, to trzymanie go w szachu (odnosi się to zwłaszcza do władz myślących o wydaniu zakazu publikowania fake newsów; coś takiego spowodowałoby gorsze problemy niż ten, który próbuje się zlikwidować).

Ale są również pewne praktyczne rzeczy, które możemy zrobić – jako społeczeństwo i dla siebie.

Musimy znosić bariery wysiłku, co wymaga… niestety, włożenia odrobiny wysiłku. Może to oznaczać gotowość do płacenia ludziom za weryfikowanie informacji (zajmuję się sprawdzaniem faktów, więc oczywiście muszę polecić ten sposób), ale nie tylko. Różne grupy w naszym społeczeństwie, pracujące mniej więcej na polu prawdy, powinny stać się znacznie lepsze we współpracy. Naukowcy muszą się nauczyć rozmawiać z dziennikarzami, dziennikarze muszą się nauczyć rozmawiać z naukowcami i byłoby wspaniale, gdyby robili to nie tylko za pośrednictwem komunikatów i artykułów prasowych.

Możemy jednak również sami przyczynić się do forsowania bariery wysiłku, po prostu wkładając odrobinę wysiłku, gdy następnym razem ogarnie nas pokusa, żeby podzielić się czymś bulwersującym w internecie. Wystarczy kilka sekund. Sprawdź źródło. Wygoogluj je. Zastanów się, czy informacja nie wydaje się zbyt dobra, żeby mogła być prawdziwa.

Skoro o tym mowa, musimy również sami się kontrolować – każdy z nas, bez względu na to, jak bardzo uważa się za oddanego prawdzie, z łatwością może wpaść w pułapkę i stwierdzić, że chce, żeby coś było prawdą. Co więcej, im bardziej uważamy się za uczciwszych, tym mniej prawdopodobne, że ustrzeżemy się przed tego rodzaju pułapkami. Kiedy więc zatrzymujesz się, żeby sprawdzić źródło jakichś informacji, zadaj sobie pytanie, czy grają one na twoich uczuciach i czy podchodzisz do nich najbardziej sceptycznie, jak tylko można. I możemy zastanowić się nad

szerszym aspektem – każdy popełnia błędy i musimy stać się lepsi w docenianiu tych, którzy otwarcie się do tego przyznają. Tak, idealni politycy z definicji nie chcą niczego przekręcać, ale, hej… nie szczędźmy im odrobiny uznania, gdy sami się poprawiają.

Musimy również zapełniać istniejące próżnie informacyjne. To oczywiście niekończący się proces, realizowany codziennie przez miliony ludzi, którzy w różnorodnych dziedzinach dążą do zwiększenia sumy wiedzy o jakiś ułamek. Ale wciąż możemy zrobić więcej: zbyt wiele informacji jest niedostępnych, ukrytych w bazach danych, w nieopublikowanych raportach albo za płatnym dostępem do treści. Musimy zwiększyć wysiłki, żeby udostępniać więcej dobrych informacji, ponieważ bez tego napłyną te złe, żeby zapełnić próżnię. Nie wystarczy samo wyrywanie chwastów w ogrodzie informacji – musimy również sadzić kwiaty.

I musimy wierzyć, że to zadziała i że ma znaczenie. Poddawanie się i decydowanie, że nikogo nie obchodzi prawda tylko dlatego, że twój kandydat poległ w wyborach, jest dość niedojrzałe. Niemal równie złe jest przekonanie, że internet to jedna gigantyczna fabryka kitu i że nikt nie może nic zrobić, żeby spróbować nad nią zapanować. Jak pokazała ta książka, wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy po raz pierwszy w dziejach mieliśmy te zmartwienia. Szerzące się pogłoski, panika spowodowana przez nowe metody komunikacji, groza wzbudzana przez fałszywe wiadomości i strach przed przeładowaniem informacyjnym – wszystko to istnieje od stuleci. Wtedy sobie poradziliśmy i teraz też możemy sobie radzić, chyba że załamiemy ręce i krzykniemy „LOL, nic nie ma znaczenia”. Największym zmartwieniem związanym z fake newsami nie jest to, że ludzie w nie wierzą. Gorsze jest to, że przestali wierzyć w prawdziwe wiadomości.

I dlatego musimy świętować za każdym razem, gdy coś się nam uda, ponieważ czasami robimy wielkie kroki do przodu. I czasami zdarza się to w najmniej prawdopodobnych miejscach… jak na przykład w ogrodzie za domem w Paryżu.

Przed tymi samymi pytaniami, które tu rozważamy – jak wyplątać małe, nudne prawdy z lśniącego kłębka ekscytujących bzdur – stanęli prawi obywatele tego miasta w latach osiemdziesiątych osiemnastego wieku, kiedy do Paryża zawitał nasz stary przyjaciel i szarlatan, doktor Franz Anton Mesmer. Jak wspomnieliśmy w rozdziale siódmym, król Ludwik XVI nie był szalenie zadowolony, że Maria Antonina pozwala, by Mesmer roztaczał przed nią swoje hipnotyzujące uroki. I tak oto Ludwik zebrał swego rodzaju Avengersów empiryzmu, żeby przetestowali jego teorie. Do grupy należały najświetniejsze umysły Paryża owego czasu, ludzie tacy jak ojciec nowoczesnej chemii Antoine Lavoisier i sławny doktor Joseph-Ignace Guillotin, ten co rok później zaprezentował wynalazek, z którym Ludwik XVI miał zawrzeć bardzo osobistą znajomość.

W swoim poszukiwaniu prawdy członkowie komisji dokonali czegoś, czego, o ile wiemy, nikt wcześniej nie zrobił w historii nauki. Przeprowadzili pierwsze w dziejach świata badania z wykorzystaniem placebo i zaślepiania. Na tyłach domu wiodącego autora członkowie komisji wynaleźli całkiem niezłe badanie naukowe, gdy – stosując w bardzo dosłowny sposób metodę ślepej próby – oprowadzali pacjentów z zawiązanymi oczami po ogrodzie i kazali im się przytulać do rzekomo „namagnetyzowanych” drzew (co też pacjenci czynili, dopóki nie omdleli). Dzięki temu i innym kontrolowanym eksperymentom ostatecznie dowiedli, że teorie Mesmera to jeden wielki pic na wodę.

Można by pomyśleć, że gdy zabrali się do spisywania swoich odkryć, mocno ich korciło, żeby pochwalić się tym triumfem prawdy nad kitem. Nic bardziej mylnego: uderzyli w zupełnie inny ton – niemal ze czcią odnosili się do błędnej teorii Mesmera, uważając ją za znacznie bardziej fascynującą niż przyziemna prawda.

„Może, biorąc wszystko pod uwagę, historia błędów ludzkości jest cenniejsza i bardziej interesująca niż historia ich odkrywania" – napisał wiodący autor. Powtarzając obserwacje Montaigne'a sprzed wieków, kontynuował: „Prawda jest jednolita i wąska; istnieje ustawicznie i zdaje się nie wymagać zbyt wiele aktywnej energii, jako że dusza ma pasywną zdolność do spotykania się z prawdą. Omylność natomiast jest nieskończenie zróżnicowana; nie ma prawdziwości, jest czystym i prostym tworem umysłu. Na tym polu dusza ma dość miejsca, żeby rosnąć, pokazywać wszystkie swoje niezmierne zdolności i całe swoje piękno, a także interesujące ekstrawagancje i absurdy".

Ta książka porusza tylko maleńki ułamek owej „historii błędów ludzkości". Moglibyśmy napisać sto innych wersji bez dublowania zawartych w niej informacji.

Miejmy nadzieję, że uda nam się pójść w ślady demaskatora wspomnianego powyżej oszustwa, człowieka w bardzo ludzki sposób flirtującego to z faktem, to z fikcją – pionierskiego poszukiwacza prawdy, dziwnie zauroczonego niewyczerpanymi, powiększającymi duszę możliwościami nieprawdy. Ponieważ, jeśli chcemy żyć w większej prawdzie, musimy głębiej badać rozległe i płodne pola błędności, żeby zrozumieć, co robimy źle, zanim spróbujemy zrobić to dobrze. Krótko mówiąc, musimy zasadniczo zostać badaczami ściemy.

A właśnie… Jak brzmi nazwisko tego autora, w którego ogrodzie za domem przeprowadzono innowacyjną próbę odkrycia prawdy?

Oczywiście, Benjamin Franklin.

---

[1] Breves Dylan, *Coati*, Wikipedia, zmiana 02.36 UTC, 12 lipca 2008, dostępne na https://en.wikipedia.org/w/index.php?title=Coati&diff=next&oldid=224679361.

[2] Randall Eric, *How a Racoon Became an Aardvark*, „New Yorker", 19 maja 2014, dostępne na https://www.newyorker.com/tech/annals-of-technology/how-a-raccoon-became-an-aardvark; w prasie: Williams Amanada, *Hunt for the runaway aardvark: Lady McAlpine calls on public to help find her lost ring-tailed coati*, „Daily Mail", 8 kwietnia 2013, dostępne na https://www.dailymail.co.uk/news/article-2305602/Hunt-runaway-aardvark-LadyMcAlpine-calls-public-help-lost-ring-tailed-coati.html; Leach Ben, *Scorpions, Brazilian aardvarks and wallabies all found living wild in UK, study finds*, „Daily Telegraph", 21 czerwca 2010, dostępne na https://www.telegraph.co.uk/news/earth/wildlife/7841796/Scorpions-Brazilianaardvarks-and-wallabies-all-found-living-wild-in-UK-study-fnds.html; Brown Jonathan, *From wallabies to chipmunks, the exotic creatures thriving in the UK*, „Independent", 21 czerwca 2010, dostępne na https://www.independent.co.uk/environment/nature/from-wallabies-tochipmunks-the-exotic-creatures-thriving-in-the-uk-2006096.html (chociaż tu jest mowa tylko o mrównikach).

[3] *Scorpions and parakeets „found living wild in UK"*, BBC News, 21 czerwca 2010, dostępne na https://www.bbc.co.uk/news/10365422. Zauważysz, że kilka z nich jest wersjami tej samej historii o gatunkach obcego pochodzenia żyjących dziko w Wielkiej Brytanii. Wszystkie powstały na podstawie „raportu" pracownika naukowo-dydaktycznego University of Hull, zamówionego przez kanał telewizyjny Eden; wydaje się prawdopodobne, że błąd był zawarty w oryginalnej informacji prasowej i stamtąd został skopiowany, chociaż nie zdołałem jej wytropić.

[4] Nadal James, *Brazilian aardvark on the loose in Marlow*, „Bucks Free Press", 20 lutego 2013, dostępne na https://www.bucksfreepress.co.uk/news/10240842.brazilian-aardvark-on-the-loose-in-marlow/; Drury Flora, *So that's what an aardvark looks like*, „Worcester News", 9 czerwca 2011, dostępne na https://www.worcesternews.co.uk/news/9072841.so-thats-what-an-aardvark-looks-like/.

[5] *Photo of the Day: Wild Fire*, „Time”, 20 września 2013, dostępne na https://time.com/3802583/wild-fre/; *An Unexpected Visitor in the Volcano*, „National Geographic”, 7 marca 2013, dostępne na https://blog.nationalgeographic.org/2013/03/07/an-unexpectedvisitor-in-the-volcano/; *Brazil Plans to Clone Its Endangered Species*, „Scientifc American”, 14 listopada 2010, dostępne na https://blogs.scientifcamerican.com/extinction-countdown/brazil-plans-to-clone-its-endangered-species/.

[6] Cançado Paulo Henrique Duarte, Faccini João Luiz Horácio, Mourão Guilherme de Miranda, Piranda Eliane Mattos, Onofrio Valéria Castilho i Barros-Battesti Darci Moraes, *Current status of ticks and tick-host relationship in domestic and wild animals from Pantanal wetlands in the state of Mato Grosso do Sul, Brazil*, „Iheringia. Série Zoologia”, tom 107, 2 maja 2017, dostępne na https://dx.doi.org/10.1590/1678-4766e2017110.

[7] Henderson Caspar, *The Book of Barely Imagined Beings: A 21st Century Bestiary*, University of Chicago Press, 2013.

[8] Safier Neil, *Beyond Brazilian Nature: The Editorial Itineraries of Marcgraf and Piso”s Historia Naturalis Brasiliae* w: Groesen Michiel van (red.), *The Legacy of Dutch Brazil*, Cambridge University Press, 2014, dostępne na https://doi.org/10.1017/CBO9781107447776.011.

[9] *David Attenborough and BBC take us to Hotel Armadillo – in pictures*, „Guardian”, 5 kwietnia 2017, dostępne na https://www.theguardian.com/environment/gallery/2017/apr/05/david-attenborough-and-bbctake-us-to-hotel-armadillo-in-pictures.

[10] Allen Nick, *Wikipedia, the 25–year–old student and the prank that fooled Leveson*, „Daily Telegraph”, 5 grudnia 2012, dostępne na https://www.telegraph.co.uk/news/uknews/leveson-inquiry/9723296/Wikipedia-the-25-year-old-student-and-the-prank-that-fooled-Leveson.html.

[11] *Wikipedia: List of citogenesis incidents*, Wikipedia, odzyskane 30 czerwca 2019, dostępne na https://en.wikipedia.org/wiki/Wikipedia:List_of_citogenesis_incidents.

[12] Phillips Tom, *Prawda. Krótka historia wciskania kitu*.

Podziękowania

Jest mnóstwo ludzi, którym muszę podziękować i którym jestem winny przeprosiny. Czołowe miejsce wśród nich zajmują Ella Gordon, moja cudowna redaktorka w Wildfire, i Antony Topping, mój doskonały agent. Oboje podczas procesu pisania tej książki (nieco wydłużonego) mieli do mnie cierpliwość znacznie większą, niż na to zasługiwałem; nie szczędzili mi słów zachęty i wcale się na mnie nie wydzierali.

Dziękuję również moim nadzwyczajnym współpracownikom z Full Fact za cierpliwość i inspirację. Szczególne podziękowania kieruję do naszego dyrektora, Willa Moya, który pozwolił mi pisać książkę i był bardzo dobry w odczytywaniu sugestii, że ma nie pytać, jak mi idzie.

Na koniec podziękowania i szczere przeprosiny dla wszystkich moich przyjaciół, z którymi w zasadzie nie widywałem się przez wiele miesięcy. Wracam do gry, chłopaki! Teraz dam się zaprosić.

Do dalszej lektury

Jest wiele doskonałych książek, z których korzystałem podczas pisania *Prawdy*. Większość tytułów zawarłem w bibliografii, ale jeśli masz ochotę pogłębić któryś z tematów tu poruszonych, oto krótka lista kilku najlepszych pozycji:

Ogólnie

Polecam genialnie zatytułowany *Oxford Handbook of Lying*, który ukazał się podczas pisania tej książki. To pierwsze interdyscyplinarne kompendium najnowszej wiedzy o kłamstwie i jako takie skłoniło mnie do krótkiego zastanowienia się, czy może jednak nie powinienem zawracać sobie głowy pisaniem. Książka jest wielka i przy tym dość ciężka, żeby służyć jako stoper do drzwi alb nawet jako zabójcza broń. Moja zawiera więcej żartów. Równie dobrze zatytułowana *Penguin Book of Lies* (obecnie nakład jest wyczerpany) również była przydatna; to z niej skradłem wszystkie moje klasyczne odsyłacze.

Rozdział 1

Więcej informacji o tym, jak, dlaczego i jak często kłamiemy, udziela przyjemna książka *Liar: The Truth About Lying* Roberta Feldmana. *O wciskaniu kitu* (i kontynuacja *O prawdzie*) Harry'ego Frankfurta jest krótka i konkretna. Zapewne będziecie mieli kłopot z wytropieniem *Adventures in Error* Vilhjalmura Stefanssona, ale trochę z niego cytowałem, więc prawdopodobnie należą mu się podziękowania.

Rozdział 2

Fanom Benjamina Franklina polecam *The Secret History of the Jersey Devil* Briana Regala i Franka J. Esposita oraz *Benjamin Franklin and Polly Baker: The History of a Literary Deception* Maxa Halla. Jeśli interesuje was wynalezienie wiadomości, niczego bardziej nie polecam niż *The Invention of News: How the World Came to Know About Itself* Andrew Pettegree. Na bardziej akademicką nutę – *The Politics of Information in Early Modern Europe* Brandana Dooleya i Sabriny A. Baron zawiera ładunek doskonałego materiału.

Rozdział 3

Doskonałą pozycją o wielkiej mistyfikacji księżycowej jest *The Sun and the Moon: The Remarkable True Account of Hoaxers, Showmen, Dueling Journalists, and Lunar Man-Bats in Nineteenth-Century New York* Matthew Goodmana. Błędy mediów w ujęciu bardziej ogólnym opisują klasyczne

Hoaxes Curtisa D. MacDougalla i *Panic Attacks: Media Manipulation and Mass Delusion* Roberta Bartholemew.

Rozdział 4

Atlas lądów niebyłych. Największe mity, zmyślenia i pomyłki kartografów Edwarda Brooke'a-Hitchinga ukazał się w czasie mojej pracy nad tą książką, budząc we mnie zachwyt i irytację, bo jest tam prawie wszystko to, o czym planowałem napisać. Jeśli spodobał się wam ten rozdział, zachęcam do przeczytania jego książki, ponieważ zawiera więcej informacji… i znacznie ładniejsze mapy. Jeśli lubicie opowieści o Arktyce, sięgnijcie po *True North: Peary, Cook, and the Race to the Pole* Bruce'a Hendersona.

Rozdział 5

The Land That Never Was: Sir Gregor MacGregor and the Most Audacious Fraud in History Davida Sinclaira zawiera znacznie więcej informacji o kacyku Poyais. *The Ponzi Scheme Puzzle* Tamar Frankel jest doskonałą książką o oszustach, podobnie jak *The Mark Inside: A Perfect Swindle, a Cunning Revenge, and a Small History of the Big Con* Amy Reading i *The Confidence Game: The Psychology of the Con and Why We Fall for It Every Time* autorstwa Marii Konnikovej. *La Grande Thérèse, The Greatest Swindle of the Century* Hilary Spurling jest rozkosznym opisem życia i czasów Thérèse Humbert.

Rozdział 6

Więcej o kłamstwach politycznych znajdziesz w *The Lies of the Land* Adama Macqueena, a o kłamstwach z czasów pierwszej wojny światowej w *Myths & Legends of the First World War* Jamesa Haywarda.

Rozdział 7

Musisz przeczytać *Ultimate Folly: The Rises and Falls of Whitaker Wright* Henry'ego MacRory'ego i *The Bizarre Careers of John R. Brinkley* R. Altona Lee. (Są inne książki o Brinkleyu, ale tylko te są dostępne w Wielkiej Brytanii).

Rozdział 8

Już mieliśmy jedne pozdrowienia w tej części, ale jeśli chcesz dowiedzieć się więcej o naszych dziwnych przekonaniach i maniach, zajrzyj do *Hoaxes, Myths, and Manias: Why We Need Critical Thinking* i do *A Colorful History of Popular Delusions* Roberta E. Bartholomew. Skoro o tym mowa, *Niezwykłe złudzenia i szaleństwa tłumów* Charlesa Mackaya są klasyką (dlatego Bartholomew i ja zapożyczyliśmy jego tytuł), chociaż niektóre fragmenty są błędne.

Zakończenie

Tutaj naprawdę nie trzeba polecać żadnej książki, więc tylko odnotuję, że powinniście przeczytać też moją poprzednią, *Ludzie. Krótka historia*

o tym, jak spieprzyliśmy wszystko.

Ilustracje

Niccolò Machiavelli, obraz olejny Santiego di Tito, druga połowa XVI wieku. Zdjęcie: Imagno/Getty Images.

Jonathan Swift, obraz olejny Charlesa Jervasa, ok. 1718. Zdjęcie: Granger/Alamy.

Benjamin Franklin, obraz olejny Josepha-Siffreda Duplessisa, 1785. Zdjęcie: Wim Wiskerke/Alamy.

Gazeciarz, drzeworyt, 1631. Zdjęcie: Interfoto/Alamy.

Nowe odkrycia na Księżycu, grafika braci Thierry, 1835. Zdjęcie: SSPL/Getty Images.

Mapa ukazująca postępy odkryć geograficznych w północnej Afryce, opublikowana przez Jamesa Rennella, 1798. Library of Congress, Geography and Map Division.

Mapa Afryki opublikowana przez Aarona Arrowsmitha, 1802, Library of Congress, Geography and Map Division.

Mapa Afryki z *A New Universal Atlas* opublikowanego przez S. Augustus Mitchell, 1849. Library of Congress, Geography and Map Division.

Generał Gregor MacGregor, mezzotinta Samuela Williama Reynoldsa za Simonem Jacquesem Rochardem, 1820–1835. Zdjęcie: The Picture Art Collection/Alamy.

Banknot dolarowy z Banku Poyais, lata dwudzieste XIX wieku. Zdjęcie: History and Art Collection/Alamy.

Jeanne de Valois-Saint-Rémy, hrabina de la Motte. Miedzioryt punktowany, F. Bonneville, 1796. Zdjęcie: API/Gamma-Rapho via Getty Images

Thérèse Humbert, ok. 1903. Zdjęcie: Harlingue/Roger Viollet via Getty Images

Usuwanie sejfu Humbert, maj 1902. Zdjęcie: Hulton Archive/Getty Images

Titus Oates, sztych F. Wentwortha, ok. 1880. Zdjęcie: Hulton Archive/Getty Images

Rose Mary Woods demonstrująca „ćwiczenie rozciągające”, 1973. Zdjęcie: AP/Shutterstock

Podwodna kopuła i tunel w Witley Park. Zdjęcie: Associated Newspapers/Shutterstock

John R. Brinkley. Zdjęcie: Underwood and Underwood/The LIFE Images Collection via Getty Images

Niemiecki sterowiec. Zdjęcie: Interfoto/Alamy

Król Jakub przesłuchujący czarownice. Zdjęcie: Chronicle/Alamy

Mrównik brazylijski. Zdjęcie: Tom Phillips